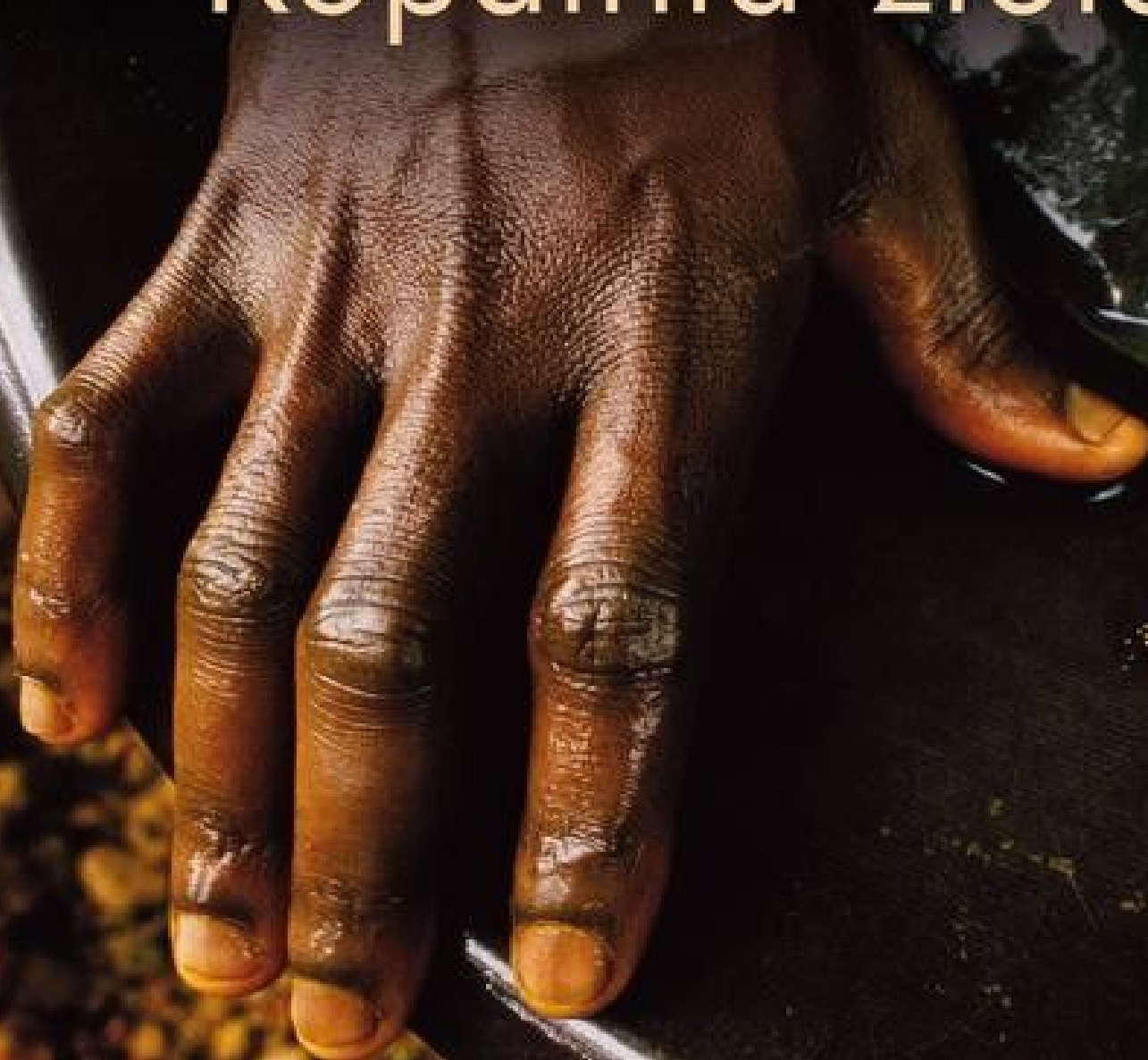


W I L B U R SMITH

Kopalnia złota



Wilbur Smith

KOPALNIA ZŁOTA

Przełożyli Jan S. Zaus i Irena Ciechanowska–Sudymont

Wydawnictwo Albatros
(2013)

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

DEDYKACJA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[ROZDZIAŁ 40](#)
[ROZDZIAŁ 41](#)
[ROZDZIAŁ 42](#)
[ROZDZIAŁ 43](#)
[ROZDZIAŁ 44](#)
[ROZDZIAŁ 45](#)
[ROZDZIAŁ 46](#)
[ROZDZIAŁ 47](#)
[ROZDZIAŁ 48](#)
[ROZDZIAŁ 49](#)
[ROZDZIAŁ 50](#)
[ROZDZIAŁ 51](#)
[ROZDZIAŁ 52](#)
[ROZDZIAŁ 53](#)
[ROZDZIAŁ 54](#)
[ROZDZIAŁ 55](#)
[ROZDZIAŁ 56](#)
[ROZDZIAŁ 57](#)
[ROZDZIAŁ 58](#)
[ROZDZIAŁ 59](#)
[ROZDZIAŁ 60](#)
[ROZDZIAŁ 61](#)
[ROZDZIAŁ 62](#)
[ROZDZIAŁ 63](#)
[ROZDZIAŁ 64](#)
[ROZDZIAŁ 65](#)
[ROZDZIAŁ 66](#)
[ROZDZIAŁ 67](#)
[ROZDZIAŁ 68](#)
[ROZDZIAŁ 69](#)
[ROZDZIAŁ 70](#)

ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

Książkę poświęcam Danielle

ROZDZIAŁ 1

Zacząło się to wtedy, gdy świat był jeszcze młody, przed pojawieniem się człowieka, w czasie kiedy życie na tej planecie zaczęło dopiero kiełkować.

Skorupa ziemi była jeszcze cienka i miękka, bezkształtna i rozdzielana przez potężne wewnętrzne ciśnienie. To, co obecnie stanowi płaską, zwartą tarczę afrykańskiego kontynentu, trwała i niezmienną, przedstawiała krajobraz alpejski. Były to ciągnące się jedne za drugimi łańcuchy górskie, porzrzucane i nieustannie zmieniające kształty pod wpływem ruchów magmy wydobywającej się z głębin ziemi. Wznosiły się tam góry, jakich człowiek nigdy nie widział, góry tak potężne, że Himalaje przy nich wydawałyby się karzełkami, góry parujących skał, a z ich zagłębień jak z otwartych ran wypływała płynna magma.

Wydostając się ze środka ziemi wzdłuż pęknięć i w miejscach, gdzie skorupa ziemiska była słabsza, bulgocąc i wrząc zbliżała się do powierzchni, gdzie natychmiast stygła i cięższe minerały opadały w dół, a te, które miały niższy punkt topnienia, unosiły się ku powierzchni.

W pewnym momencie niezmiernego okresu czasu, na tych bezimiennych łańcuchach górskich utworzyła się nowa seria pęknięć, a z nich wypłynęły rzeki roztopionego złota. Jakiś niezwykle fenomen temperatury i reakcji chemicznych spowodował prosty, lecz efektywny proces oczyszczenia, w czasie podróży z wnętrza ziemi na jej powierzchnię. W tej matrycy złoto zostało silnie skondensowane, ostygło i stwardniało.

Jeżeli w owych czasach góry były tak wielkie, że człowiek nie może sobie tego nawet wyobrazić, to burze, wiatry i deszcze, które bez przerwy

wśród nich szalały, były równie potężne. Pejzaż, w jakim poczęte zostało złotodajne pole, był zaiste piekielny, kształtowały go okrutne góry sięgające nagimi spadzistymi szczytami chmur. Zwały czarnych chmur gazów siarkowych, które wyrzucała z siebie ziemia, były tak grube, że promienie słońca nie mogły przez nie się przedrzeć.

Powietrze nasycone wilgocią, która później miała stać się morzem, było tak ciężkie, że wśród nieustannych burz i nawałnic woda lała się bez przerwy na stygnące na powierzchni ziemi płynne skały, aby później unosić się w postaci pary, która kondensując się ponownie zmieniała się w deszcz.

W czasie mijających milionów lat wiatr i deszcz, rzeźbiąc bezimienne górskie łańcuchy, usunęły pokrywę bogatą w złoty kruszec, mieląc ją i sprowadzając w dół rzekami, wraz z błotem i odłamkami skał, do doliny leżącej między łańcuchami górskimi.

Teraz, gdy skała zaczęła stygnąć, woda nie parując mogła dłużej utrzymać się na powierzchni ziemi i zbierać się w dolinie tworząc jezioro wielkości morza.

Do tego jeziora wlewały się wody spływające ze złotonośnych gór, niosąc ze sobą drobne cząstki tego żółtego metalu, który osiadał na dnie jeziora wraz z piaskiem i żwirem kwarcowym, aby tam zbić się i utworzyć skałę osadową.

Z czasem całe złoto zostało wypłukane z gór i złożone na dnie tego jeziora.

Wówczas, jak to zdarzało się mniej więcej dziesięć milionów lat temu, ziemia weszła w następny okres intensywnej aktywności sejsmicznej. Drżała i wzdychała, kiedy powtarzające się wstrząsy wprawiały ją w konwulsje.

Jeden potężny paroksyzm przełamał jezioro od jednego krańca do drugiego, opróżniając je i niszcząc dno utworzone ze skały osadowej. Jego

fragmenty zostały chaotycznie rozrzucone, niektóre płyty skalne uniosły się inne przechyliły lub stanęły pionowo.

Potem ziemią szarpnęły następne wstrząsy. Góry chwiały się i rozpadały, wypełniając dolinę, w której było kiedyś jezioro, zasypując niektóre z popękanych płyt skalnych bogatych w złoto, a inne rozbijając na proch.

Minął okres aktywności sejsmicznej, wieki kroczyły w całym swym majestacie. Przychodziły i odchodziły powodzie i wielkie susze. Zatliła się cudowna iskierka życia, zapłonęła jasno w czasach monstualnych jaszczurów, aż wreszcie poprzez niezliczone meandry ewolucji, gdzieś w połowie plejstocenu, małpolud – australopithecus – podniósł leżącą przy skale kość z uda bawołu i użył jej jako broni i narzędzia.

Australopithecus stał pośrodku wysuszonej słońcem płaszczyzny sięgającej w każdym kierunku pięćset mil, aż do morza, ponieważ góry i dno jeziora dawno temu wyrównały się i ziemię pokryła nowa skorupa.

Osiemset tysięcy lat później przedstawiciel dalekiej, lecz bezpośredniej linii australopithecusów stał na tym samym miejscu i również trzymał w ręku narzędzie. Człowiek ten nazywał się Harrison i to narzędzie było o wiele wymyślniejsze od tamtego, którego używał jego przodek. Był to kilof poszukiwacza, wykonany z drewna i metalu.

Harrison pochylił się i odłupał z brązowej wysuszonej afrykańskiej ziemi kawałek wystającej skały. Wziął w rękę odłupany kamień i wyprostował się.

Podniósł go wyżej do słońca i mruknął z niezadowoleniem. Był to bardzo mało interesujący kawałek skały, konglomerat przypominający czarno-szary marmur. Bez specjalnej nadziei przysunął go do ust, polizał, zwilżając powierzchnię, i jeszcze raz wystawił na promienie słońca. Była to

metoda dobrze znana starym poszukiwaczom, pozwalająca ujawnić w świetle dnia metal, który mógłby znajdować się w rudzie.

Jego oczy zwęziły się z zaskoczenia, kiedy skała błysnęła ku niemu i ujrzał na niej drobne plamki złota.

Historia zapamiętała tylko jego nazwisko, nie zna jego wieku, jego przodków, koloru oczu, nie wie, jak umarł, ponieważ w ciągu miesiąca sprzedał złotodajną działkę za dziesięć funtów i zniknął zapewne w poszukiwaniu naprawdę wielkiej żyły.

Lepiej by zrobił nie sprzedając działki i zatrzymując ją dla siebie.

W osiemdziesiąt lat później przypuszczano, że z tych pól Wolnych Stanów Transwalu i Orange wydobyto 500 milionów uncji czystego złota. A jest to tylko ułamek tego, co tam pozostało, i co z czasem zostanie wydobyte z tej ziemi. Ponieważ ludzie, którzy drążą pola Południowej Afryki, należą do najcierpliwszych, najnieustępliwszych, najbardziej pomysłowych i twardych potomków Wulkanu.

Ta ilość drogiego metalu jest fundamentem, na którym opiera swój dobrobyt prężny, młody, osiemnastomilionowy naród.

Niemniej ziemia niechętnie oddaje swoje skarby – ludzie muszą ją do tego zmuszać i wydzierać je z jej wnętrza.

ROZDZIAŁ 2

Mimo elektrycznego wentylatora, dmuchającego z rogu, powietrze w pokoju Roda Ironsidesa było śmierdzące i gorące.

Sięgnął po stojący na brzegu biurka srebrny termos z lodowato zimną wodą, lecz zanim zdążył dotknąć go końcami palców, zatrzymał się, widząc jak zaczyna tańczyć.

Metalowa butla podskakiwała na politurowanej powierzchni; biurko zatrzęsło się, szeleszcząc leżącymi na nim papierami.

Ściany pokoju zadrżały, okna zatrzęszczały w ramach.

Wstrząsy trwały cztery minuty, a potem wszystko uspokoiło się.

– Chryste! – zawołał Rod i chwycił jeden z trzech telefonów stojących na biurku.

– Tu dyrektor kopalni. Daj mi, kochana, mechanika skalnego i pospiesz się, proszę.

Czekając na połączenie bębnił niecierpliwie palcami w blat biurka. Otworzyły się drzwi prowadzące do jego pokoju i ukazała się w nich głowa Dimitriego.

– Poczujesz to, Rod? Nieźle, co?

– Tak, poczułem – i wtedy usłyszał głos w słuchawce.

– Tu doktor Wessels.

– Peter, mówi Rod. Odczytałeś ten wstrząs?

– Nie mam jeszcze danych... Możesz minutę poczekać?

– Mogę. – Rod pohamował zniecierpliwienie. Wiedział, że Peter Wessels był jedyną osobą, która mogła rozszyfrować skomplikowane

elektroniczne urządzenia, wypełniające laboratorium mechanika skalnego. Było ono zaprojektowane wspólnie przez cztery główne kompanie kopalni złota, które złożyły się na ćwierć miliona randów, aby sfinansować wiarogodne badania skały w czasie jej aktywności sejsmicznej pod stałym ciśnieniem. Laboratorium ulokowano na terenie Sonder Ditch Gold Mining Company. Teraz Peter Wessels miał swoje mikrofony umieszczone tysiące stóp pod ziemią, a jego magnetofony i graficzne czujniki czekały w pogotowiu, aby ustalić, w którym miejscu pod ziemią pojawią się jakiegokolwiek niepokoje.

Minęła następna minuta i Rod odwrócił się wraz z krzesłem, patrząc przez okno na monstrualną wieżę wyciągową szybu numer 1, o wysokości dziesięciopiętrowego budynku.

„Pospiesz się, Peter, pospiesz się, chłopcze”, mruzczał do siebie. „Tam na dole mam dwanaście tysięcy moich ludzi”.

Ze słuchawką przyciśniętą do ucha zerknął na zegarek.

„Druga trzydzieści”, mruknął. „Najgorsza pora z możliwych. Oni ciągle jeszcze pracują na przodkach”.

Usłyszał, jak ktoś podniósł słuchawkę z drugiej strony i odezwał się jakby przepraszający głos Petera Wesselsa:

– Rod?

– Tak.

– Przykro mi. Rod, miałeś tąpnięcie o sile siedmiu, na głębokości 9500 stóp, w sektorze Cukier siedem Karol dwa.

– Chryste! – krzyknął Rod i rzucił słuchawkę na widełki. Błyskawicznie zerwał się od biurka; jego twarz była skupiona, ale zarazem wyrażała wściekłość.

– Dimitri! – warknął do swego asystenta, nadal stojącego w drzwiach. – Nie będziemy czekali, aż oni nas wezwą, mamy katastrofę. Siła doszła do

siedmiu. Jej źródło znajduje się gdzieś w środku naszej wschodniej ściany na 95. poziomie.

– Matko Święta – powiedział Dimitri i popędził do swojego biura.

Pochylił czarną kędzierzawą głowę nad telefonem i Rod usłyszał, jak zaczął wzywać najważniejsze wydziały.

– Szpital... Zespół ratowniczy... Szef wentylatorni... Biuro Dyrektora Generalnego.

Rod odwrócił się, wszedł inżynier elektryk, Jimmy Paterson.

– Czuję to Rod. Jaka sytuacja?

– Zła – odparł Rod i wtedy szefowie innych wydziałów stłoczyli się w jego pokoju, rozmawiając cicho, zapalając papierosy, kaszląc i szurając nogami, ale wszyscy patrzeli z niepokojem na biały telefon stojący na biurku Roda. Minęło dziesięć minut, które wlokły się jak okaleczony robak.

– Dimitri! – zawołał Rod, aby przerwać nieznośne napięcie. – Masz na górze klatkę szybu?

– Trzymamy tam dla nas Mary Anne.

– Mam też pięciu ludzi, którzy sprawdzają kabel wysokiego napięcia na 95. poziomie – rzekł Jimmy Paterson, ale zignorowali go. Czekali, aż odezwie się biały telefon.

– Znaleźliście starego Dimitri? – zapytał znów Rod, chodząc tam i z powrotem przed biurkiem. Gdy podchodził bliżej, widać było, jaki jest wysoki.

– On jest pod ziemią. Rod. Zjechał o dwunastej trzydzieści.

– Powiadomcie wszystkie posterunki, że chcę się z nim skontaktować w moim biurze.

– Już to zrobiłem.

Zadzwonił biały telefon.

Tylko raz. Dźwiękiem przerażającym, szarpiącym nerwy Roda. Słuchawka błyskawicznie znalazła się przy jego uchu.

– Dyrektor kopalni – rzucił. Zapanowała długa cisza, słyhać było po drugiej stronie ciężki oddech.

– Człowieku, mów, co się dzieje?

– Runęła ta cała cholerna rzecz – odezwał się głos. Był ochrypły, szorstki, pełen strachu i kurzu.

– Skąd mówisz? – zapytał Rod.

– Oni tam jeszcze są – rzekł głos. – Krzyczą. Pod skałą. Oni tam krzyczą.

– Gdzie znajduje się twój posterunek? – Głos Roda stał się lodowato zimny, twardy, próbował wyrwać tego człowieka z szoku.

– Zawalił się na nich cały przodek wydobywczy. Cała ta cholerna rzecz.

– Opanuj się, do cholery, ty głupi skurwysynie! – krzyczał Rod do telefonu. – Podaj mi swój posterunek!

Przez chwilę panowała głucha cisza. Potem wrócił głos, teraz już spokojniejszy, jakby wściekły z powodu obraźliwych słów.

– Poziom 95. główny chodnik komunikacyjny. Sekcja 43. Wschodnia ściana.

– Idziemy – Rod rzucił słuchawkę, chwycił z biurka żółty hełm z włókna szklanego i lampę.

– Sekcja 43. Runęła wisząca ściana [określenie dotyczące stropu chodnika na przodku wydobywczym] – powiedział Dimitriemu.

– Są ranni? – zapytał mały Grek.

– Z pewnością. Dostali wyrzutem gazów spod skały. Rod wcisnął na głowę hełm.

– Zajmij się sprawami na powierzchni, Dimitri.

ROZDZIAŁ 3

Gdy dochodzili do szybu Rod zapinał jeszcze guziki białego kombinezonu roboczego. Odruchowo odczytał napisy nad wejściem:

*BĄDŹCIE CZUJNI. ZACHOWAJCIE ŻYCIE.
PRZY WASZEJ WSPÓŁPRACY
TA KOPALNIA PRACOWAŁA
16 DNI BEZ WYPADKU.*

„Będziemy znów musieli zmienić liczbę”, pomyślał z wisielczym humorem.

Mary Anne czekała. Do mocno odrutowanej klatki wciśnięto grupę pierwszej pomocy i brygadę awaryjną.

Mary Anne była małą klatką. Znajdowały się tam też dwie większe klatki, które mogły pomieścić jednorazowo 120 ludzi, podczas gdy Mary Anne mieściła tylko czterdziestu. Jednak teraz to wystarczyło.

– Zjeżdżamy – polecił Rod, wszedł do klatki i szybowy zasunął stalowe drzwi. Dzwonek zadzwonił raz, potem dwa razy i podłoga Mary Anne zaczęła opadać. Żołądek Roda podszedł pod żebra. Zjeżdżali z równą szybkością w całkowitej ciemności. Klatka trzęsła się i trzeszczała, powietrze zmieniło zapach i smak, stawało się pełne jakichś oparów chemicznych, gwałtownie wzrastała temperatura. Rod stał pochylony, opierając się o siatkę klatki. Miała tylko sześć stóp wysokości i była za niska dla Roda w hełmie na głowie. „Dziś znowu otrzymamy nowy rachunek od rzeźnika”, pomyślał z wściekłością. Zawsze był wściekły,

kiedy ziemia kazała płacić ludzką krwią i kośćmi. Całą inteligencję i zebrane w ciągu sześćdziesięciu lat doświadczenia w dziedzinie górnictwa głębokiego na Witwatersrand wysilano, próbując utrzymać cenę krwi tak niską jak tylko było to możliwe. Jednak kiedy schodzisz niżej, do wielkich głębokości poniżej ośmiu tysięcy stóp, musisz za to płacić, ponieważ w skale wzrasta ciśnienie i zmienia się jego ogniskowa, aż do momentu krytycznego, i wówczas następuje tąpnięcie. Wtedy giną ludzie.

Kolana usztywniły się pod Rodem, gdy klatka zatrzymała się, a potem podnosiła i opuszczała ruchem przypominającym jo-jo, aż wreszcie znieruchomiła na dobre w jasno oświetlonej stacji na 66. poziomie.

Tutaj musieli opuścić główny szyb i przejść do szybu ślepego. Drzwi zagrzechotały i Rod wyszedł z klatki do głównego chodnika komunikacyjnego wielkości kolejowego tunelu; wybetonowanego, wybielonego i jasno oświetlonego rzędem żarówek ginących w dali łagodnym łukiem, umieszczonych pod stropem.

Brygada awaryjna poszła za Rodem. Nie biegli, ale szli z hamowaną energią ludzi, którzy wiedzą, że zmierzają ku niebezpieczeństwu. Rod prowadził ich w kierunku ślepego szybu.

Istnieje granica głębokości drążenia szybu, a zatem i urządzeń opuszczających ludzi na stalowej linie w wątej odrutowanej klatce. Wynosi ona około 7000 stóp.

Na tej głębokości należy zatrzymać się, znów drążyć w litej skale nowe stacje i budować szyb ślepy.

Klatka w ślepym szybie czekała na nich. Stanęli ramię w ramię i znów drzwi zagrzechotały zamykając się, i znów żołądek podszedł do gardła, gdy zapadli w ciemność.

Niżej, niżej, niżej.

Rod zapalił lampę umocowaną na hełmie. Teraz w powietrzu unosił się drobny pył – w powietrzu, które przedtem było sterylnie czyste.

Kurz! Śmiertelny wróg górnika. Kurz z wybuchu. I do tej pory nie usunął go jeszcze system wentylacyjny.

Wpadali bez końca w ciemność i teraz zrobiło się bardzo gorąco, wilgotność wzrosła do tego stopnia, że otaczające Roda twarze, były czarne i białe od potu.

Kurz gęstniał, na podobieństwo mgły. Z klatki nikt nie wyrzekł słowa.

Drzwi zagrzechotały, wierzchnią ziemi.

– Idziemy – powiedział Rod.

ROZDZIAŁ 4

W korytarzu przy stacji na 95. poziomie tłoczyli się górnicy, było ich tam 150, a być może i 200. Ciągłe jeszcze brudni od pracy na przodku, w ubraniach przesiąkniętych potem. Śmiali się i paplali jak ludzie, którzy przed chwilą uniknęli śmiertelnego niebezpieczeństwa.

W nieco mniej zatłoczonym miejscu leżało pięć par noszy. Na dwóch czerwone pledy zakrywały twarze leżących na nich mężczyzn. Twarze trzech pozostałych wyglądały tak, jakby obsypał je pył podobny do mąki.

– Dwóch – warknął Rod. – Do tego czasu.

Stacja znajdowała się w opłakanym stanie, ludzie chodzili tam i z powrotem bez celu, z każdą minutą coraz więcej górników wracało z chodników i z nie zniszczonych przodków, które teraz były zagrożone.

Rod szybko rozejrzał się i rozpoznał twarz jednego ze swoich sztygarów.

– McGee! – krzyknął. – Zajmij się tym. Niech usiądą w rzędach i przygotowują się do wyjazdu. Zaczynamy natychmiast. Idź zaraz do pomieszczenia wyciągowego i powiedz, że chcę, aby wpierw wyjechali ci, którzy leżą na noszach.

Zatrzymał się, aby sprawdzić, czy McGee opanował sytuację. Spojrzał na zegarek. Druga pięćdziesiąt sześć. Ze zdumieniem stwierdził, że minęło tylko dwadzieścia sześć minut od chwili, gdy poczuł wstrząsy w swoim biurze.

Wydawało się, że McGee opanował sytuację. Krzyczał do telefonu w pomieszczeniu wyciągowym i powołując się na decyzję Roda domagał się w pierwszej kolejności oczyszczenia stacji na 95. poziomie.

– W porządku – rzekł Rod. – Idziemy – i wszedł w chodnik.

Kurz był gęsty. Zakaszłał. Wisząca ściana była tu niższa. Idąc Rod zastanawiał się nad niefortunną terminologią górniczą, która nazwała strop chodnika „wiszącą ścianą”. Nasuwało się raczej porównanie z szubienicą, co nie umniejszało faktu, że miliony ton rzeczywiście wisały nad głową.

Chodnik rozwidłał się, Rod pewnym krokiem skręcił w prawo. Miał w głowie trójwymiarową mapę całych 176 mil tuneli, w których pracowano w Sonder Ditch. Chodnik kończył się rozgałęzieniem w kształcie litery „T”, gdzie odchodzące korytarze były niższe i węższe. Na prawo do 42. sekcji, na lewo do 43. Wiszący w powietrzu kurz był tam tak gęsty, że widoczność spadła do dziesięciu stóp.

– Tu jest zniszczona wentylacja! – krzyknął przez ramię. – Van den Bergh!

– Tak, sir. – Podszedł szef brygady awaryjnej.

– Potrzebuję powietrza. Zrób coś. Jeśli trzeba użyj brezentowych rękawów.

– Dobrze.

– Chcę też, abyś dał ciśnienie na węże wodne, żeby usunąć kurz.

– Dobrze.

Rod skręcił. Tu podłoga była szorstka i posuwali się wolniej. Doszli do szeregu opuszczonych wózków z trolejami, wypełnionych skałą zawierającą złoto.

– Wywieźcie to stąd, do cholery – polecił Rod i ruszył naprzód.

Po przejściu pięćdziesięciu kroków nagle stanął. Poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. Nigdy nie mógł przywyknąć do tego dźwięku, bez względu na to jak często go słyszał.

W szorstkim slangu górniczym nazywano to kwikiem. Ten dźwięk wydawał dorosły człowiek z nogami zmiażdżonymi przez setki ton skały, być może ze złamanym kręgosłupem, dławiący się pyłem, śmiertelnie

przerażony sytuacją, w jakiej się znalazł, wrzeszczący o pomoc, wzywający Boga, żonę, dzieci, matkę.

Rod ruszył naprzód, krzyk stawał się coraz głośniejszy, bardziej przerażający, prawie nieludzki, łkający, zamierający bełkotem, aby po chwili znów wybuchnąć mrozącym krew wyciem.

Nagle w tunelu przed Rodem pojawili się ludzie, ciemne sylwetki wyłaniające się z pylistej mgły, ich lampy na hełmach rzucały smugi żółtego światła, groteskowe, zniekształcone.

- Kto tam? – zawołał Rod i oni poznali go po głosie.
- Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że pan tu jest, Mr Ironsides.
- Kto idzie?
- Barnard. Szef zmianowy 43. sekcji.
- Co się stało?
- Runęła cała wisząca ściana.
- Ilu ludzi było na przodku?
- Czterdziestu dwóch.
- Ilu zostało?
- Do tej pory wydostaliśmy szesnastu całych, dwunastu lekko rannych, trzech na noszach i dwóch zabitych.

Ranny człowiek zaczął znowu krzyczeć, ale jego głos powoli słabł.

- A on? – zapytał Rod.
- Na jego miednicy leży dwadzieścia ton skały. Dałem mu już dwa zastrzyki morfiny, ale jakoś nie pomogło.
- Możecie się przedostać na przodek?
- Tak, można się tam przecisnąć przez ten otwór.

Barnard rzucił snop światła ponad zwaliskiem popękanych niebieskich brył kwarcu, które wypełniały przejście jak zwalony mur. Widniał w nim otwór na tyle duży, aby mógł się przecisnąć przezeń pies wielkości

foksteriera. Dochodził stamtąd odgłos jakiegoś ruchu na luźnych odłamkach skały, a potem odezwały się przyciszone głosy.

– Ilu masz tam ludzi, Barnard?

– Ja... – Barnard zawahał się – myślę, że około dziesięciu lub dwunastu.

Rod chwycił go za kombinezon i potrząsnął prawie zwalając z nóg.

– Pomyśl! – W świetle lampy twarz Roda była biała z wściekłości. – Pchasz tam ludzi bez odnotowania, kogo posyłasz? Wpakowałeś tam dwunastu moich chłopców, aby uratować dziewięciu? – Rod uniósł szefa zmianowego, rzucił nim o ścianę chodnika i przycisnął.

– Ty skurwielu, przecież wiesz, że większość z tych dziewięciu jest posiekana na kawałki. Wiesz, że ten przodek to mordercza pułapka i posyłasz tam dwunastu, aby wydłubać tę rąbankę, a do tego jeszcze nie zapisujesz kogo posłałeś. Jak, u diabła, będziemy wiedzieli, kogo szukać, gdyby runęła następna wisząca ściana? – Puścił szefa zmianowego i cofnął się. – Zabierz ich stamtąd i oczyść przodek.

– Ale, Mr Ironsides, tam jest dyrektor generalny, tam jest Mr Lemmer. Dokonywał na tym przodku inspekcji.

Rod przez chwilę milczał zaskoczony, po czym warknął:

– Nie obchodzi mnie to, nawet gdyby tam był sam prezydent, i natychmiast oczyść przodek. Rozpoczniemy od początku i tym razem zrobimy to, jak należy.

W ciągu kilku minut ratownicy zostali odwołani i oblepieni białym pyłem wycisnęli się z otworu jak robaki wypełzające z zepsutego sera.

– W porządku – powiedział Rod. – Jednocześnie zaryzykuję czterech ludzi.

Szybko wybrał czterech z tych umęczonych figur, a między nimi olbrzyma, który nosił na prawym ramieniu oznakę szefa wiertników.

– Big King... jesteś tu? – zapytał Rod w języku fanikalo, narzeczu, które ułatwiało w kopalniach porozumiewanie się ludzi z tuzina grup etnicznych.

– Jestem tu – odparł Big King.

– Chcesz więcej nagród? – Przed miesiącem opuszczono Big Kinga na głębokość dwustu stóp w głąb pionowego uskoku żyły rudy, aby wydostał stamtąd ciało białego górnika. Za ten odważny czyn otrzymał od Kompanii 100 randów.

– Kto mówi o nagrodach, gdy ziemia zjada ludzkie ciała? – Big King delikatnie skarcił Roda. – Ale dzisiaj to tylko dziecinna zabawa. Czy nksi też przyjdzie na przodek? – Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Miejsce Roda nie było na przodku. On miał zajmować się organizacją i koordynacją akcji. Jednak nie mógł zignorować tego wyzwania, żaden Bantu nie uwierzyłby, że cofnął się ze strachu i posłał innego człowieka na śmierć.

– Tak – odparł Rod. – Przyjdę na przodek.

I ruszył pierwszy. Otwór był na tyle duży, aby zmieścić masywne ciało Roda. Znalazł się w pomieszczeniu wielkości średniego pokoju, ale sklepienie wznosiło się nad posadzką na wysokości zaledwie trzech i pół stopy. Rzucił snop światła na wiszącą ścianę – wyglądała paskudnie. Skała była popękana i przypominała pęk winogron.

– No, pięknie – powiedział i skierował promień światła w dół.

Człowiek, który wył z bólu znajdował się w odległości ramienia od Roda. Jego ciało od pasa w górę wystawało spod skalnej bryły wielkości cadillaca. Ktoś narzucił mu na górną część ciała czerwony pled. Ranny był teraz cichy, leżał spokojnie. Ale kiedy światło lampy Roda padło na niego, podniósł głowę. W jego oczach czaił się obłęd, patrzyły nie widząc, twarz spływała potem przerażenia i szaleństwa. Otworzył szeroko usta, ukazując w błyszczącej czerni twarzy różowe wnętrze. Zaczął krzyczeć, ale nagle

jego krzyk utonął w ciemnoczerwonym krwotoku, który wydobył się z gardła i wylał z ust.

Rod patrzył z przerażeniem na Bantu leżącego z głową odrzuconą do tyłu i z otwartymi ustami, przez które wraz z krwią wyciekało życie. Potem jego głowa opadła na bok twarzą w dół. Rod podpełzł do niego, uniósł głowę i położył ją na czerwonym pledzie jak na poduszce.

Na rękach miał mnóstwo krwi, otarł je o przód kombinezonu.

– Jak dotąd trzech – powiedział i zostawiając umierającego podczołgał się w kierunku rozbitej ściany przodka.

Big King czołgał się obok niego z dwoma stalowymi prętami. Podał jeden z nich Rodowi. W ciągu godziny pomiędzy dwoma mężczyznami wywiązała się jakby rywalizacja, odbywała się jakaś próba sił. Za nimi trzech mężczyzn przejmowało i przesuwało skalne odłamki i bryły, gdy Rod i Big King usuwali je z przodka. Rod wiedział, że zachował się jak smarkacz, że powinien wrócić do głównego chodnika i nie tylko dowodzić akcją ratunkową, ale również podejmować decyzje i alternatywnie aranżować wszystko, co w obecnej sytuacji było niezbędne. Kompania płaciła mu za myślenie i wykorzystywanie doświadczenia, a nie za jego mięśnie.

„Do diabła z tym”, pomyślał. „Jeżeli nawet dziś wieczorem nie uda nam się tego rozwalić ładunkami wybuchowymi, to i tak zostanę tutaj”. Spojrzał na Big Kinga i przesunął się dalej, aby sięgnąć po większą bryłę skalną, tkwiącą w otworze. Użył całej siły, posługując się wpierw ramionami, potem całym ciałem, ale bryła ani drgnęła. Big King położył swoje wielkie czarne dłonie na skale i zaczęli ciągnąć razem. Krusząc po drodze kawałki ruszyła się wreszcie, więc zepchnęli ją między siebie, uśmiechając się jeden do drugiego.

O siódmej Rod i Big King wycofali się z przodka, aby odpocząć, zjeść coś i napić się kawy z termosu. Rod w tym czasie rozmawiał przez telefon z Dimitrim.

– Usunęliśmy zmiany z obu szybów, Rod, jesteśmy gotowi do wysadzania skał. Poza twoją grupą w 43. sekcji znajduje się pięćdziesięciu ośmiu ludzi – głos Dimitriego brzmiał szorstko.

– Zaczekaj – Rod analizował sytuację. Zastanawiał się dłużej niż zwykle, był wykończony psychicznie i fizycznie. Jeżeli zatrzyma wysadzanie w obu szybach, bojąc się dalszego zapadania skał w 43. sekcji, Kompania może stracić jeden dzień produkcji, dziesięć tysięcy ton urobku z zawartością złota o wartości szesnastu randów za tonę, co daje olbrzymią sumę 160000 randów, lub 80000 funtów szterlingów, albo 200000 dolarów, obojętnie, jak to liczyć.

Było bardzo prawdopodobne, że wszyscy, którzy byli na przodku, i tak już nie żyją, a pierwsze ciśnienie wywołane eksplozją do tego stopnia odprężyło skałę ponad i wokół poziomu 95. że istniało niewielkie prawdopodobieństwo dalszych tąpnięć.

A jednak może ktoś tam jeszcze żyje i leży w ciemności, uwięziony gdzieś w mateczniku przodka, z pękami wiszącymi jak winogrona skał ponad jego niczym nie osłoniętym ciałem. Kiedy oni nacisną wszystkie guziki w Sonder Ditch, odpalą w ten sposób jedenaście ton dynagelu. Wówczas nastąpi tak silny wstrząs, że wyrwie i strąci te skalne grona.

– Dimitri – Rod podjął decyzję. – Dokładnie o siódmej trzydzieści odpal ładunki na ścianie w szybie numer 2. – Szyb numer 2 znajdował się w odległości trzech mil. To zaoszczędzi Kompanii 80000 randów. – Potem, dokładnie w odstępach pięciominutowych, odpal na południowej, północnej i zachodniej ścianie tu, w szybie numer 1. – Rozplanowując wybuchy zmniejszy się niebezpieczeństwo i w ten sposób włoży do kieszeni

akcjonariuszy dalsze 60000 randów. Wówczas łączna strata finansowa spowodowana wypadkiem wyniesie 20000 randów. „Doprawdy nie tak źle”, pomyślał ironicznie Rod, krew była tania. Można ją kupić po trzy randy za pół kwarty w Centralnej Stacji Krwiodawstwa.

– W porządku – wstał i rozprostował obolałe ramiona. – Wydostałem już wszystkich bezpiecznie do filara przy szybie. Możemy odpalać.

ROZDZIAŁ 5

Po wybuchach następujących sukcesywnie po sobie, Rod wrócił na przodek i o dziewiątej odkryli ciała dwóch wiertników, zmiżdżonych przez ich własne świdry skalne. Dziesięć stóp dalej znaleźli białego górnik; jego ciało było nietknięte, lecz głowę miał całkowicie spłaszczoną.

O jedenastej znaleźli następnych dwóch wiertników. Rod przebywał w chodniku, kiedy wyciągnięto ich przez mały otwór. Nie można było w nich rozpoznać ludzi, bardziej przypominali brudne poszarpane kawałki surowego mięsa.

Krótko po północy Rod i Big King znów wrócili na przodek, aby zmienić pracujący tam zespół i w dwadzieścia minut później wcisnęli się przez otwór w ścianie z luźnych gładów do następnej komory, która jakimś cudem stała nienaruszona.

Powietrze było tu gorące i nasycone parą wodną. Rod cofnął się odruchowo, kiedy gorąco uderzyło go w twarz. Jednak zmusił się do czołgania i zajrzenia w otwór.

Dziesięć stóp przed nim leżał Frank Lemmer, dyrektor generalny kopalni Sonder Ditch. Leżał na plecach. Hełm spadł mu z głowy, nad czołem widniało głębokie rozcięcie. Krew spływała po siwych włosach i krzepła w czarnej kałuży. Otworzył oczy i zamrugał jak sowa oślepią światłem lampy Roda, który szybko odwrócił latarkę.

– Mr Lemmer – rzekł.

– Co, u ciężkiego diabła, robisz tu razem z grupą ratowniczą? – warknął Frank Lemmer. – To nie twoja robota. Czy, do cholery, niczego nie nauczyłeś się przez te dwadzieścia lat pracy w górnictwie?

– Z panem wszystko w porządku, sir?

– Daj mi tu lekarza – odparł Frank Lemmer. – Będziecie musieli odciąć mnie z tego miejsca.

Rod przysunął się bliżej i zobaczył to, o czym mówił Lemmer. Jego ramię do łokcia było przywalone solidną skalną bryłą. Rod położył ręce na skale i obmacywał ją dokładnie. Można ją było ruszyć tylko za pomocą dynamitu. Jak zwykle Frank Lemmer miał rację.

Rod wysliznął się z otworu i zawołał przez ramię:

– Dajcie mi tu telefon!

Po kilku minutach chwycił słuchawkę i połączył się ze stacją na 95. poziomie, gdzie znajdował się posterunek i miejsce wypoczynku ratowników.

– Tu Ironsides. Daj mi doktora Standera.

– Czekać.

Po minucie doktor odezwał się.

– Halo, Rod, tu Dan.

– Dan, znaleźliśmy starego.

– Co z nim? Jest przytomny?

– Tak, ale przygniotło go... Musisz go odciąć.

– Jesteś pewny? – spytał Dan Stander.

– Oczywiście. Jestem tego cholernie pewny – warknął Rod.

– Spokojnie, chłopcze! – zganił go Dan.

– Przepraszam.

– Okay, w którym miejscu go przydusiło?

– Ręka. Musisz ciąć powyżej łokcia.

– Wspaniale! – rzekł Dan.

– Czekaam tu na ciebie.

– Dobrze. Będę tam za pięć minut.

ROZDZIAŁ 6

– To zabawne, kiedy widzisz, jak kogoś raz za razem kroją, zawsze myślisz, że tobie nigdy się to nie przydarzy. – Głos Franka Lemmera brzmiał spokojnie. Widocznie nie czuł już bólu, pomyślał Rod, leżąc obok niego na przodku.

Frank Lemmer odwrócił głowę w jego stronę.

– Dlaczego nie zostałeś farmerem, chłopcze?

– Pan wie dlaczego – odparł Rod.

– Tak – Lemmer lekko się uśmiechnął, wykrzywając nieznacznie usta. Otarł wargi wolną ręką. – Czy wiesz, że brakuje mi tylko trzech miesięcy do emerytury? Już prawie mi się udało. A teraz taki koniec, chłopcze, w brudzie, z połamanymi kośćmi.

– To nie jest jeszcze koniec – rzekł Rod.

– Nie? – spytał Frank Lemmer i tym razem zachichotał. – Czyżby?

– Z czego się śmiejecie? – zapytał Dan Stander, wciskając głowę do małej komory.

– Chryste, dużo czasu zabrało ci przyjście tutaj – warknął Frank Lemmer.

– Podaj mi rękę, Rod. – Dan wsunął przez otwór walizeczkę, sam wśliznął się do środka i zwrócił do Franka Lemmera:

– Akcje Union Steel stanęły dzisiaj wieczorem na 98 centach. Mówiłem ci, żebyś kupił.

– Zawyżone – burknął Frank Lemmer. Dan, leżąc na boku w pyle i brudzie, wyjmował z walizeczki narzędzia dyskutując o akcjach i papierach

wartościowych. Kiedy Dan nappełnił strzykawkę pentatholem i wycierał ramię Franka Lemmera, ten znów odwrócił twarz do Roda.

– Dobrze się tu wkopaliśmy, Rodney, ty i ja. Chciałbym, żeby dali to teraz tobie, ale oni tego nie zrobią. Ciągle jeszcze jesteś za młody. Jednak kogokolwiek wsadzą na moje miejsce, miej go na oku, znasz ten teren... Nie pozwól mu spaprać naszej roboty.

Igła weszła w ciało.

Dan odciął rękę w ciągu czterech i pół minuty, a dwadzieścia siedem minut później Frank Lemmer zmarł na skutek szoku i braku właściwej opieki, w drodze na powierzchnię.

ROZDZIAŁ 7

Po zapłaceniu alimentów Patti, Rodowi z pensji nigdy nic zostawało dużo na przyjemności. Jedną z nich był duży kremowy maserati. Chociaż był to model z 1967 roku, który miał na liczniku trzydzieści tysięcy mil, kiedy go kupił, jednak spłaty zabierały dużą część jego miesięcznych dochodów.

Tego poranku doszedł do wniosku, że warto jednak było zdobyć się na taki wydatek. Zjechał serpentynami z grzbietu Kraalkop i kiedy państwowa droga stała się prosta i przed Johannesburgiem biegła poziomo, pozwolił, aby maserati pokazał, co potrafi. Zdawało się, że samochód przylgął do szosy, na podobieństwo pędzącego lwa, rura wydechowa wydała ostry dźwięk, głębszy, bardziej naglący.

Zwykle z kopalni Sonder Ditch do centrum Johannesburga jechał godzinę, jednak tym razem Rod potrafił urwać z tego czasu dwadzieścia minut.

Był sobotni ranek. Rod był podniecony czekającym go spotkaniem.

Od czasu rozvodu Rod żył jak Jekyll i Hyde. Przez pięć dni w tygodniu był człowiekiem Kompanii, członkiem zarządu, ale na ostatnie dwa dni wracał do Johannesburga ze swoimi kijami golfowymi w bagażniku, z kluczami do swojego luksusowego apartamentu w Hillbrow w kieszeni i z uśmiechem na ustach.

Dzisiaj spodziewał się czegoś więcej niż zwykle; bowiem chociaż modelka, dwudziestodwuletnia blondynka, była gotowa poświęcić cały wieczór, żeby zabawić Rodneya Ironsidesa, to czekało na niego jeszcze jakieś tajemnicze wezwanie, które nadeszło od doktora Manfreda Steynera.

Doręczono mu je przez bezimienną kobietę, która przedstawiła się jako „sekretarka doktora Steynera”. Został umówiony na następny dzień po pogrzebie Franka Lemmera, to znaczy na sobotę o jedenastej przed południem.

Rod nigdy nie spotkał Manfreda Steynera, ale oczywiście słyszał o nim. Każdy, kto pracował dla którejś z tych pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu Kompanii, które wchodziły w skład Central Rand Consolidated Group, musiał słyszeć o Manfredzie Steynerze, a Sonder Ditch Gold Company należała do tej organizacji.

Manfred Steyner ukończył ekonomię na Uniwersytecie Berlińskim i doktoryzował się w Business Administration w Cornell. Związał się z CRC dwanaście lat temu, mając trzydzieści lat, a obecnie był tam jedną z najważniejszych osób. Hurry Hirschfeld nie mógł żyć wiecznie, chociaż sprawiał takie wrażenie, a kiedy on odejdzie do Hadesu, uważano powszechnie, że sukcesję po nim przejmie Manfred Steyner.

Przewodniczenie CRC należało do funkcji godnej pozazdroszczenia, ten kto to osiągnął, natychmiast stawał się jednym z pięciu najbardziej wpływowych ludzi w Afryce, włączając w to głowy państw.

Zakłady faworyzowały doktora Steynera z różnych uzasadnionych przyczyn. Miał umysł, który zasługiwał na określenie „komputerowy”, nikt nie był w stanie dostrzec w nim najmniejszego śladu ludzkiej słabości, a na dodatek dziesięć lat temu udało mu się złapać jedyną wnuczkę Hurry’ego Hirschfelda, kiedy opuszczała uniwersytet w Cape Town, i ożenić się z nią.

Na liczniku maserati było 125 mil na godzinę, kiedy przelatywał wiaduktem ponad terenami Kloof Gold Mining Company.

– Witaj Johannesburgu! – zaśmiał się głośno Rod.

Dziesięć minut przed jedenastą Rod odnalazł mosięzną tabliczkę z napisem Dr M. K. Steyner w odosobnionej alejce luksusowego

przedmieścia Johannesburga, Sandown. Od strony drogi nie widać było domu i Rod pozwolił, aby maserati powoli wtoczył się przez wysoką białą bramę ozdobioną łukiem imitującym styl holenderski, który przyjął się w Cape Town.

Wrota były dowodem złego smaku, ale ogród rozpościerający się za nimi przypominał raj. Rod znał się na skałach, ale o kwiatkach wiedział niewiele. Pośród zielonych trawników dostrzegł kontrastujące plamy czerwieni i żółci jakichś kwiatów; niektóre z nich rozpoznawał, ale ogólnie nie potrafiłby nazwać tych rozciągających się przed nim olśniewających piękności.

– No, no! – wydał okrzyk zachwytu. – Ktoś tu zrobił kawał cholernie dobrej roboty.

Zza zakrętu podjazdu wysypanego makadamem wyłonił się dom. Utrzymany był również w stylu holenderskim i Rod wybaczył doktorowi Steynerowi bramę.

– No, no! – wykrzyknął znowu i mimo woli nagle zahamował.

Prezentowany tu styl holenderski, zwany Cape Dutch, jest jednym z najtrudniejszych do skopiowania. Jeżeli choćby jedna z setek linii nie znajdzie się w odpowiednim miejscu, może zepsuć cały efekt; ale ten konkretny przykład wykonany został perfekcyjnie. Sprawiał wrażenie ponadczasowe, solidne. Było to udane połączenie gracji z finezją linii. Odgadł, że okiennice i belki wykonano z prawdziwego specjalnego żółtego drewna, a kwatera okien ręcznie z ołowiu.

Rod patrząc na to wszystko poczuł ukłucie zazdrości. Kochał piękne rzeczy, takie jak maserati, ale to było inne pojmowanie wartości materialnych. Zazdrościł temu człowiekowi tego, co posiada, wiedząc, że jego roczny zarobek nie starczyłby nawet na opłacenie terenu, na którym stał dom.

– No cóż, a ja mam swoje mieszkanie – uśmiechnął się ze smutkiem i podjechał zaparkować przy garażach.

Nie wiedział, którędy powinien wejść i wybrał na los szczęścia jedną z wyłożonych kamieniami ścieżek, które prowadziły do domu.

Na łuku tej ścieżki czekał go inny widok. Chociaż nie tak wspaniały, jeżeli w ogóle mogło tu być coś mniej wspaniałego, wywarł na Rodzie jeszcze większe wrażenie. Z wielkiego egzotycznego krzewu wyłaniały się kobiece biodra o linii pełnej gracji, opięte ściśle przylegającymi spodniami narciarskimi.

Rod był oczarowany. Stał i patrzył, jak ten krzew porusza się i rozchyła na boki, a jego podstawa kręci się i unosi.

Nagle z głębi krzewu rozległo się wypowiedziane tonem, jaki przystoi tylko damie, najbardziej nie pasujące do damy przekleństwo. Biodra cofnęły się, a ich właścicielka wyprostowała się ssąc gwałtownie wskazujący palec.

– Ugryzł mnie! – mruzczała nie wyjmując palca z ust.

– Ten cholerny robał mnie ugryzł!

– Niepotrzebnie go pani drażniła – rzekł Rod. Odwróciła się do niego. Pierwszą rzeczą jaką Rod zauważył były jej oczy. Olbrzymie, nieproporcjonalnie wielkie.

– Ja nie... – zaczęła i przerwała. Wyjęła palec z ust. Odruchowo jedną rękę podniosła do włosów, a drugą przygładziła bluzkę, zrzucając z niej gałązki i listki krzewu.

– Kim pan jest? – zapytała i te olbrzymie oczy zlustrowały go od stóp do głów. Była to zwykła reakcja każdej kobiety od szesnastu do sześćdziesięciu lat w chwili, gdy patrzyły na Rodneya Ironsidesa po raz pierwszy; Rodney łaskawie to akceptował.

– Nazywam się Rodney Ironsides. Mam umówione spotkanie z doktorem Steynerem.

– Och – zaczęła szybko wciskać bluzkę w spodnie.

– Mój mąż jest chyba w gabinecie.

Wiedział, kim ona jest. Pewnie z pięćdziesiąt razy widział jej zdjęcia w gazecie Grupy, ale na nich przeważnie miała na sobie długą do ziemi obwieszoną diamentami wieczorową suknię, a nie rozdartą na ramieniu bluzkę i swobodnie opadające na nią warkoczyki. Na zdjęciach jej makijaż był cudownie doskonały, teraz nie była umalowana, lecz czerwona i mokra od potu.

– Pewnie wyglądam okropnie. Pracowałam w ogrodzie... – powiedziała niepotrzebnie Teresa Steyner.

– Czy ten ogród jest pani dziełem?

– Nie włożyłam w niego wiele wysiłku fizycznego, ale osobiście go zaplanowałam – wyjaśniła. Orzekła w duchu, że przybysz jest duży i brzydki... Nie, nie jest brzydki, ale jakiś taki zmalretowany.

– Jest piękny – oświadczył Rod.

– Dziękuję. – Nie, nie był znów taki zmalretowany, zmieniła opinię, to twardy człowiek. Rozpięta koszula ukazywała kręcone włosy na piersiach.

– Czy to jest protea? – wskazał krzew, z którego się wynurzyła. Zgadywał.

– Nutans – odparła. Miał pewnie grubo ponad trzydziestkę, włosy na skroniach zaczynały już siwieć.

– Hm, a ja myślałam, że to protea.

– I jest. Ale nutans to jest jej właściwa nazwa. Istnieje ponad dwieście odmian protei – odpowiedziała poważnie. Jego głos nie pasował do wyglądu, stwierdziła. Wyglądał jak czempion bokserski, a wyrażał się jak

prawnik, prawdopodobnie był jednym z nich. Manfreda w sprawach służbowych zwykle odwiedzali prawnicy lub konsultanci.

– Ach tak? To bardzo ładne. – Rodney dotknął jakiegoś kwiatu.

– Prawda? Mam tu pięćdziesiąt odmian. I nagle oboje uśmiechnęli się do siebie.

– Zaprowadzę pana do domu – powiedziała Teresa Steyner.

ROZDZIAŁ 8

– Przyszedł Mr Ironsides, Manfredzie.

– Dziękuję. – Siedział przy biurku, w gabinecie przesiąkniętym zapachem wosku. Nawet nie próbował podnieść się na powitanie.

– Chcecie kawy? – zapytała Teresa od drzwi. – A może herbaty?

– Nie, dziękuję – odrzekł Manfred Steyner za siebie i za Roda, który stał obok niej.

– Wobec tego zostawiam was – powiedziała.

– Dziękuję, Tereso. – Wyszła. Rod stał w miejscu i obserwował człowieka, o którym tyle słyszał.

Manfred Steyner na swoje czterdzieści dwa lata wyglądał młodo. Miał zaczesane gładko do tyłu jasnobrązowe włosy, prawie blond. Nosił okulary w grubej czarnej oprawie. Posiadał delikatną dziewczęcą cerę, bez śladu zarostu. Ręce, które leżały na politurowanym blacie biurka, również były gładkie i pozbawione zarostu, Rod zastanawiał się, czy używa depilatora.

– Proszę podejść – odezwał się i Rod podszedł do biurka. Steyner miał na sobie białą jedwabną koszulę, na której jeszcze widoczne były zaprasowania. Ubranie było śnieżnobiałe, na krawacie widniał emblemat Królewskiego Klubu Golfowego w Johannesburgu, spinki w mankietach wykonane były z onyksu. Nagle Rod uświadomił sobie, że ani koszula, ani krawat, nigdy przedtem nie były noszone, widocznie to co słyszał, było prawdą. Steyner zamawiał po dwanaście tuzinów ręcznie szytych koszul i wkładał je tylko raz.

– Niech pan siada, Ironsides. – Steyner niedbale wymawiał samogłoski, ze śladem niemieckiego akcentu.

– Doktorze Steyner – rzekł łagodnie Rod. – Ma pan do wyboru. Może pan do mnie mówić Rodney, albo Mr Ironsides.

Wyraz twarzy i głos Steynera nie uległy zmianie.

– Jako wstęp do naszej rozmowy, jeśli pan pozwoli, chciałbym dokonać przeglądu pańskiej pracy, Mr Ironsides. Zgadza się pan?

– Tak, doktorze Steyner.

– Urodził się pan 16 października 1931 roku w Butterworth, w Transkei. Pański ojciec był kupcem, matka zmarła w styczniu 1939 roku. W czasie wojny ojciec był kapitanem Durbańskiej Lekkiej Piechoty i zmarł zimą 1944 roku we Włoszech, z ran odniesionych na rzece Pad. Wychowywał pana wuj ze strony matki, zamieszkały w Londynie. W roku 1947 ukończył pan Queen College w Grahamstown. Nie udało się panu otrzymać stypendium Izby Górniczej na Uniwersytecie Witwatersrand, aby uzyskać tam tytuł inżyniera górnictwa. Wówczas wstąpił pan do GMTS [Government Mining Training School – Państwowa Szkoła Górnicza] i w roku 1949 otrzymał licencję. Potem jako praktykant związał się pan z Blyvooruilzicht Gold Mining Company Ltd.

Doktor Steyner wstał zza biurka i podszedł do pokrytej boazerią ściany, gdzie nacisnął ukryty przycisk. Część boazerii odsunęła się ukazując umywalkę i ręcznik. Mówiąc dalej, zaczął bardzo dokładnie myć ręce.

– W tym samym roku otrzymał pan nominację na górnika i w 1952 roku został pan szefem zmianowym, a w 1954 kierownikiem kopalni. W roku 1959 uzyskał pan patent dyrektora kopalni, w 1962 przyszedł pan do nas na stanowisko asystenta dyrektora sekcji, w roku 1963 został pan dyrektorem sekcji, w 1965 asystentem dyrektora kopalni, i w 1968 otrzymał pan obecne stanowisko dyrektora kopalni.

Doktor Steyner zaczął wycierać ręce śnieżnobiałym ręcznikiem.

– Pan bardzo dokładnie prześledził i zapamiętał etapy mojej kariery – przyznał Rod.

Doktor Steyner zgniótł ręcznik i wrzucił go do kubła stojącego pod umywalką. Nacisnął przycisk, boazeria zasunęła się, idąc ostrożnie po wypolerowanej drewnianej podłodze wrócił do biurka. Wówczas Rod zauważył, że jest niski, miał nie więcej niż pięć i pół stopy, to znaczy był podobnego wzrostu co i jego żona.

– Jest to pewnego rodzaju sukces – kontynuował Steyner. – Drugi najmłodszy dyrektor kopalni w naszej Grupie ma czterdzieści sześć lat, podczas kiedy pan nie ma jeszcze trzydziestu dziewięciu.

Rod potwierdził ruchem głowy.

– A teraz – rzekł doktor Steyner, sadowiąc się przy biurku i kładąc umyte ręce na blacie – chciałbym krótko opowiedzieć coś o pańskim prywatnym życiu... Ma pan co do tego jakieś zastrzeżenia?

I znów Rod nie miał zastrzeżeń.

– Powodem odmówienia panu stypendium przez Izbę Górnictwa, mimo doskonałych ocen ukończenia Queen College, była opinia dyrektora szkoły, że ma pan zmienny i wybuchowy charakter.

– Skąd pan, u licha, wie o tym? – wybuchnął Rod.

– Mam dostęp do dokumentów szkoły. Wydaje się, że raz ukarano pana po niespodzianej napaści na swojego dawnego dyrektora.

– Tak, rąbnąłem tego skurczybyka – zgodził się z satysfakcją Rod.

– Drogi odruch, Mr Ironsides. Kosztował pana stopień uniwersytecki.

Rod milczał.

– Kontynuując: w roku 1959 ożenił się pan z Patrycją Anną Harvey. W tym samym roku urodziła się wam córka, a dokładnie mówiąc w siedem i pół miesiąca po ślubie.

Rod lekko poruszył się na krześle, a doktor Steyner mówił dalej spokojnie:

– To małżeństwo zakończyło się rozwodem w roku 1964. Żona oskarżyła pana o zdradę i przyznano jej prawo opieki nad dzieckiem, alimenty i utrzymanie w wysokości 450 randów miesięcznie.

– Po co to wszystko? – zapytał niespokojnie Rod.

– Próbuję dokładnie ocenić pańską obecną sytuację. Zapewniam pana, że to konieczne. Doktor Steyner zdjął okulary i zaczął je czyścić nieskazitelnie białą chusteczką. Na nosie miał odcisnięty ślad oprawki.

– No, więc niech pan wali dalej – powiedział bez przekonania Rod. Chciał dowiedzieć się, ile Steyner jeszcze o nim wie.

– W roku 1968 został pan posądzony i oskarżony przez Miss Dianę Johnson o ojcostwo jej dziecka. Skazano pana na płacenie co miesiąc 150 randów.

Rod zamrugął, ale milczał.

– Powinienem również wspomnieć o dwóch innych sprawach przeciwko panu, o napaść, co prawda ponieważ udowodniono, że działał pan w samoobronie, obie nie zakończyły się wyrokiem skazującym.

– Czy to już wszystko? – zapytał ironicznie Rod.

– Prawie – przyznał doktor Steyner. – Istnieje jeszcze tylko konieczność stwierdzenia, że pańskie obecne wydatki obejmują dodatkowo 150 randów miesięcznie za sportowy samochód, 100 randów za mieszkanie przy Glen Alpine Heights 596, Corner Lane w Hillbrow.

Rod był wściekły, żył w przekonaniu, że w CRC nikt nie wie o tym mieszkaniu.

– Niech pana jasny szlag! Wtyka pan nos w moje prywatne sprawy!

– Tak – spokojnie zgodził się doktor Steyner. – Przyznaję się do winy, ale działałam w dobrej sprawie. Jeżeli pan wytrzyma, wówczas przekona się

pan dlaczego.

Nagle doktor Steyner wstał, przeszedł przez pokój do ukrytej umywalki, znowu umył ręce i wycierając je mówił dalej:

– Pańskie miesięczne wydatki wynoszą 850 randów. Pensja, którą pan pobiera, po potrąceniu podatku, wynosi mniej niż 1000 randów. Nie ma pan wyższego wykształcenia górniczego i bez niego szansę osiągnięcia następnego stopnia – generalnego dyrektora – są bardzo mało prawdopodobne. Osiągnął pan pułap, Mr Ironsides. Dalej pan nie może dojść. Za trzydzieści lat nie będzie pan już najmłodszym dyrektorem kopalni w CRC, ale najstarszym. – Doktor Steyner przerwał.

– To znaczy, jeśli pańskie kosztowne zachcianki nie wtrącają pana do więzienia za długi, a pański nieopanowany charakter i temperament, a także aktywność seksualna nie zmniejszą się, wpędzą one pana w poważne kłopoty.

Steyner znowu wrzucił ręcznik do kubła i wrócił za biurko. Siedzieli w milczeniu, obserwując się przez całą minutę.

– Pan mnie tu sprowadził tylko po to, aby mi o tym wszystkim powiedzieć? – zapytał Rod. Był cały spięty, jego głos był przytłumiony, potrzebna była tylko jedna mała prowokacja, aby doprowadzić go do wybuchu, a wtedy skoczy przez biurko i dopadnie gardła doktora Steynera.

– Nie – Steyner potrząsnął głową. – Wezwałem pana po to, żeby powiedzieć, że jeśli użyję moich wpływów, które jak sobie pochlebiam są duże, będę mógł zapewnić panu posadę – mam tu na myśli natychmiastową posadę – na stanowisku dyrektora generalnego Sonder Ditch Gold Mining Company Ltd.

Rod cofnął się w krzesło, jakby Steyner splunął mu w twarz. Wpatrywał się w niego oszołomiony.

– Dlaczego? – zapytał wreszcie. – Czego pan żąda w zamian?

– Ani pańskiej przyjaźni, ani pańskiej wdzięczności – odparł doktor Steyner. – Żądam tylko bezwzględnego posłuszeństwa i wykonywania moich poleceń. Będzie pan moim człowiekiem – całkowicie.

Rod obserwował go przez chwilę, jego umysł pracował gorączkowo. Bez interwencji Steynera musiałyby czekać przynajmniej dziesięć lat na awans, o ile w ogóle doczekałby się. Chciał tego, Boże, jak bardzo tego chciał! To stanowisko podniosłoby jego zarobki i pozycję. Jego własna kopalnia! Własna kopalnia w wieku trzydziestu ośmiu lat – i dodatkowo dziesięć tysięcy randów rocznie.

Jednak niełatwo łykał obietnice i nie wierzył Manfredowi Steynerowi, że cena za to będzie niska. Kiedy usłyszał, że będzie musiał być mu bezwzględnie posłuszny, wiedział, że to śmierdzi jak dziesięciodniowy trup. Jednak kiedy złapie tę posadę będzie mógł sprzeciwić się jego poleceniom. Wpierw należy ją dostać, a potem zdecydować, czy będzie wypełniał polecenia, czy też nie.

– Zgadzam się – rzekł.

Manfred Steyner wstał.

– Niedługo skontaktuję się z panem – powiedział. – A teraz może pan iść.

ROZDZIAŁ 9

Rod przeszedł przez szeroką werandę nic nie widząc i nic nie słysząc, odruchowo skierował się przez trawnik w stronę zaparkowanego samochodu. Trawił w myślach całą rozmowę, rozszarpując ją na kawałki jak rzucająca się na zwłoki sfora wściekłych psów. Prawie zderzył się z Teresą Steyner nie widząc jej i natychmiast jego myśli oderwały się od tematu generalnego dyrektorstwa. Teresa przebrała się, umalowała i ukryła warkoczyki pod cytrynowo–zieloną jedwabną chustką. Wszystko to zdążyła zrobić w ciągu pół godziny, która upłynęła od ich spotkania. Pochylając się z koszykiem w rękę nad grządką kwiatów podobna była do kolibra.

Rod był rozbawiony, a zarazem pochlebiało mu to, był bowiem na tyle próżny, aby sądzić, że ta cała odmiana dokonała się dla niego, a przy tym był na tyle koneserem, żeby to docenić.

– Halo – spojrzała na niego i udało jej się sprawić wrażenie, że jest szczerze zaskoczona. Jej oczy były naprawdę wielkie, co jeszcze bardziej podkreślał makijaż.

– Pracuje pani jak mała pszczołka – Rod spojrzał z uznaniem na kwiecisty kombinezon, jaki miała na sobie, dostrzegając, że pod jego spojrzeniem jej policzki pokrywa rumieniec.

- Spotkanie było udane?
- Bardzo.
- Pan jest prawnikiem?
- Nie. Pracuję dla pani dziadka.
- Co pan robi?
- Kopię jego złoto.

– W której kopalni?
– Sonder Ditch.
– Na jakim stanowisku?
– No, jeśli można polegać na słowie pani męża, to jestem nowym dyrektorem generalnym.
– Jest pan za młody – stwierdziła.
– Ja też tak myślałem.
– Pops na pewno będzie miał coś do powiedzenia na ten temat.
– Pops? – spytał.
– Mój dziadek.
Rod nie mógł powstrzymać śmiechu.
– Co w tym śmiesznego?
– Że nazwano przewodniczącego CRC „Popsem”.
– Tylko ja go tak nazywam.
– Mogę się założyć, że tylko pani – Rod znów się zaśmiał. – Mogę się też założyć, że udaje się pani wiele rzeczy, których nikt inny nie śmiałby zrobić.

Nagle wyczuli oboje seksualny podtekst tej uwagi i natychmiast zamilkli. Teresa spojrzała w dół i bardzo ostrożnie obcięła łodyżkę kwiatu.

– Nie chciałem tego wyrazić w ten sposób – usprawiedliwił się Rod.
– W jaki sposób, Mr Ironsides? – spojrzała na niego pytająco, z ironiczną niewinnością, zaśmiali się rozładowując nieprzyjemną sytuację.

Podeszła razem z nim do samochodu tak jakby to było zupełnie naturalne i kiedy usiadł za kierownicą zauważyła:

– Manfred i ja będziemy w przyszłym tygodniu w Sonder Ditch. Manfred będzie wręczał niektórym z pańskich ludzi nagrody za długą pracę i odwagę. – Przedtem odmówiła już Manfredowi, nie chciała mu

towarzyszyć, ale teraz będzie musiała tak zadziałać, aby ponowił zaproszenie. – Prawdopodobnie zobaczymy się tam.

– Będę pani wypatrywał – rzekł Rod i puścił sprzęgło.

Spojrzał w lusterko. Była niezwykle prowokującą i atrakcyjną kobietą. Nieostrożny mężczyzna mógł zapatrzeć się w jej oczy.

– Doktor Manfred Steyner ma z nią wielki problem – stwierdził. – Nasz Manfred prawdopodobnie jest tak zajęty mydleniem i szorowaniem swego sprzętu, że nigdy nie będzie miał czasu go użyć.

ROZDZIAŁ 10

Przez witrażowe okno doktor Steyner dostrzegł, jak maserati znikła za zakrętem drogi wjazdowej, i wsłuchiwał się w milknący dźwięk motoru.

Podniósł słuchawkę telefonu, wytarł ją białą chusteczką i przyłożył do ucha. Nakręcił numer, a kiedy odezwał się sygnał, obejrzał dokładnie paznokcie u drugiej ręki.

– Steyner – rzekł do mikrofonu. – Tak... tak. – Słuchał.

– Tak... Właśnie wyszedł... Tak, załatwiłem... Nie, nie będzie z tym żadnych trudności, jestem tego pewien. – Mówiąc to patrzył na dłoń i dostrzegłszy małą kropelkę potu na skórze skrzywił się z obrzydzeniem.

– Jestem całkowicie świadomy konsekwencji. Mówię ci, że wiem.

Zamknął oczy i przez minutę bez ruchu słuchał głosu w słuchawce, potem otworzył oczy.

– Zostanie to zrobione w odpowiednim czasie, zapewniam cię. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i poszedł umyć ręce. Teraz, pomyślał myjąc ręce, trzeba tylko jakoś to załatwić ze starym.

ROZDZIAŁ 11

Teraz był już stary. Siedemdziesiąt osiem długich ciężkich lat. Jego włosy i brwi były kremowobiałe. Skóra pofałdowana i pomarszczona, pełna piegów i plam, zwisała w niespodziewanych miejscach małymi woreczkami, zwłaszcza pod brodą i pod oczami. Miał wysuszone ciało, stał chudy i pochylony jak drzewo opierające się nacierającym wiatrom; niemniej ciągle jeszcze posiadał siłę woli i szybkość działania, tę samą szybkość, która nadała mu przydomek „Hurry” Hirschfeld, kiedy przed sześćdziesięciu laty pierwszy wkroczył na złotodajne pola.

Tego poniedziałkowego ranka stał przy wysokich oknach swego biura, mieszczącego się w specjalnej luksusowej nadbudówce wieżowca i patrzył w dół na Johannesburg. Reef House górował nad centrum miasta na wzgórzu Braamfontein, ramię w ramię z masywnym Schlesinger Building. Z tej wysokości wydawało się, że Johannesburg leży u stóp Hurry’ego Hirschfelda, tak jak w istocie powinno być.

Dawno temu, nawet przed wielkim kryzysem lat trzydziestych, przestał przeliczać swoje bogactwo na pieniądze. Posiadał ponad 25 procent akcji Central Rand Consolidated. Przy obecnej cenie rynkowej 120 randów za jedną akcję stanowiło to niewyobrażalną wprost kwotę. W dodatku, dzięki skomplikowanemu systemowi różnych powiernictw, prawnych pełnomocnictw i połączonych zarządów miał kontrolę nad blokiem dalszych 20 procent praw do głosu w Kompanii.

W pokoju wyłożonym materiałem w delikatnych kolorach nad jego głową zadźwięczał łagodnie intercom i Hurry lekko drgnął.

– Tak – rzekł nie odwracając się od okna.

– Jest tu doktor Steyner, Mr Hirschfeld – odezwał się szepczący głos sekretarki, jakby należał do bezcielesnego ducha w tym wspaniałym, luksusowym pokoju.

– Przyślij go tu – rzucił Hurry. Ten cholerny intercom zawsze go denerwował. Także ten cholerny pokój. Przypominał mu, jak często i głośno mówił Hurry, bajkowy burdel.

Przez pięćdziesiąt pięć lat pracował w brudnym, nagim biurze, gdzie na pustych ścianach wisiało tylko kilka pożółkłych fotografii ludzi i maszyn. A potem przenieśli go tutaj – rozejrzał się po pokoju z obrzydzeniem, które nie minęło nawet przez pięć lat pobytu w tym miejscu. Czy oni myślą, że jest jakimś parszywym damskim fryzjerem?

Obite boazerią drzwi bezszelestnie rozsunęły się i do pokoju wszedł ostrożnie doktor Manfred Steyner.

– Dzień dobry, dziadku – rzekł. Przez dziesięć lat, od chwili gdy Terry zgłupiała na tyle, aby wyjść za niego, Manfred Steyner zwracał się w ten sposób do Hurry’ego Hirschfelda, czego ten nienawidził. Przypomniawsobie, że to właśnie Manfred Steyner był odpowiedzialny za wystrój Reef House i również z tej przyczyny jego obecność drażniła go.

– Czegokolwiek byś chciał... mówię nie! – rzucił i przeszedł przez pokój do klimatyzatora. Termostat nastawiony był na „wysoka”, a teraz Hurry przestawił go na „najwyższa”. W ciągu kilku minut w pokoju zapanuje temperatura, w której można by wyhodować orchidee.

– Jak się dziś czujesz, dziadku? – Manfred zdawał się nie słyszeć jego słów, miał twarz bez wyrazu, kiedy podchodził do biurka, aby złożyć na nim papiery.

– Cholernie źle – odparł Hurry. Było niemożliwością wyprowadzić z równowagi tego małego picusia–glancusia, pomyślał, zupełnie jak gdyby ciskało się obraźliwe słowa w jakąś doskonale funkcjonującą maszynę.

– Przykro mi to słyszeć – Manfred wyciągnął chusteczkę i dotknął nią policzków i czoła. – Mam tu tygodniowe raporty.

Hurry skapitulował i podszedł do biurka. Sprawa dotyczyła interesów. Usiadł i zaczął szybko czytać. Zadawał krótkie i ostre pytania, które spotykały się z natychmiastowymi odpowiedziami. Ale chusteczka Manfreda znów poszła w ruch, zajęta wycieraniem i dotykaniem twarzy. Dwa razy zdejmował okulary i przecierał zaparowane szkła.

– Czy mogę trochę skrócić klimatyzator, dziadku?

– Jeżeli go tylko dotkniesz, kopnę cię w dupę – rzekł Hurry nie odrywając oczu od papierów.

Minęło następne pięć minut i Manfred Steyner nagle wstał.

– Proszę mi wybaczyć, dziadku. – Przebiegł przez pokój i zniknął w przyległej łazience. Hurry pochylił głowę słuchając i kiedy usłyszał szum wody, uśmiechnął się uszczęśliwiony. Klimatyzacja była jedynym sposobem, jaki odkrył, aby wyprowadzić Manfreda Steynera z równowagi, a już od dziesięciu lat eksperymentował różne techniki.

– Nie zużyj mi całego mydła – zawołał głośno. – Zawsze tak zwracasz uwagę na wydatki biurowe!

Hurry’emu nie wydawało się dziwne, że jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Afryce poświęca tyle czasu i energii, aby drażnić swego osobistego asystenta.

O jedenastej Manfred Steyner złożył papiery i zaczął pieczołowicie układać je w swojej ozdobionej monogramem teczce ze świńskiej skóry.

– Jeżeli chodzi o mianowanie dyrektora generalnego w Sonder Ditch na miejsce Lemmera, to może przypominasz sobie, dziadku, moje memorandum polecające pewnego młodego człowieka na tę kluczową pozycję...

– Nigdy nie czytałem żadnego cholernego memorandum – skłamał Hurry Hirschfeld.

Obaj wiedzieli, że czyta wszystko i wszystko dobrze pamięta.

– No więc... – ciągnął Manfred, przez minutę przedstawił sprawę, a potem zakończył: – W związku z tym mój dział i ja osobiście zgadzamy się z tym całkowicie i nalegamy, aby zaangażować na to stanowisko Rodneya Barry’ego Ironsidesa, obecnego dyrektora części podziemnej kopalni. Miałem nadzieję, że podpisałeś już, dziadku, rekomendację i będziemy mogli załatwić to na piątkowym zebraniu.

Manfred zwinnie podsunął Hurry’emu Hirschfeldowi żółty dokument, odkręcił nakrętkę pióra i podał mu je. Hurry ujął papier kciukiem i palcem wskazującym, jakby to była jakaś brudna chusteczka do nosa i wrzucił do kosza.

– Chcesz, abym dokładnie powiedziała, co ty i ten cały twój dział planowania może zrobić? – zapytał.

– Dziadku – powiedział Manfred, mitygując go delikatnie – nie można rządzić kompanią tak, jakbyś był jakimś raubritterem. Nie możesz ignorować całego zespołu ludzi o najwyższych kwalifikacjach, którzy akurat w tym wypadku są twoimi adwersarzami.

– Ja tu rządziłem przez pięćdziesiąt lat. Pokaż mi, kto to zmieni. – Hurry odchylił się w fotelu z niezmierną satysfakcją i wyciągnął z kieszeni olbrzymie cygaro.

– Dziadku, cygaro! Lekarz powiedział...

– A ja mówię, że stanowisko dyrektora generalnego w Sonder Ditch otrzyma Fred Plummer.

– On idzie za rok na emeryturę – zaprotestował Manfred Steyner.

– Tak – przytaknął ruchem głowy Hurry. – Ale jaki to ma związek?

– To trzęsący się staruszek, ledwo trzyma się na nogach – próbował znów Manfred, a w jego głosie brzmiała desperacja. Nie spodziewał się, że jeden z kaprysów starego zniszczy jego plany.

– On jest dwanaście lat młodszy ode mnie – warknął złowieszczo Hurry.
– Jak więc można nazwać go trzęsącym się staruszkiem?

ROZDZIAŁ 12

Teraz kiedy minął weekend, apartament wydawał się Rodowi przytłaczająco duszny i ciasny, i zapragnął jak najprędzej się z niego wydostać.

Stojąc nago przed lustrem i goląc się poczuł z salonu smród pełnych popielniczek i na pół opróżnionych szklanek. Sprzątaczką będzie miała w ten poniedziałek robotę na powitanie, jeżeli przyjdzie późno. Z Louis Borna Avenue dochodził wzmagający się hałas ruchu ulicznego. Spojrzał na zegarek – szósta rano. Dobra pora, aby zbadać stan swojej duszy, pomyślał, pochylił się do lustra i popatrzył w odbicie swych oczu.

– Jesteś już za stary na taki tryb życia – powiedział do siebie poważnie.
– Od rozwodu żyłeś tak przez cztery lata i chyba już dość. Przyjemnie byłoby wejść do łóżka z tą samą kobietą przez dwie noce pod rząd.

Umył maszynkę do golenia i podszedł do kabiny natrysku.

– Będę mógł sobie nawet na to pozwolić, jeśli nasz Manfredzik dotrzyma słowa. – Jednak Rod nie mógł sobie pozwolić na to, aby całkowicie wierzyć w obietniki Manfreda Steynera; w ciągu dwóch ostatnich dni podniecenie mieszało się w nim z cynizmem.

Wszedł pod prysznic i namydlił się, potem odkręcił kurek zimnej wody. Zaczerpnął powietrza, zakręcił kurek i sięgnął po ręcznik. Wycierając ciało wyszedł z łazienki i podszedł do łóżka. Przyglądał się dziewczynie, która leżała wśród pomiętych prześcieradeł.

Była opalona na brązowo i wydawało się, że w miejscach gdzie nie dotarło słońce, ma na sobie biały przezroczysty biustonosz i majteczki. Jej złotoblond włosy rozsypane były na twarzy i na poduszce, ich kolor

kontrastował z czarnym trójkąciem u dołu brzucha. We śnie jej różowe usta były odęte i wyglądała niepokojąco młodo. Rod musiał wysilić pamięć, aby przypomnieć sobie jej imię, gdyż to nie z nią zaczął weekend.

– Lucille – rzekł siadając obok niej. – Obudź się. Czas wstawać.

Otworzyła oczy.

– Dzień dobry – powiedział i pocałował ją delikatnie.

– Mmm... – Zamrugła powiekami. – Która godzina? Nie chcę, żeby mnie wyrzucili z pracy.

– Szósta – odpowiedział.

– Och, to dobrze. Mam jeszcze czas. – Odwróciła się na bok i przyłgnęła do prześcieradła.

– Do diabła – klepnął ją w pupę. – Rusz się, dziewczyno, umiesz gotować?

– Nie... – Uniosła głowę. – Jak się nazywasz? – zapytała.

– Rod.

– Ach tak... Rod Tłok – zachichotała. – Kiedy ty będziesz miał dosyć? Pewnie napędza cię maszyna parowa?

– Ile masz lat? – zapytał.

– Dziewiętnaście. A ty?

– Trzydzieści osiem.

– Tatku, to ty już jesteś wiekowy! – wykrzyknęła.

– Tak, czasem tak się czuję. – Wstał. – Idziemy.

– Ty idź. Ja wyjdę później i zamknę drzwi.

– Nic z tego – rzekł; ostatnia, którą zostawił samą w mieszkaniu, dokładnie je oczyściła – z artykułów spożywczych, alkoholi, szklanek, a nawet z popielniczek. – Masz się ubrać w pięć minut.

Na szczęście mieszkała na trasie jego przejazdu. Pokazała jak jechać do zaniedbanego, otoczonego stertami śmieci, bloku czynszowego na

Booysens.

– Pomagam trzem niewidomym siostronom ukończyć szkołę, a ty teraz zechcesz mi też pomóc? – zapytała, gdy parkował maserati.

– Oczywiście – podał jej pięć randów.

– Bardzo dziękuję. – Wysunęła się z fotela obitego czerwoną skórą, zatrzasnęła drzwi i odeszła. Znikła za blokiem, nawet się nie oglądając. Rod nagle poczuł się ogromnie samotny. Było to uczucie tak silne, że przez minutę siedział bez ruchu, potem włączył bieg i ruszył ostro.

– Moja mała pięciorandowa przyjaciółeczka – powiedział. – Rzeczywiście zależało jej na mnie!

Jechał tak szybko, że dotarł do Kraalkop, gdy cienie były jeszcze długie i na trawie srebrzyła się rosa. Zjechał na pobocze i wysiadł. Opierając się na masce zapalił papierosa krzywiąc się. Spojrzał w dół na dolinę.

Nie było tam widać żadnego zewnętrznego śladu fantastycznego skarbu, który tkwił pod powierzchnią ziemi. Była podobna do innych trawiastych przestrzeni Transwalu. Pośrodku wznosiło się Kitchenerville, które przez pół wieku szczyliło się faktem, że lord Kitchener pewnej nocy, ścigając przebiegłego Bura, rozbił tam obóz; był to najpierw zespół trzech tuzinów budynków, który później w jakiś cudowny sposób rozrósł się do trzech tysięcy domów usytuowanych wokół wspaniałego ratusza i centrum handlowego. Miasto zdobiły trawniki i ogrody, miało szerokie ulice i jasne nowoczesne domy; wszystko to powstało dzięki kompaniom, które dzierżawiły w tym miejscu tereny.

Na otaczających miasto ponurych pustych terenach stały wieże wyciągowe szybów, niczym gigantyczne monumenty wystawione przez ludzi głodnych złota. Wokół nich zgrupowane były zabudowania kopalni. W dolinie można było naliczyć czternaście takich wież szybów wydobywczych. Teren podzielono na pięć dzierżaw, pod prawnymi tytułami

farm i był eksploatowany przez niezależne kompanie: Thornfontein Gold Mining, Blaauberg Gold Mining, West Tweefontein Mining, Deep Gold Levels i Sonder Ditch Gold Mining Company.

Ta ostatnia znajdowała się w centrum uwagi Roda.

– Moja ty pięknotko – wyszeptał. Patrzył na piętrzące się obok szybów hałdy niebieskich skał, na zawily, lecz logiczny wzór, jaki tworzyły zabudowania kopalni, poźółkłe od siarki zwały mułu, a wszystko to było jakoś funkcjonalnie piękne.

– Załatw mi to, Manfredzie – powiedział głośno. – Chcę tego. Paskudnie tego chcę.

Na dwudziestu ośmiu milach kwadratowych należących do Sonder Ditch mieszkało czternaście tysięcy istnień ludzkich, dwanaście tysięcy z nich należało do Bantu zwerbowanych w całej Południowej Afryce. Mieszkali w położonych blisko szybów wielopiętrowych domach noclegowych i każdego dnia zjeżdżali przez dwa małe otwory w ziemi na trudną do uwierzenia głębokość i tymi samymi dwoma otworami wracali. Dwanaście tysięcy ludzi zjeżdżało w dół, dwanaście tysięcy wyjeżdżało na powierzchnię. Ale to nie wszystko: przez te same dwa otwory wyciągano codziennie dziesięć tysięcy ton skał, a opuszczano drewno, narzędzia, rury i materiały wybuchowe, tona za toną materiałów i wyposażenia. Było to przedsięwzięcie, wzbudzające dumę w człowieku, któremu udało się tego dokonać.

Rod spojrział na zegarek. Była 7:35. Oni byli już na dole, dwanaście tysięcy ludzi. Pracę zaczynali o wpół do czwartej rano i teraz byli tam w komplecie. Cała szychta. Sonder Ditch wgryzała się w skały i dawała urobek.

Rod uśmiechnął się zadowolony. Jego samotność i desperacja, które odczuwał przed godziną, zniknęły. Pochłonęło go zawodowe

zaangażowanie. Obserwował masywne koła wyciągów szybowych, które zatrzymywały się na krótko i znów ruszały.

Każda z tych wież wyciągowych kosztowała pięćdziesiąt milionów randów, a wszystkie pozostałe budynki na powierzchni drugie pięćdziesiąt milionów. Sonder Ditch zainwestowała sto pięćdziesiąt milionów randów, dwieście dwadzieścia milionów dolarów. Była to potęga i taką pozostanie.

Rod pstryknął niedopałek papierosa. Jadąc grzbietem skierował wzrok na wschodni kraniec doliny. Cała aktywność wydobywczą zatrzymywała się nagle na wyimaginowanej linii biegnącej z północy na południe, pozornie wyznaczonej w sposób dowolny na otwartym stepie. Pozornie nic tego nie uzasadniało, lecz przyczyna leżała ukryta głęboko w ziemi.

Bowiem wzdłuż tej linii biegł geologiczny fenomen, zaporą, ścianą z twardego serpentynu, którą nazwano „Big Dipper”. Przecinała teren jak uderzenie topora, a poza nią był zły obszar, na którym w ziemi tkwiło złoto; wiedzieli o tym, ale żadna z tych pięciu kompanii nie próbowała po nie sięgnąć. To znaczy próbowano, ale później jakoś rezygnowano, sondażowe otwory wiertnicze dawały wyniki przerażające w swej nielogiczności.

Duży procent terenów Sonder Ditch leżał w oddalonej części „Big Dipper” i teraz wierciła tam ekipa wiertników stosując diamentowe wiertła. Wykonali już pięć otworów.

Rod dokładnie pamiętał wyniki tych wierceń.

Odwiert S.D. nr 1. Zalany wodą na głębokości 4000 stóp.

S.D. nr 2. Zaniechano wiercenia w suchym odwiercie na głębokości 5250 stóp.

S.D. nr 3. Przecięty pokładem węgla na głębokości 6600 stóp.

Zawór próbny. 27323 cale penny-weight.

Pierwsze odchylenie. 6212 cali penny-weight.

Drugie odchylenie. 2114 cali penny-weight.

S.D. nr 4. Zaniechano w wodzie typu artezyjskiego na głębokości 3500 stóp.

S.D. nr 5. Przecięty pokładem węgla na głębokości 8115 stóp.

Zawór próbny. 562 cale penny-weight.

Obecnie wiercili w tym ostatnim otworze.

Problem polegał na utworzeniu obrazu z wyników wierceń. Wyglądał jednak jak całe mnóstwo pomyłek w gruncie nasyconym wodą, z fragmentami żył złota o niespotykanym bogactwie zgromadzonym w jednym miejscu, a w odległości pięćdziesięciu stóp dalej nagle urywającym się.

„Kiedyś będą tam wydobywać”, pomyślał Rod, „ale mam, do licha, nadzieję, że wtedy będę już na emeryturze”.

Poza hałdami szlamu rozpoznawał stojący wśród wysokiej trawy pajęczy trójnóg wieży wiertniczej.

– Starajcie się, chłopcy – mruknął. – Czegokolwiek się tam dowiecie, to dla mnie i tak jest bez znaczenia.

Wjechał w imponującą bramę prowadzącą na teren kopalni, zatrzymał się ostrożnie przy znaku „stop”, gdzie tor kolejowy przecinał drogę i wystawił dwa palce w kierunku policjanta chowającego się za bramą.

Policjant uśmiechnął się i kiwnął ręką, w zeszłym tygodniu wlepił Rodowi mandat i ciągle jeszcze było dla niego jeden zero.

Rod pojechał do swego biura.

ROZDZIAŁ 13

Tego poniedziałkowego poranka Allen „Popeye” Worth przygotowywał się do wiercenia pierwszego odchylenia w odwiercie S.D. nr 5. Allen był Tekszańczykiem – nietypowym Tekszańczykiem. Miał tylko pięć stóp i cztery cale wzrostu i był twardy jak jego stalowe wiertło. Zawodu zaczął uczyć się przed trzydziestu laty na polach roponośnych pod Odessą i wyuczył się go bardzo dobrze.

Teraz mógł już wiercić w skorupie ziemskiej czterocalowy otwór na głębokość trzynastu tysięcy stóp, utrzymując otwór w tak prostej linii, że było to wprost zadaniem niewykonalnym, biorąc pod uwagę drgania i moment obrotowy w połączeniu z długością stalowego wiertła.

Jeżeli, jak się czasami zdarzało, stal pękła w otworze na głębokości tysięcy stóp wówczas Allen potrafił wprowadzić w otwór przyrząd łowiący i cierpliwie odszukać miejsce pęknięcia, usunąć i wydobyć na powierzchnię złamany element. Kiedy trafiał na żyłę, mógł odpowiednio skierować wiertło i przebić żyłę tak, aby wydobyć z niej próbki, a zatem również i całego terenu. I to właśnie nazywano „odchyleniem” wiercenia.

Allen był jednym z najlepszych. Potrafił wyklócić się o zapłatę za swoją robotę i zachowywał się jak primadonna, a jego szefowie skakali wokół niego, ponieważ to, co on potrafił zrobić swoim diamentowym wiertłem, przypominało prawie czary.

W tym momencie ustalał kąt pierwszego odchylenia. Poprzedniego dnia opuścił długi miedziany cylinder do dna odwiertu i pozostawił go przez noc. Cylinder był do połowy wypełniony stężonym kwasem siarkowym,

który trawił ścianki. Po zmierzeniu kąta trawienia będzie wiedział, jak wiercenie odchylić od pionu.

Ukończył pomiary w małym baraku z drewna i blachy, stojącym w pobliżu wieży wiertniczej, wstał i chrząknął z zadowoleniem.

Z kieszeni na biodrze wyciągnął fajkę i woreczek z tytoniem. Napchał fajkę i zapalił, a wtedy można było przekonać się, dlaczego nosił przydomek „Popeye”. Był bowiem sobowtórem tej komiksowej postaci, o agresywnej szczęce, oczach jak guziczki i ze zniszczoną marynarską czapką na głowie.

Pykał z zadowoleniem fajkę, obserwując przez jedyne okienko baraku jak jego zespół trudził się nudnym zajęciem opuszczania wiertła w głąb ziemi. Potem wyjął fajkę z ust, splunął celnie przez okno, znowu wetknął fajkę między zęby i pochylił się, żeby jeszcze raz dokładnie sprawdzić pomiary.

Przerwał mu od drzwi jego główny wiertniczy.

– Jesteśmy już na dole, możemy wiercić, szefie.

– Hm! – Popeye spojrział na zegarek. – Potrzebowałeś dwóch godzin czterdzieści, żeby zejść w dół. Nie wysilasz się, co?

– Przecież to nieźle – zaprotestował wiertniczy.

– Ale również, do cholery, nie jest dobrze! Okay, okay, przestań warczeć, zaczynamy kręcić. – Wyskoczył z baraku i skierował się do wieży, rzucając dookoła szybkie spojrzenia. Wieża wiertnicza miała pięćdziesiąt stóp wysokości, zbudowana była ze stali, posiadała platformę, na środku której znajdował się zwisający w dół i znikający w kołnierzu pręt wiertniczy. Dwa stukonne diesle wibrowały niecierpliwie czekając na dostarczenie mocy. Ich rury wydechowe wyrzucały błękitne spaliny w powietrze wczesnego rozświetlonego poranka. Za wieżą piętrzyły się stosy metalowych prętów wiertniczych, a za nimi wznosił się zbiornik na

wodę dostarczaną do otworu wiertniczego o pojemności dziesięciu tysięcy galonów. Wodę bez przerwy pompowano do otworu, aby chłodzić narzędzie w czasie wiercenia skały.

– Przygotujcie się – zawołał Popeye i ludzie zajęli swoje stanowiska. Stali napięci i gotowi, w niebieskich kombinezonach, z kolorowymi hełmami z włókna szklanego na głowach i rękoma chronionymi skórzanymi rękawicami. Był to dla całego zespołu bardzo denerwujący moment. Pręt o długości półtorej mili należało traktować z delikatnością kochanka, inaczej zegnije się i pęknie.

Popeye zręcznie wskoczył na kołnierz i rozejrzał się, aby sprawdzić, czy wszystko gotowe. Główny wiertniczy stał przy tablicy kontrolnej z rękoma złożonymi na przekładniach, obserwując uważnie Popeye'a.

– Dać moc! – rozkazał Popeye i prawą ręką zatoczył koło. Dieszle ryknęły i Popeye chwycił lewą ręką pręt wiertniczy. A zrobił to w tym celu, aby poczuć go gołą ręką, i wzrokiem oraz słuchem oceniać napężenie.

Kiwnął prawą ręką i główny wiertniczy delikatnie włączył sprzęgło. Pręt drgnął i na następny ruch ręki zaczął się powoli obracać w dłoni Popeye'a.

Czuł, że już prawie znajduje się w punkcie załamania i natychmiast polecił wyłączyć siłę, którą potem znów uruchomił. Prawą ręką poruszał tak sugestywnie, tak ekspresyjnie, że przypominała rękę dyrygenta, a wiertniczy, młodszy członek wysoce wyszkolonego zespołu, bezbłędnie reagował na te ruchy.

Powoli zmalało napięcie w zespole, obroty wiertła wzrastały równomiernie, aż Popeye zaciśniętą pięścią dał znak „okay” i zeskoczył z kołnierza. Rozeszli się do innych zajęć jakby nigdy nic, podczas gdy Popeye i wiertniczy powoli wrócili do baraku, pozostawiając wiertło, aby nadal wgryzało się konsekwentnie z szybkością czterystu obrotów na minutę.

– Mam coś dla ciebie – powiedział wiertniczy, kiedy wchodzili do baraku.

– Co? – zapytał zaciekawiony Popeye.

– Ostatni numer „Playboya”.

– Żartujesz! – nie dowierzał Popeye, ale wiertniczy wyłowił zwinięte pismo z pudełka na lunch.

– Hej, co tam! – Popeye wyrwał mu z ręki pismo i natychmiast otworzył na kolorowej rozkładówce.

– Czy nie wspaniała! – gwizdnął. – Ta dziewczyna mogłaby pracować w rzeźni i zabijać woły cyckami!

Wiertniczy włączył się do dyskusji o szczegółach anatomicznych młodej dziewczyny tak, że przez dwie minuty nie zauważyli zmiany dźwięku wiertła. Nagle Popeye usłyszał, to poprzez mgłę erotycznej rozmowy. Rzucił magazyn i błąd wypadł z baraku.

Od baraku do wieży było pięćdziesiąt jardów, ale nawet z tej odległości Popeye czuł wibracje wiertła. Wychwycił nutę wysiłku w pracy przeciążonych diesli i pędził jak foksterier, próbując dopaść sterowni i zatrzymać maszynę, zanim to się stanie.

Wiedział co to było. Świder wbił się w jedno z pęknięć, którymi, niestety, poprzecinane było w tym miejscu wnętrze ziemi. Woda odpłynęła tym pęknięciem z otworu wiertniczego i zostawiła wiertło obracające się na sucho. Obroty podniosły temperaturę, woda nie spłukiwała pyłu i w efekcie wiertło zaklinowało się. Na jednym końcu zostało zahamowane i nie obracało się, podczas gdy na drugim diesle próbowały je wkręcać. Całe urządzenie wiertnicze dzieliły sekundy od skręcenia się.

Powinien przy urządzeniu kontrolnym stać operator, aby zapobiec tego rodzaju wypadkom, ale on znajdował się w odległości stu jardów,

wychodząc właśnie z drewnianej ubikacji położonej za hałdą szlamu. Z desperacją próbował podnieść spodnie i bieć zapinając pasek.

– Ty kurewski gnojku! – ryknął Popeye biegnąc. – Co ty sobie myślisz, do cholery...

Słowa uwięzły mu w gardle. Gdy dopadał drzwi maszynowni, usłyszał dźwięki pękającego wiertła, przypominające wystrzały armatnie, i natychmiast diesle ryknęły zmieniając obroty przy zmniejszonym obciążeniu. Za późno, Popeye uderzył w przyciski, maszyny zatrzymały się i zapadła cisza.

W tej ciszy Popeye płakał z rozpaczy, wysiłku i ze złości.

– Skręcone – łkał. – A do tego głęboko. O, nie! Boże, nie! – Mogło to im zabrać dwa tygodnie, aby wyłowić złamane wiertło, pompować cement pieczętujący pęknięcie i zaczynać od początku.

Zdjął z głowy hełm i z całej siły rzucił nim o podłogę maszynowni. A potem zaczął po nim skakać. Była to zwyczajna procedura. Popeye rozgniatał w ten sposób hełm przynajmniej raz w tygodniu i wiertniczy wiedział, że kiedy skończy przyczepi się do każdego, kto znajdzie się w pobliżu.

Wiertniczy spokojnie wślizgnął się za kierownicę ciężarówki forda, a reszta zespołu wskoczyła na platformę i ruszyli podskakując na wybojach. Przy głównej drodze mieściła się gospoda, do której w takich właśnie okolicznościach wstępowali na kawę. Kiedy Popeye'a opuściło wściekłe zaślepienie, każące mu szukać ofiary, rozejrzał się i zauważył, że wokół wieży jest dziwnie cicho i pusto.

– Tępa banda czerwonodupych tchórzliwych pawianów! – zawył załamany, patrząc na odjeżdżającą ciężarówkę i jedyne, co teraz mógł zrobić, to pójść do baraku i zatelefonować do dyrektora.

Dżentelmen siedzący w klimatyzowanym biurze Hart Drilling and Cementation, wysoko nad Rissik Street w Johannesburgu, był nieco zdziwiony, kiedy dowiedział się od Popeye Wortha, że to właśnie on, dyrektor, był bezpośrednio odpowiedzialny za ukręcenie tego niezwykle cennego diamentowego wiertła w otworze nr 5 Sonder Ditch.

– Gdybyś użył tej kupy budyniu, która, uważasz za swój mózg, wówczas nie odważyłbyś się dziurawić tej pajęczyny pęknięć – wrzeszczał Popeye do słuchawki. – Wolałbym wsadzić mojego ojca w maszynkę do mięsa niż świder w ten grunt. To jest śmierdzące, mówię ci! To wewnątrz jest naprawdę paskudne. Niech Bóg pomoże temu skurwysynowi który będzie próbował tam kopać!

Trzasnął słuchawką i trzęsącą się ręką wetknął fajkę w usta. Dziesięć minut później jego oddech wyrównał się i ręce przestały latać. Znów chwycił słuchawkę i zatelefonował do gospody. Odebrał właściciel.

– Jose, powiedz moim chłopcom, że wszystko jest okay, mogą teraz wracać do domu – oznajmił Popeye.

ROZDZIAŁ 14

Rod Ironsides był zdenerwowany bardziej niż zwykle, gdy stwierdził, że musi rozwikłać tuzin papierkowych spraw, które zastał na biurku. W czasie pracy uzmysłowił sobie, że Manfred Steyner byłby zdolny to zrobić, tak, on mógłby to zrobić.

Sonder Ditch mogła wkrótce należeć do niego. Pozbył się ostatniej sprawy i odchylił na obrotowym fotelu. Miał jasny umysł, oczyszczony z pajęczyn rozpusty i jak zwykle czuł się zdrowszy i odświeżony.

„Jeżeli ją dostanę, zrobię z niej najlepszą kopalnię na tym całym terenie”, pomyślał zachłannie, „wszyscy będą mówić o Sonder Ditch od Wall Street do Bourse, i o człowieku, który ją prowadzi. Wiem, jak to zrobić. Obetnę koszty aż do kości i umocnię jej pozycję. Frank Lemmer był porządnym facetem, potrafił wyciągnąć wszystko z ziemi, ale doprowadzał do wyciskania spągu. Kosztowało go to prawie dziewięć randów na tonę przemiału. Wydobędę tyle co on, ale zrobię to taniej. Wszystko zaczyna się od człowieka, który kieruje. Frank Lemmer mówił o kosztach, ale naprawdę o nich nie myślał i wszyscy wiedzieli, że się nimi nie przejmują. Ponieważ mamy bogatą żyłę, działaliśmy rozrzutnie i marnowaliśmy wielkie pieniądze. No, ja też będę mówić o kosztach, ale zedrę skórę z dupy każdemu, kto będzie myślał, że żartuję. W zeszłym roku Hamilton z Western Holdings utrzymywał koszt robocizny za tonę przemiału nieco ponad sześć randów. Mogę zrobić to samo tutaj! Potrafię spowodować, żeby zysk podskoczył do dwunastu milionów randów rocznie i jeżeli tylko dadzą mi to stanowisko, wykrzyczę nazwę Sonder Ditch poprzez wszystkie rynki finansowe świata”.

Problem, nad którym zastanawiał się Rod, był zmorą przemysłu wydobywającego złoto. Od 1930 roku cenę złota ustalono na 35 dolarów za uncję czystego kruszcu. Od tego czasu koszty wydobycia nieustannie wzrastały. W tamtych dniach uważano, że cztery penny-weight złota w tonie rudy stanowiło ilość opłacalną. Teraz około osiem penny-weight stanowiło wielkość jedynie marginalną.

A tymczasem wszystkie te miliony ton rudy, których wartość wydobywcza wahała się między czterema a ośmioma penny-weight, leżały poza zasięgiem ludzkich możliwości, aż do chwili, gdy wzrośnie cena złota.

Istniało wiele kopalń o olbrzymich rezerwach rudy z zawartością złota, miliony w sztabach złota, których wartość leżała tuż poniżej magicznej cyfry osiem. Te kopalnie stały puste i zapomniane, rdza czerwieniła maszyny, szyby, dachy z blachy falistej, zmęczone zapadały się w ziemię. Wzrastające koszty spowodowały ich zamknięcie, skazało je jedno jedyne słowo: NIEOPŁACALNOŚĆ.

Sonder Ditch dawała dwadzieścia do dwudziestu pięciu penny-weight z tony. Była wydajna, ale mogła być wydajniejsza. Tak twierdził Rod.

Usłyszał pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał Rod i zerknął na zegarek. Była już dziewiąta. Czas na poniedziałkową odprawę z kierownikami.

Przybyli pojedynczo i parami, było ich dwunastu. Frontowi ludzie Roda, walczący oficerowie. Zjeżdżali na dół codziennie, każdy do swojej sekcji i kierowali tam aktualnym atakiem na skałę.

W czasie gdy prowadzili luźną rozmowę, czekając na rozpoczęcie odprawy, Rod obserwował ich ukradkiem i przypominał sobie, co powiedział mu Herman Koch z Anglo-American.

– Górnictwo to twarda gra i skupia ludzi o twardych charakterach.

A ci byli naprawdę twardzi, fizycznie i psychicznie, i Rod uświadomił sobie ze zdumieniem, że i on jest też jednym z nich. Nikim więcej, tylko jednym z nich. Teraz był ich przywódcą i z ogromnym zaangażowaniem i dumą rozpoczął odprawę.

– Dobra, zaczynajcie narzekać. Kto pierwszy? Bywają ludzie, którzy potrafią nadzorować i wycisnąć wszystko z innych ludzi. Rod należał do nich. To było więcej niż jego siła fizyczna, stanowczy głos i serdeczny chichot. Był to szczególnego rodzaju magnetyzm, urok osobisty i poczucie odpowiedniego czasu. Pod jego kierownictwem odprawa przebiegała swobodnie i żywo, mówiono otwarcie, śmiano się i potakiwano, kiedy mówił Rod.

Wiedzieli, że był tak twardy jak oni, i szanowali go za to. Wiedzieli, że to co mówił miało sens, więc słuchali. Wiedzieli, że jak coś obieca, dotrzyma słowa, i dlatego byli spokojni. Wiedzieli również, że kiedy podjął jakąś decyzję lub coś osądził, był konsekwentny tak, że każdy człowiek dokładnie wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Gdyby któregoś z nich zapytano, przyznałby, nawet gdyby tego nie chciał, że „Ironsides nigdy nie pieprzy”. A to było równoznaczne z ogromnym uznaniem.

– No, dobra – zakończył Rod odprawę. – Zmarnowaliście dobre dwie godziny czasu Kompanii kłapiąc jadaczkami. Teraz bądźcie tacy uprzejmi, podnieście dupy z krzeseł, zjedźcie na dół i zacznijcie przysyłać na górę urobek.

ROZDZIAŁ 15

Kiedy ci ludzie planowali zajęcia na cały tydzień, ich podwładni pracowali pod nimi w ziemi.

Na poziomie 87, Kowalski poruszał się wzdłuż słabo oświetlonego chodnika jak wielki niedźwiedź. Zgasił lampę na hełmie i szedł bezdźwięcznie, lekko jak na człowieka o takiej tuszy. W mrocznym tunelu usłyszał przed sobą głosy. Przystanął i uważnie nasłuchiwał. Nie były to dźwięki łopat uderzających w pokruszone skały, neandertalskie rysy twarzy Kowalskiego ściągnęły się w grymasie wściekłości.

– Skurwysyny! – mruknął cicho. – Myślą, że jestem daleko na przodku, co? Pewnie uważają, że to w porządku siedzieć na tych swoich tłustych dupach, zamiast kruszyć tę cholerną skałę.

Ruszył znów do przodu, niczym niedźwiedź na kocich łapkach.

– Zaraz się przekonacie, że jest zupełnie inaczej! – groził. Obszedł narożnik i zapalił lampę. Było tam trzech ludzi, których Kowalski postawił do ładowania kamienia spod ściany do czekających – wagoników. Dwaj z nich siedzieli oparci o wagonik, paląc z zadowoleniem, a trzeci bawił ich opowiadaniem o konkursie picia piwa, do którego stanął minionej Gwiazdki. Łopaty i młoty stały oparte o ścianę.

Wszyscy trzej zamarli bez ruchu, kiedy padło na nich światło z lampy Kowalskiego.

– To tak! – eksplodował Kowalski, chwycił czternastofuntowy młot, odwrócił go trzonkiem w dół. Stalowy młot wysunął się z trzonka i Kowalski trzymał teraz w ręku czterostopowy kij z twardego drewna.

– Ty, szef wiertników! – ryknął i wolną ręką chwycił za gardło najbliższego Bantu. Jednym szarpnięciem zwałił go na kolana i zaczął wlec wzdłuż chodnika. Nawet zaślepiony wściekłością Kowalski chciał być pewny, że nie będzie miał świadków. Pozostali siedzieli na miejscach bez ruchu, sparaliżowani przerażeniem, podczas gdy ich towarzysz wył i krzyczał w pobliskiej ciemności.

W zamkniętej przestrzeni chodnika usłyszeli pierwsze uderzenie, po którym natychmiast zabrzmiał okrzyk bólu.

Następne uderzenie i następny krzyk.

Trzask, uderzenie, trzask, uderzenie, powtarzało się to bez przerwy, aż towarzyszące im wrzaski zmieniły się w jęki i skomlenia, aż wreszcie wszystko ucichło.

Kowalski wrócił sam, w świetle lampy lśnił zlany potem, rękojeść młota była czarna, oblepiona świeżą krwią.

Rzucił ją pod ich stopy.

– Do roboty! – wrzasnął i odszedł w ciemność wielki jak niedźwiedź.

ROZDZIAŁ 16

Na setnym poziomie Joseph M’Kati polewał wodą z węża i zmiatał okruchy spod gigantycznego przenośnika taśmowego. Joseph pracował już przy nim od pięciu lat i był zadowolonym i szczęśliwym człowiekiem.

Joseph był Shangaanem, zbliżał się do sześćdziesiątki i pierwszy szron srebrzył jego włosy. Wokół oczu i w kącikach ust widniały zmarszczki od śmiechu. Nosił hełm zsunięty z czoła, miał na sobie kombinezon z ręcznie haftowanymi niebieskimi i czerwonymi naszywkami i chodził beztrąsko dumny jak paw.

Przenośnik miał wiele setek jardów długości. Ze wszystkich poziomów powyżej niego zeskrobywano żyłę złotodajną z przodków i transportowano do głównego chodnika, gdzie kursowały wagoniki. Z wywrotnych wagoników przesypanyo rudę do specjalnych wpustów, którymi spadała na setny poziom, tysiące stóp poprzez żywą skałę, na przenośnik taśmowy. System stalowych klap regulował stały spływ masy skalnej na przenośnik, który prznosił ją dalej do szybu, a następnie zrzucał do olbrzymich silosów. Stamtąd automatycznie przechodziła w porcjach piętnastotonowych do windy przeznaczonej do transportu urobku i wędrowała na powierzchnię w czterominutowych odstępach.

Joseph wesoło pracował przy świszczącym transporterze, urobek rozsypywał się w niewielkich, lecz ważnych ilościach. Złoto zachowuje się dziwnie, zawsze opada na dół. Niesione własną specyficzną siłą grawitacji jakoś przedostaje się w dół poprzez każdy inny minerał. Wynajduje zagłębienie lub szparę w podłożu i wciska się w nią. Gdyby pozostawiono je w spokoju, prawdopodobnie zapadłoby się w ubity grunt.

Takie właśnie właściwości złota były w pewnej mierze przyczyną zadowolenia Josepha M'Kati. Płucząc i zamiatając doszedł do końca przenośnika i natychmiast wyprostował się. Odłożył na bok szczotkę i zaczął masować biodro w okolicy nerek, rozglądając się szybko dokoła, aby upewnić się, że nie ma nikogo w tunelu przenośnika. Obok niego znajdował się silos na rudę, do którego przenośnik wsypywał ładunek. Mógł on pomieścić wiele tysięcy ton.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, że jest sam, Joseph upadł na ręce i kolana, wpełzł pod silos, nie zwracając uwagi na piekielny hałas spadających do niego kamieni, i podczołgał się aż do otworów.

Joseph poświęcił wiele miesięcy, aby zerwać główki czterech nitów, które mocowały u dołu płaszcz silosu, a kiedy to zrobił, skonstruował prosty, lecz skuteczny i masywny separator.

Uwolnione złoto, które wpadało do silosu, natychmiast i ochoczo opadało w dół przez kamienie, a jego drogę przyspieszały wibracje przenośnika i samego silosu w czasie wrzucania urobku. Kiedy złoto dotarło do dna silosu, zaczynało szukać dalszej drogi opadania i wówczas znajdowało cztery dziurki po nitach, poniżej których Joseph rozłożył kawałek kwadratowego plastyku.

Bogate w złoto drobinki utworzyły na plastyku cztery stożki, przypominające pudrowaną sadzę.

Wciśnięty pod silos Joseph ostrożnie przeniósł czarny proszek do woreczka po tytoniu i znów położył plastyk, aby złapać następną porcję, schował woreczek do kieszeni i wyczołgał się spod silosu. Gwiżdżąc wesoło plemienną pogrzebową melodię Joseph chwycił szczotkę i wrócił do swojej nie kończącej się pracy przy myciu i zamiataniu.

ROZDZIAŁ 17

Johnny Delange wyznaczał miejsca otworów strzałowych. Leżąc na boku w niskim przodku 27. sekcji obliczał na oko kąt i głębokość ukośnego odstrzału, aby wyprostować niewielką wypukłość ściany.

W Sonder Ditch pracowano na jednorazowych odstrzałach. Jeden centralny odstrzał dziennie. Johnny był opłacany od objętości uzyskanej rudy równej głębokości 1,829 metra lub sześciu stopom sześciennym, licząc kubiki rozsadzonych i usuniętych skał z przodka. Musiał zatem tak ustalić otwory strzałowe, aby osiągnąć maksymalne rozerwanie skał i oderwanie ich od ściany.

– Tu – mruknął i zaznaczył miejsce otworu czerwoną farbą. – I tu. – Jednym śmiałym ruchem pędzla ustalił kąt, pod którym operator świdra miał wiercić.

– Shaya, madoda! – Johnny klepnął w ramię czarnego, który stał obok niego. – Wierć, człowieku!

Operatora świdra wybrał kierując się jego wytrzymałością i budową fizyczną. Ten wyglądał jak grecka rzeźba z błyszczącego hebanu.

– Nkosi! – operator uśmiechnął się ze zrozumieniem i z pomocą asystenta ustawił skalny świder w odpowiedniej pozycji. Świder przypominał potężny karabin maszynowy o gigantycznej średnicy.

Hałas, jaki nastąpił, kiedy ten wielki Bantu uruchomił świder, wprost rozsadał zamknięty przodkiem nisko sklepiony chodnik. Sprężone powietrze ryczało i wciskało się do świdra rozsadzając bębunki uszu. Johnny pomachał pięścią w uznaniu dla ich roboty, przez sekundę uśmiechali się do siebie, wzruszeni wykonywaniem wspólnego zadania.

Potem Johnny przeczołgał się w górę przodka, aby zaznaczyć następny otwór strzelniczy.

Johnny Delange miał dwadzieścia siedem lat i był najlepszym kruszycielem skał w Sonder Ditch. Jego zespół złożony z czterdziestu ośmiu ludzi, był rzeczywiście zgrany i składał się z samych specjalistów. Ludzie walczyli o miejsce w 27. sekcji, dlatego że tam dobrze się zarabiano. Johnny potrafił dobierać odpowiednich ludzi, tak że każdego miesiąca, kiedy przychodzili kontrolerzy i dokonywali pomiarów, Johnny Delange miał zawsze najlepsze wyniki w objętości uzyskanego urobku.

Była to niezwykła sytuacja, gdzie człowiek o najniższym autorytecie zarabiał więcej niż ten, kto był u szczytu. Johnny Delange zarabiał więcej niż dyrektor generalny Sonder Ditch. W zeszłym roku musiał zapłacić dodatkowy podatek od dochodu w wysokości dwudziestu dwóch tysięcy randów. Nawet taki górnik jak Kowalski, który bił i katował swój zespół, co spowodowało, że miał w swojej grupie najgorsze męty z kopalni, zarabiał osiem do dziewięciu tysięcy randów rocznie, to jest mniej więcej tyle, co urzędnik na stanowisku Roda Ironsidesa.

Johnny dosięgnął szczytu ściany i namalował ostatni otwór strzałowy. Wzdłuż pochyłego stropu przodka, poniżej niego, ryczały wszystkie świdry, jego wiertnicy leżeli lub kucali przy nich. Oparł się na łokciu, zdjął hełm i odpoczywając przez chwilę otarł twarz.

Johnny wyglądał niezwykle młodo. Miał długie przewiązane skórzanym rzemykiem czarne włosy zaczesane do tyłu. Rysy jego twarzy przypominały amerykańskiego Indianina, twarz była koścista i posępna. Obciął rękawy kombinezonu odsłaniając ramiona – muskularne i żylaste, przypominające pytona, silne, a zarazem delikatne. Jego ciało było takie samo, długie, żylaste i silne.

Na palcach prawej ręki nosił osiem pierścieni, po dwa na każdym palcu, i widać było z ich deseni, że nie są to tylko zwykłe ozdoby. Na ciężkich złotych pierścieniach widniały trupie czaszki z pieszczelami, głowy lwów i inne ornamenty, które mogły służyć jako wypukłości kastetu. O jedno z wielkich oczu tych czaszek zapytał kiedyś Rod Ironsides: „Czy to prawdziwy rubin, Johnny?”. I Johnny odparł poważnie: „Jeżeli nie jest prawdziwy, to niech to diabli, oszukano mnie i nabrano na trzy randy pięćdziesiąt, Mr Ironsides”.

Johnny Delange przed mniej więcej ośmioma miesiącami był jeszcze prawdziwym dzikusiem. Wtedy właśnie spotkał i ożenił się z Hettie. Zaloty i ślub zabrały mu tydzień. I od tego czasu wyraźnie się uspokoił. Upłynęło już bowiem całe dziesięć dni, jak nikomu nie dał w mordę.

Leżąc na przodku pozwolił sobie przez pięć minut myśleć o Hettie. Była prawie taka wysoka jak on, wspaniale zbudowana, z ognistokasztanowymi włosami. Johnny szalał za nią. Nie potrafił uczuć wyrażać słowami, nie był najlepszym mówcą w Kitchenerville, więc w zamian za to dawał jej prezenty. Kupował jej sukienki, biżuterię, kupił zamrażarkę i lodówkę o pojemności piętnastu stóp sześciennych, kupił jej chryslera monaco z tapicerką ze skóry lamparta i kenwooda chefa. W rzeczy samej coraz trudniej było wejść do domu Delange’a nie potknąwszy się o jakiś ostatni prezent Johnny’ego dla Hettie. Ten ścisk i tłok stawał się jeszcze bardziej kłopotliwy, bo razem z nimi mieszkał jeszcze brat Johnny’ego, Davy.

– Do diabła, człowieku! – Johnny potrząsał głową uszczęśliwiony. – Czyż ona nie jest wspaniała, co?

Zeszłej soboty w sklepie meblowym w Kitchenerville zauważył niski piękny piec.

– Z pewnością jej się spodoba – mruknął – i kosztuje tylko czterysta randów. Kupię jej kiedy otrzymam wypłatę.

Podjąwszy tę decyzję wcisnął hełm na głowę i zaczął wyczołgiwać się z przodka. Czas iść na górę i zabrać przeznaczone na dzisiaj materiały wybuchowe.

Szef wiertników powinien być na niego czekać w tunelu i Johnny był wściekły nie znajdując śladu po nim ani Murzyniątka, które było jego asystentem.

– Skurczybyk! – warknął, omiatając promieniem lampy tunel. – Ostatnio opuszcza się jak cholera.

Szef wiertników, ospowaty Suazi, nie był wielki, ale silny jak na swój wzrost i bardzo inteligentny. Miał też bardzo nieprzyjemny charakter; Johnny nigdy nie widział żeby się uśmiechał, i dla takiego ekstrawertyka, jakim był Johnny, było bardzo denerwujące pracować z milczącym ponurakiem. Tolerował tego Suazi, ponieważ nie trzeba było go popędzać i można było mu ufać, ale to w zespole jedyny człowiek, którego Johnny nie lubił.

– Skurczybyk! – chodnik był pusty, huk świdrów ucichł.

– Gdzie on jest, do cholery! – warknął niecierpliwie Johnny. – Jak go dopadnę, zedrę skórę.

Nagle przypomniał sobie latrynę.

– Pewnie tam siedzi! – Johnny poszedł w tym kierunku. Latryna mieściła się w pomieszczeniu wykutym w skale tuż przy chodniku, a za drzwi służył kawałek plandeki. Poza nią znajdowały się cztery otwory z kublami.

Johnny odsunął plandekę i wszedł do środka. Był tam szef wiertników ze swoim asystentem. Johnny patrzył zdumiony, przez moment nie rozumiał, co robią. Byli tak zajęci, że nie zauważyli obecności Johnny'ego.

Nagle pojął, co się dzieje, i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Wy plugawe świnie... – warknął Johnny, chwytając wiertnika za ramiona, odciągając go i przyciskając do ściany. Uniósł nabita pierścieniami pięść i odsunął się, przygotowując się do wyrznięcia go w twarz.

– Jeśli mnie pan uderzy, to wie pan, co się stanie – powiedział chłopak łagodnie i bez emocji, patrząc spokojnie w oczy Johnny’ego. Johnny zawahał się. Znał przepisy obowiązujące w Kompanii, wiedział, jakie jest nastawienie rządowych inspektorów pracy, wiedział też, co zrobi policja, jeśli uderzy chłopca. Jeżeli go tknie, ukrzyżują go.

– Jesteś świnia! – zasyczał Johnny.

– Pan ma żonę – rzekł chłopak. – Moja jest w kraju Suazi. Nie widziałem jej od dwóch lat.

Johnny opuścił pięść. Dwanaście tysięcy mężczyzn i żadnej kobiety. To był fakt. To stwierdzenie przyprawiło go o mdłości, ale rozumiał, dlaczego to się stało.

– Wciągaj gacie – cofnął się, puszczając chłopaka. – Ubierajcie się obaj. Idźcie na stanowiska, tam się spotkamy.

ROZDZIAŁ 18

Minął już tydzień od katastrofy w 43. sekcji i Big King nie pracował na przodku.

Tak polecił Rod. Było to usprawiedliwione faktem, że w tym wypadku zginął biały górnik Big Kinga i musiał on teraz czekać na umieszczenie w innej sekcji. Prawdę mówiąc, Rod chciał, żeby wypoczął. Widział zmęczenie u Big Kinga, zarówno fizyczne jak i psychiczne, które zostało wywołane wysiłkiem w czasie akcji ratunkowej. Kiedy obaj wyciągnęli na powierzchnię zwłoki górnika, człowieka z którym pracował i śmiał się Big King, Rod widział, jak łzy, których Big King się nie wstydził, ciekły po jego policzkach, kiedy podniósł ciało bez wysiłku i trzymał je przy piersi.

– Hamba gahle, madoda – mrucał Big King. – Idź w pokoju, człowieku.

Big King był legendarną postacią w Sonder Ditch. Wszyscy się nim chwalili: ile ten Bantu może na raz wypić piwa, ile potrafi wydobyć własnymi rękoma skał w czasie jednej szychty, jak długo może tańczyć. Za odwagę otrzymał więcej niż tysiąc randów nagród. Big King dyktował tempo, a inni próbowali mu dorównać.

Rod zarządził, aby kierował drużyną transportową. Przez kilka pierwszych dni Big King był zadowolony z okazywania swej siły i chęci współpracy. Grupa transportowa krzątała się, pozwalając Big Kingowi odwiedzać w czasie szychty jak najwięcej swoich przyjaciół. Teraz jednak Big King zaczął się już nudzić. Chciał wrócić na przodek.

– Ta praca – powiedział pogardliwie do członków zespołu – jest dobra dla staruszków i dziewcząt. – I jednym ruchem podniósł

czterdziestoczworogalonowy bęben wypełniony olejem napędowym, a potem bez niczyjej pomocy postawił go na platformie lokomotywy.

Czterdziestoczworogalonowy bęben z olejem napędowym ważył nieco ponad osiemset funtów.

ROZDZIAŁ 19

Davy Delange przerwał upychanie dynagelu w otwory strzelnicze. Pochylił się, aby sprawdzić żyłę. Na ścianie przodka widniała czarna linia przebiegająca wzdłuż niebieskiej kwarcowej skały.

Nazywano to „żyłą węgla”. Cienka warstwa węgla, nigdy nie grubsza niż kilka cali, a częściej nawet półcalowa. Czarna sadza i nic więcej. Davy potrząsnął głową w zamyśleniu. Nawet nie można w tym dostrzec śladów złota.

Davy był dwa lata starszy od swego brata Johnny’ego i nie było między nimi żadnego fizycznego ani psychicznego podobieństwa. Piaskowe włosy Davy’ego były krótko przycięte. Nic nosił żadnych ozdób, zachowywał się spokojnie i z rezerwą.

Johnny był wysoki i szczupły, Davy niski i muskularny. Johnny był ekstrawagancki, a Davy przesadnie ostrożny. Łączyła ich jedyna cecha: obaj byli doskonałymi górnikami. Jeżeli Johnny rozbił więcej skał od Davy’ego, to tylko dlatego, że Davy był od niego ostrożniejszy; nie ryzykował, przestrzegał wszystkich przepisów bezpieczeństwa pracy, które Johnny często lekceważył.

Davy zarabiał mniej od Johnny’ego, ale za to oszczędzał każdy grosz, kiedy tylko mógł. Zamierzał bowiem pewnego dnia kupić farmę. Już zaoszczędził na ten cel trochę więcej niż 49000 randów. Jeszcze pięć lat i będzie miał dosyć. Wtedy kupi tę farmę i ożeni się, aby mieć pomoc w jej prowadzeniu. Co innego Johnny, on wydawał wszystko, co zarobił. Na koniec każdego miesiąca przeważnie był zadłużony u Davy’ego.

– Pożycz mi setkę do wypłaty, Davy. – Davy pożyczał niechętnie. Nie aprobował zachowania Johnny’ego ani jego wyglądu, sposobu ubierania się, i jego zwyczajów.

Zakończywszy dokładną inspekcję żyły węgla, Davy kontynuował upychanie materiałów wybuchowych; pracował przy tej wysoce niebezpiecznej operacji ostrożnie i precyzyjnie. Łaski materiału wybuchowego otrzymały detonatory i były gotowe do odstrzału. Według przepisów nikt nie mógł tego wykonywać poza górnikiem strzałowym, ale Davy robił to automatycznie, myśląc jednocześnie o ostatnim wybryku Johnny’ego. Podniósł ostatnio czynsz Davy’emu.

– Sto randów na miesiąc! – protestował głośno Davy. – Chyba się wyprowadzę i znajdę inne mieszkanie.

Wiedział jednak, że nic podobnego nie zrobi. Hettie świetnie gotowała, była zbyt kobieca i zbyt nęcąca. Davy wiedział, że zostanie z nimi.

ROZDZIAŁ 20

– Rod – głos Dana Standera był cichy i poważny. – Mam coś paskudnego dla ciebie.

– Dziękuję, postoję – powiedział Rod do słuchawki zmęczonym i zrezygnowanym głosem. – Właśnie wybieram się na mały podziemny obchód. Czy to nie może poczekać?

– Nie – zapewnił go Dan. – W każdym razie będziesz miał po drodze. Mówię z pokoju pierwszej pomocy w budynku nadszybia. Wstąp po drodze.

– O co chodzi?

– Napad. Biały napadł Bantu.

– Chryste. – Rod wyprostował się w fotelu. – Jest źle?

– Brzydko. Zaprawił go rączką od czternastofuntowego młota. Zrobiłem mu czterdzieści siedem szwów, ale martwię się z powodu pęknięcia czaszki.

– Kto to zrobił?

– Górnik nazwiskiem Kowalski.

– On! – Rod zaczął ciężko dyszeć. – W porządku, Dan. Czy może zeznawać?

– Nie. A przynajmniej przez dzień albo dwa.

– Będę tam za kilka minut.

Rod odłożył słuchawkę i wyszedł z biura.

– Dimitri.

– Tak, szefie?

– Wyciągnij Kowalskiego z przodka. Chcę go mieć zaraz w biurze. Zastąp go kimś innym do końca szychty.

- Okay, Rod. Jakież kłopoty?
- Stłukł jednego z moich chłopców. Dimitri cicho gwizdnął, a Rod mówił dalej:
 - Wezwij personalnego, niech da znać na policję.
 - Okay, Rod.
 - Niech Kowalski czeka tu do mojego powrotu. Dan czekał na niego w pokoju pierwszej pomocy.
 - Zobacz – wskazał ciało na noszach. Rod ukląkł przy nim i zagryzł wargi. Ketgut biegł równo przez zeszyte spuchnięte rozcięcia na ciele tego człowieka. Jedno ucho było oderwane, ale Dan przyszył je. Tam gdzie kiedyś były zęby, teraz pomiędzy spuchniętymi czerwonymi wargami czernił się otwór.
 - Wszystko będzie dobrze – powiedział Rod łagodnie i oczy Bantu skierowały się ku niemu. – Człowiek, który to zrobił zostanie ukarany.
 - Rod podniósł się.
 - Sporządź mi sprawozdanie o jego ranach, Dan.
 - Załatwię to. Zobaczymy się po pracy w klubie na drinku?
 - Oczywiście – rzekł Rod. W środku po prostu gotował się z wściekłości i nie przeszło mu to w czasie całego obchodu.

ROZDZIAŁ 21

Rod zjechał bezpośrednio na setny poziom. Jego pierwszym obowiązkiem było dopilnowanie wydobycia urobku z kopalni i chciał sprawdzić rezerwy w silosach. Wszedł do długiego jasno oświetlonego tunelu, biegnącego wzdłuż transportera rudy i zatrzymał się. Naładowany przenośnik taśmowy szumiał monotonicznie, transportując pokruszoną skałę do silosów.

Tunel był pusty, poza samotną postacią czyściciela, który stał na jego dalekim końcu. Jednym z fenomenów dobrze prowadzonej kopalni złota jest fakt, że w czasie obchodu spotykasz tak mało ludzi na wszystkich stanowiskach pracy. Mila za milą ciągnie się chodnik pozbawiony życia, a jednak pod ziemią przebywa dwanaście tysięcy ludzi.

Rod zbliżył się do silosów przy szybie na końcu tunelu.

– Josephie – z uśmiechem pozdrowił czyściciela.

– Nkosi – Joseph pochylił się i podskoczył zaskoczony.

– Wszystko w porządku? – zapytał Rod.

Joseph był jednym z faworytów Roda. Zawsze wesoły, nie narzekał, był uczciwy, nie kręcił. Rod zawsze zatrzymywał się, aby z nim pogawędzić.

– U mnie wszystko w porządku, nkosi. A u pana? Nagle uśmiech Roda zamarł, zauważył biały pył na górnej wardze Josepha.

– Ty stary łobuzie! – zganił go. – Jak często muszę ci powtarzać, abys wpiersz wszystko zmoczył, zanim zaczniesz zamiatać. Woda! Musisz używać wody!

Była to część nieustannej walki górnika: nie dopuścić do tworzenia się pyłu.

– Pył zje twoje płuca!

Phthisis – gruźlica, straszna choroba nękająca górników. Powodowały ją drobne cząsteczki krzemionki, które wdychane do płuc pozostawały w nich powodując skrzepy.

Joseph uśmiechnął się bezwstydnie, przenosząc wagę ciała z jednej stopy na drugą. Zawsze był zakłopotany dziecinną obsesją Roda, dotyczącą pyłu. W opinii Josepha był to jeden z małych błędów charakteru Roda Ironsidesa. Ale poza tym dziwnym mniemaniem, że pył może człowiekowi zaszkodzić, Rod był dobrym szefem.

– Trudniej zmiatać mokre niż suche – tłumaczył Joseph cierpliwie, ale Rod wydawał się zupełnie nie rozumieć tego oczywistego faktu. Joseph musiał mu o tym mówić za każdym razem, kiedy poruszali tę kwestię.

– Posłuchaj, stary, bez wody pył może wniknąć w twoje ciało. – Rod był zrozpaczony. – Pył cię zabije!

Joseph podskoczył znowu i uśmiechnął się do Roda uspokajająco.

– Dobrze, będę używał więcej wody.

Żeby to udowodnić, za pomocą węża zaczął z entuzjazmem spryskiwać podłogę chodnika.

– O tak, dobrze! – zachęcił go Rod. – Używaj dużo wody. – I Rod poszedł dalej w kierunku silosów.

Kiedy Rod zniknął z pola widzenia, Joseph zamknął wodę i pochylił się nad miotłą.

– Pył cię zabije! – powtórzył słowa Roda i zaśmiał się wesoło, potrząsając głową i myśląc o tym dziecinnym mniemaniu.

– Pył cię zabije! – powtórzył znowu i wybuchnął śmiechem, uderzając się po biodrach.

Uczynił kilka tanecznych kroków, to było takie śmieszne.

Te taneczne kroki były niezgrabne, ponieważ w spodniach, na łydkach miał przymocowane ciężkie woreczki wypełnione czystym złotem zebrany spod silosów.

ROZDZIAŁ 22

Rod wyszedł z Mary Ann na 85. poziomie i zatrzymał się, aby popatrzeć, jak Big King ładuje belki drewniane na lokomotywę, podczas gdy jego zespół transportowy stał obok i obserwował to z respektem. Odwracając się od swojej roboty Big King ujrzał, jak Rod schodzi z podestu i podchodzi do niego.

– Widzę cię – pozdrowił Roda. Big King nie należał do tych, którzy wydają pochopne sądy; po zakończeniu akcji ratowniczej w 43. sekcji zdecydował wreszcie, że Rod był prawdziwym mężczyzną. I teraz skłonny był akceptować go jako człowieka, który mu dorównuje.

– Ja ciebie też widzę, King Nkulu – odpowiedział Rod.

– Znajdź mi pracę razem z mężczyznami. Już mnie mdli od tego, co teraz robię.

– Zanim skończy się tydzień, wrócisz na przodek – przyrzekł Rod.

– Jesteś moim ojcem – podziękował Big King i wrócił do swojego zajęcia.

ROZDZIAŁ 23

Johnny Delange dostrzegł dyrektora kopalni nadchodzącego chodnikiem. Nie mylił się, wysoka, szeroka w ramionach sylwetka i ten kołyszący krok.

– Fiu! – Johnny zagwizdał z ulgą, zadowolony, że miał przecucie, które ostrzegło go, aby wpakować pięćdziesiąt funtów tekturowych pudełek dynagelu do zamkniętego pojemnika z materiałami wybuchowymi na kolejce, niż rzucić je jak zwykle byle gdzie na platformie, sprzecznie z obowiązującymi przepisami bezpieczeństwa.

– Stop! – rozkazał Johnny wiertnikowi i jego asystentowi, którzy popychali wagonik, aby zatrzymali się tuż przy Rodzie.

– Cześć, Johnny.

– Halo, Mr Ironsides.

– Jak leci?

Johnny zawahał się nad odpowiedzią i Rod natychmiast zauważył napięcie między tymi trzema mężczyznami. Spojrzał na dwóch Suazi, byli ponurzy i zachowywali się niepewnie. „Pewnie jakieś kłopoty”, pomyślał. „To niepodobne do Johnny’ego. On jest zbyt sprytny, aby dopuścić do nieporozumień, które zmniejszyłyby jego wydajność”.

– No... – przerwał Johnny. – Widzi pan, Mr Ironsides, chcę żeby pan zabrał ode mnie tego skurczybyka. – Wskazał palcem szefa wiertników. – Proszę mi dać kogoś innego.

– Co się stało?

– Nic się nie stało, ale ja nie mogę z nim pracować.

Rod uniósł brwi z niedowierzaniem i zwrócił się do wiertnika:

- Dobrze ci się pracuje w tej sekcji? Chcesz zostać przeniesiony?
- Chcę się przenieść! – warknął wiertnik.
- Dobrze. – Rod odczuł ulgę. Niekiedy w takich wypadkach Suazi mógł odmówić zgody na przeniesienie. – Jutro poinformuję cię, gdzie jest twoja nowa sekcja.
- Nkosi! – wiertnik rzucił okiem na swojego asystenta. – Mój przyjaciel też chce się przenieść razem ze mną.
- „A więc to tak”, pomyślał Rod, „ciągle to samo zło, które musimy tolerować, ponieważ nie potrafimy znaleźć rozwiązania. Johnny prawdopodobnie złapał ich na tym”.
- Twój przyjaciel może iść razem z tobą – zgodził się Rod, mówiąc sobie, że to nie jest z jego strony uległość, tylko celowa i praktyczna polityka. Gdyby ich rozdzielił, wiertnik prawdopodobnie znalazłby kogoś innego, kto może nie byłby taki chętny. I wtedy nastąpiłyby dalsze kłopoty, użyto by noży, rozpoczęłyby się bójki.
- Dam ci zastępstwo – powiedział do Johnny’ego i nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. Mój Boże, tak! Jaki to byłby wspaniały zespół!
- Johnny, a co byś powiedział na Big Kinga?
- Big King! – Ostre rysy twarzy Johnny’ego złagodniały w szerokim uśmiechu.
- To wspaniały pomysł, szefie!

ROZDZIAŁ 24

O godzinie trzeciej Rod zakończył obchód i wyjeżdżał na powierzchnię. Klatka szybu była zatłoczona, ludzie stali ramię przy ramieniu, wokół unosił się otępiający smród potu. Właśnie opuszczali przodki, kończył się dzień pracy, miejsca, w których pracowali oczyszczono i wymyto, otwory strzelnicze wywiercono i załadowano, zapalniki podłączono do obwodów elektrycznych.

Ludzie spokojnie szeregiem zajmowali miejsca wzdłuż chodników. Tam czekali cierpliwie na swoją kolej, aby wsiąść do klatek i wyjechać na powierzchnię.

Rod pomyślał o miliardach problemów, z jakimi zetknął się w ciągu dnia, i nad sposobem ich rozwikłania. Założył od końca notesu nowy rozdział, który zatytułował KOSZTY.

Zapisał już w nim dwie uwagi. „Niech mi tylko dadzą to stanowisko”, myślał z entuzjazmem. „Niech mi dadzą choćby na miesiąc, a poruszę cały świat”.

– Mr Ironsides – odezwał się ktoś obok. Rod spojrział w dół i rozpoznał mówiącego.

– Halo, Davy. – To doprawdy zadziwiające, jak bardzo różnili się między sobą ci bracia.

– Mr Ironsides, mój szef wiertników skończył pracę. Pod koniec miesiąca wraca do domu. Może pan się postarać o kogoś dobrego na jego miejsce?

– Szef wiertników twojego brata poprosił o przeniesienie. Chcesz go?

– Yhm! – Davy Delange skinął głową. – Znam go, to dobry chłopak.

„No i jedna sprawa załatwiona”, pomyślał Rod wychodząc z klatki w słoneczne popołudnie i wdychając z przyjemnością świeże powietrze. Pozostało jeszcze kilka spraw do rozwiązania na koniec dzisiejszego dnia. „A potem mogę pójść na drinka, którego mi obiecał Dan”.

W korytarzu biura spotkał Dimitriego.

– Mam w biurze Kowalskiego.

– Dobrze – rzekł ponuro Rod. Wszedł do swojego pokoju i usiadł na brzegu biurka.

– Przyślij go – zawołał do Dimitriego.

Kowalski wszedł i stanął przy drzwiach. Stał bardzo spokojnie, jego długie ręce wisały luźno, ponad paskiem wylewał się brzuch.

– Pan mnie wezwał – mruknął zduszonym głosem, jego angielski był ledwo zrozumiały. Miał chłopską twarz o grubych rysach i patrzył tępym wzrokiem. Był nie ogolony, brud od pracy na przodku przylepił się do zarostu.

– Uderzyłeś dzisiaj człowieka? – zapytał spokojnie Rod.

– On nie pracował – Kowalski kiwnął potakująco głową. – I uderzyłem go. Może na drugi raz jego bracia będą pracować. To nie ma żadnego cholernego sensu!

– Jesteś zwolniony – rzekł Rod. – Odbierz wypłatę i spieprzaj.

– Zwolniony? – Kowalski popatrzył zaskoczony.

– Zostaniesz przez Kompanię oskarżony o popełnienie przestępstwa kryminalnego – kontynuował Rod. – Ale tymczasem chcę, żebyś odebrał pensję i zniknął stąd.

– Policja? – warknął Kowalski. Teraz wreszcie na jego twarzy odmalowało się jakieś uczucie.

– Tak – potwierdził Rod. – Policja.

Dłonie Kowalskiego, wielkości łopaty, wolno zacisnęły się w potężne pięści.

– To pan wezwał tę cholerną policję! – Zrobił krok w kierunku biurka, wielki, groźny.

– Dimitri! – zawołał ostro Rod. – Zamknij drzwi. Dimitri, który słuchał uważnie, wyskoczył zza biurka i zatrzasnął drzwi. Stał z uchem przyciśniętym do nich. Przez trzydzieści sekund słyhać było tylko pomruki, potem nagłe uderzenie, wycie, następne uderzenie i przeraźliwy łomot. Dimitri skrzywił się teatralnie.

– Dimitri! – odezwał się Rod i drzwi się otworzyły. Rod siedział spokojnie na brzegu biurka, machając beztrosko nogą i ssąc kostki prawej dłoni.

– Dimitri, powiedz im, żeby na drugi raz tak mocno nie woskowali podłogi. Nasz przyjaciel pośliznął się i wyrznął szczęką o biurko.

Dimitri cmoknął z zadowoleniem i z głębokim współczuciem spojrzął na rozciągniętą na podłodze masywną postać Polaka. Kowalski głośno chrapał.

– Nabił sobie wielkiego guza – powiedział. – Szkoda!

ROZDZIAŁ 25

Doktor Steyner przez resztę poniedziałkowego przedpołudnia spokojnie pracował. Wolał używać magnetofonu, ponieważ pozwalało mu to unikać kontaktu z ludźmi, co Manfred uważał za coś odpychająco niepewnego. Nie lubił przekazywać swoich myśli siedzącej naprzeciwko kobiecie w ściśle dopasowanej spódniczce na biodrach, kręcącej się i ciągle przyglądającej włosy. Ale tak naprawdę głównie nie mógł wytrzymać tego zapachu. Manfred był bardzo wrażliwy na zapachy, nawet zapach jego własnego ciała, jego potu napawał go wstrętem. Przekonał się, że kobiety wydzielają jakiś specyficzny, mdlący zapach, który zawsze wyczuwał pod ich perfumami i kosmetykami. Przyprawiało go to o mdłości. Dlatego uparł się, aby mieć osobne sypialnie dla Teresy i dla siebie. Oczywiście nie podał Teresie przyczyny, ale dowodził, że ma tak lekki sen, iż z nikim nie może dzielić sypialni.

Jego biuro było białe i lodowatoniebieskie, powietrze czyste i zimne dzięki odpowiedniemu nastawieniu klimatyzatora. Mówił szorstkim bezosobowym głosem, magnetofon szumiał dyskretnie, i tą częścią mózgu, która właśnie pracowała nad czymś, Manfred rozkoszował się żonglerką cyframi i pieniędzmi z dokonanych osiągnięć i przyszłych zysków, w trójwymiarowej strukturze różnych wariantów możliwości, które mógł sobie wyobrazić tylko nadzwyczajny supermózg. Jednak pod tym wszystkim krył się jakiś niepokój, na coś czekał, był jakby zawieszony w czasie, a zewnętrzną oznaką podniecenia było w czasie pracy przesuwanie prawej ręki w górę i w dół uda, coś jakby narcystyczna pieszczota.

Na kilka minut przed dwunastą w południe niespodzianie zadzwonił na biurku telefon i ruch ręki głaszczącej udo ustał. To mogła dzwonić tylko jedna osoba. Tylko on jeden znał ten numer. Przez kilka sekund siedział nieruchomo, jakby chciał opóźnić moment podniesienia słuchawki, potem z desperacją wyłączył magnetofon i uniósł słuchawkę.

- Doktor Manfred Steyner – przedstawił się.
- Masz już naszego człowieka? – zapytał głos.
- Jeszcze nie, Andrew.

Na drugim końcu zapanowała cisza, niebezpieczna, trzeszcząca cisza.

– Ale nie ma powodu do alarmu. To nic. Zwyczajne, normalne opóźnienie, a nie żadna przeszkoda.

– Jak długo?

– Dwa dni... najpóźniej do końca tygodnia.

– Będziesz w Paryżu w przyszłym tygodniu?

– Tak. – Manfred był doradcą zespołu rządowego, który miał się spotkać z Francuzami, aby omówić ceny złota.

– On tam się z tobą spotka. Będzie dla ciebie najlepiej, żeby twoja część zobowiązania była wtedy wypełniona. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, Andrew.

Rozmowa została skończona, ale Manfred dorzucił jeszcze, zanim tamten położył słuchawkę:

– Andrew!

– Tak.

– Czy możesz go poprosić, żeby on... – głos Manfreda zmienił się niezauważalnie, brzmiał w nim jakiś służalczy ton. – Zapytaj go, czy mogę dziś w nocy zagrać, Andrew, proszę cię...

– Zaczekaj.

Mijały minuty i w końcu usłyszał:

– Tak, możesz grać. Simon poinformuje cię o twoim limicie.

– Dziękuję. Podziękuj mu ode mnie.

Manfred nie zrobił najmniejszego wysiłku, aby ukryć ulgę odkładając słuchawkę. Siedział wprost promieniując zadowoleniem i patrzył na lodowatoniebieską tapetę na przeciwległej ścianie biura; nawet okulary zdawały się iskrzyć.

ROZDZIAŁ 26

W bogato umeblowanym pokoju znajdowało się pięciu mężczyzn. Jeden z nich wyróżniał się spośród reszty, był młodszy, bardzo zwracał uwagę na ich nastrój i życzenia. Widać było, że występuje w roli służącego. Spośród pozostałych czterech jeden wyraźnie był gospodarzem. Siedział w miejscu, na którym koncentrowała się uwaga wszystkich. Był tusty, ale nie przesadnie, ten tłuszcz zgromadził się w wyniku dostatniego życia, a nie pospolitego obżarstwa. Mówił zwracając się do trójki gości:

– Wyraziliście wątpliwości co do niezawodności narzędzia, jakiego mam zamiar użyć do zrealizowania planowanego przedsięwzięcia. Dlatego też zorganizowałem pokaz, który, mam nadzieję, przekona was i rozwieje wasze wątpliwości. I to właśnie było powodem zaproszenia, które Andrew przekazał wam dzisiaj po południu.

Gospodarz odwrócił się do młodego mężczyzny.

– Andrew, bądź tak dobry, wyjdź i zaczekaj na przyjazd doktora Steynera. Kiedy się zjawi poproś, aby Simon dał mu miejsce, a ty wrócisz i zawiadomisz nas o tym.

Wydał te polecenia z godnością i uprzejmością człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania.

– A teraz, panowie, czy mogę w tym czasie zaoferować coś do picia?

Kiedy czterej mężczyźni popijali, rozwinęła się między nimi fachowa rozmowa, świadcząca o tym, że są bardzo dobrze o wszystkim poinformowani. Rozmowa toczyła się wokół jednego jedyne problemu: bogactwa. Bogactwa minerałów, bogactwa przemysłu, zasobów lądów i mórz. Ropa naftowa, stal, węgiel, ryby, pszenica i... złoto.

Były to wskazówki określające status tych ludzi, ale zdradzały go również noszone przez nich ubrania i błysk kamieni na palcach, autorytatywny ton głosu oraz powtarzane bez skrępowania nazwisko pewnej wysoko postawionej osobistości.

– On już tu jest, sir – przerwał od drzwi Andrew.

– Och! Dziękuję ci, mój chłopcze. – Gospodarz wstał.

– Panowie, proszę za mną.

Przeszli przez pokój i gospodarz odsunął jedną ze złotokasztanowych zasłon. Za nią było okno.

Mężczyźni stłoczyli się przy nim i spojrzeli na znajdujący się za nim pokój. Był to pokój gier hazardowych, w którym grała sama śmietanka towarzyska. Kobiety i mężczyźni siedzieli przy stole bakarata i nikt z nich nawet nie spojrzął na mieszczące się ponad nimi okno.

– Szyba pozwala widzieć tylko z jednej strony – wyjaśnił gospodarz. – Nie musicie się więc martwić, że będziecie przez kogoś zauważeni.

Zachichotali uprzejmie.

– Jaki dochód przynosi panu to miejsce? – zapytał jeden z gości.

– Drogi Robercie! – Gospodarz udał zgorzzenie.

– Chyba nawet przez chwilę nie wierzysz, że mógłbym być w jakikolwiek sposób związany z tym nielegalnym przedsięwzięciem?

Tym razem zachichotali naprawdę rozbawieni.

– Tam! – wskazał gospodarz. – Otóż i on.

Przez pokój gry prowadzono doktora Manfreda Steynera i posadzono go przy stole obok wysokiego młodzieńca o niemiłej twarzy, który w wieczorowym stroju przypominał karawaniarza.

– Poprosiłem Simona, żeby go tak usadowił, abyśmy w czasie gry mogli obserwować jego twarz.

Pochylili się z zaciekawieniem i przyglądali mężczyźnie, który porządkował sztony ułożone przy jego łokciu przez Simona.

Doktor Manfred Steyner zaczął grać. Jego twarz była całkowicie bez wyrazu, ale zdumiewająco blada. Co kilka sekund spomiędzy jego warg wysuwał się i znikał czubek różowego języka. W przerwach przed każdą następną grą panowała wokół niego śmiertelna cisza, zamierał jak jaszczurka lub iguana. Tylko tętnica szyjna pracowała równym pulsem i szkła okularów błyskały jak oczy węża.

– Zwracam waszą uwagę na jego prawą rękę, w chwili, gdy robi następne posunięcie w grze – mruknął gospodarz i wszystkie oczy skierowały się w dół.

Prawa ręka leżała otwarta obok stosu sztonów, ale kiedy położono przed nim kartę, palce zacisnęły się.

– Carte. – Wymówił to słowo bezdźwięcznie i teraz jego dłoń zacisnęła się w pięść, kostki zbieleły, był tak spięty, że pięść mu drżała. Twarz jednak nadal pozostała bez wyrazu.

Bankier odwrócił kartę.

– Sept! – Krupier wypowiedział liczbę. Spojrzał na kartę Manfreda i zgarnął jego stawkę. Pięść rozluźniła się i ręka Manfreda leżała teraz na zielonym suknie miękko i bezwładnie jak śnięta ryba.

– Zostawmy go z jego pasją – zaproponował gospodarz i zasunął zasłonę na oknie. Dziwnie przygaszeni wrócili na swoje miejsca.

– Jezu – mruknął jeden z nich. – To było obrzydliwe. Czuję się jak podglądacz. Jakbym kogoś podglądał... no wie pan, jakbym kogoś złapał na gorącym uczynku.

Gospodarz rzucił mu szybkie spojrzenie, zdumiony jego spostrzegawczością.

– Ma pan rację, właśnie dokładnie to pan zaobserwował – powiedział. – Proszę mi wybaczyć, że zabawiam się w nauczyciela, ale coś niecoś wiem o tym człowieku. Zdobycie dokładnego sprawozdania o nim, wykonanego przez jednego z naszych znanych psychiatrów, kosztowało mnie około czterysta randów.

Gospodarz przerwał, upewniając się, że słuchają go w skupieniu.

– Przyczyny są ukryte, prawdopodobnie powstały na skutek serii wypadków zaistniałych w czasie, kiedy doktor Steyner jako sierota wędrował przez spalone ruiny zniszczonej wojną Europy. – Gospodarz chrząknął, jakby chciał złagodzić patos tej wypowiedzi. – Ale bez względu na to, jak tam było, efektem jest to, co dzisiaj widzieliście. Doktor Manfred Kurt Steyner ma iloraz inteligencji wynoszący 158, co kwalifikuje go do grona geniuszów. Nie pali i nie pije. Nie ma żadnego hobby, nie uprawia sportów, nie poświęcił nigdy większej uwagi żadnej kobiecie, z wyjątkiem swojej żony – chociaż mam wiele wątpliwości, jak często lub do jakiego stopnia poświęca jej uwagę. – Gospodarz popijał drinka. Nabrał pewności, że wystarczająco zajął ich uwagę. – Mechanicznie, jeśli można użyć tego określenia, doktor Steyner nie jest ani impotentem, ani też nie brakuje mu męskości. Niemniej każde cielesne zbliżenie, a szczególnie różne wydzielin, jakie pojawiają się w trakcie kontaktów uważa za obrzydliwe. Dla podniety gra w bakarata; aby wyżyć się, mógłby wytrzymać krótki kontakt z przeciwną płcią, ale prawdopodobnie może wolałby... jakiego użył określenia, Robercie?

Pytanie spotkało się z milczeniem. – Dokładnie mówiąc on jest nałogowym hazardzistą. A także nałogowo przegrywa.

Poruszyli się z niedowierzaniem.

– Chce pan powiedzieć, że przegrywa celowo? – zapytał pełen wątpliwości Robert.

– Nie – gospodarz potrząsnął przecząco głową. – On nie zdaje sobie z tego sprawy. Wierzy, że wygra, ale równocześnie wybiera takie możliwości, co do których, z jego wspaniałym mózgiem, musi sobie zdawać sprawę, że są samobójcze. Jest to głęboko zakorzeniona podświadoma konieczność przegrania, upokorzenia. Pewnego rodzaju odmiana masochizmu.

Gospodarz otworzył czarny skórzany notatnik i sprawdził jego zawartość.

– Od 1958 do 1963 roku doktor Steyner stracił przy stoliku łącznie 227000 randów. W 1964 roku zorganizował ze swoim jedynym kredytodawcą zlikwidowanie długu wraz z procentami.

Można było zauważyć zmianę wyrazu ich twarzy, gdy gorączkowo grzebali w pamięci, szukając okoliczności, które zgadzałyby się z datami i kwotami. Robert, metodą dedukcji, zorientował się pierwszy. W 1964 roku ich gospodarz sprzedał CRC swoje główne akcje North Maud Copper Company za cenę, którą można by uważać za korzystną. Niedługo potem doktor Steyner został głównym doradcą finansowym CRC.

– North Maud Copper – rzekł Robert z podziwem. Oto, jak to zrobił ten przebiegły stary lis! Zmusił doktora Steynera do kupna akcji po cenie wyższej niż rynkowa.

Gospodarz uśmiechnął się łagodnie z uznaniem, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając.

– Od 1964 roku do dzisiaj, doktor Steyner nadal opiekuje się tym przedsiębiorstwem. Jego przegrane dochodzą do... – znów spojrzał do notatnika i znów udał zdumienie widząc wielkość kwoty – do nieco ponad 300000 randów.

Westchnęli i poruszyli się niespokojnie. Nawet dla nich była to olbrzymia ilość pieniędzy.

– Myślę więc, że możemy na nim polegać. – Gospodarz zamknął z trzaskiem notatnik i uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 27

Teresa leżała w ciemności. Noc była gorąca, ciszę przerywało tylko rechotanie żab przy stawku z rybami. Światło księżyca wpadało przez okno, tworząc na ścianie sypialni rysunki z cieni gałęzi drzewa Duma Indii.

Odrzuciła prześcieradło i zwiesiła nogi z łóżka. Nie mogła spać, było zbyt ciepło, koszula nocna cisnęła ją pod pachami. Wstała i w nagłym odruchu uniosła koszulę, przeciągnęła przez głowę i wrzuciła ją przez otwarte drzwi do garderoby, a potem naga wyszła na szeroką werandę. W świetle księżyca czuła pod stopami chłodne kamienie, a ciepłe nocne powietrze muskało ją jak sunące po skórze dotknięcie rąk wróżek.

Poczuła nagle przyływ odwagi i desperacji, chciała biec przez trawnik i pragnęła, aby ktoś ją wtedy dogonił i złapał. Zachichotała niepewna swojego nastroju. Było to tak odległe od koncepcji Manfreda, stawiającej ją w rzędzie poprawnie zachowujących się doskonałych niemieckich hausfrau.

– Byłby wściekły – wyszeptła do siebie ze złośliwą radością i usłyszała hałas silnika samochodu.

Zamarła z przerażenia, światło reflektorów przesunęło się wśród drzew, gdy samochód zbliżał się do podjazdu, więc szybko wbiegła do sypialni. W panice upadła na kolana i zaczęła szukać nocnej koszuli; wciągając ją przez głowę pobiegła do łóżka.

Leżała w ciemności i słuchała odgłosu zatraskiwanych drzwi samochodu. Potem zapanowała cisza i usłyszała, że przechodzi obok jej drzwi. Piętami uderzał o żółtą drewnianą podłogę, prawie biegł. Teresa to знаła: późny powrót, tłumiony pośpiech. Leżała sztywno, czekając.

Minuty wlokły się wolno, potem drzwi od pokoju Manfreda otworzyły się cicho.

– Manfred, to ty? – usiadła na łóżku i sięgnęła do włącznika lampy.

– Nie zapalaj światła. – Jego głos był przytłumiony, bez tchu, niewyraźny, jakby pił, ale kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, nie czuła w oddechu alkoholu. Jego wargi były suche i zaciśnięte. Zrzucił z siebie szlafrok.

W dwie i pół minuty potem wstał z łóżka, odwrócił się tyłem do Teresy i szybko ubrał jedwabny szlafrok.

– Przepraszam na minutę, Tereso – zadyszka zniknęła z jego głosu. Otworzył drzwi wiodące do jego apartamentów i w sekundę później usłyszała szum prysznic i plusk wody.

Leżała na wznak, wbijając paznokcie w dłonie. Na jej twarzy malowała się mieszanina pożądania i obrzydzenia; to szybkie zbliżenie wystarczyło, aby ją podniecić, ale będąc tak szybkie, pozostawiło wrażenie, że została tylko użyta i w jakimś stopniu skalana. Wiedziała, że reszta nocy będzie mijala nieskończenie wolno, z żalem nad sobą, w nie zaspokojonym napięciu, które w końcu zmieni się w dzikie pożądanie i na pół oszalałe erotyczne fantazje.

– Przeklęty – krzyknęła w duszy. – Przeklęty! Przeklęty!

Usłyszała, że ucichł szum prysznic i Manfred wrócił do jej pokoju. Pachniał wodą kolońską Eau du Cologne 4711. Usiadł ostrożnie na końcu łóżka.

– Możesz zapalić światło, Tereso.

Wymagało to prawdziwego wysiłku, aby rozluźnić rękę i sięgnąć do włącznika lampy. Manfred oślepiony światłem zamrugał oczami zza szkieł. Jego mokre włosy były gładko zaczesane, policzki błyszcząły jak dojrzałe jabłka.

– Mam nadzieję, że miło spędziłaś dzień? – zapytał i uważnie słuchał odpowiedzi. Napięcie minęło i Teresa zauważyła, że znowu znajduje się pod jego niemal hipnotycznym wpływem. Jego głos był precyzyjny, prawie monotony. Szła błyszcząca niczym oczy gada, ciało tkwiło bez ruchu, żadnych drgnień rysów twarzy.

Jak to już wiele razy zdarzało się przedtem, myślała o sobie jako o ciepłym puszystym króliczku, sparaliżowanym wzrokiem kobry.

– Jest już późno – powiedział wreszcie i wstał.

Patrząc z góry na nią, wtuloną w białe jedwabne prześcieradło, zapytał z tak lekkim naciskiem, jak to tylko możliwe, gdy na przykład prosi się o podanie cukru:

– Tereso, czy bez wiedzy twojego dziadka mogłabyś zdobyć trzysta tysięcy randów?

– Trzysta tysięcy! – usiadła przerażona.

– Tak. Mogłabyś?

– Wielki Boże, Manfredzie, przecież to mała fortuna. – Naprawdę nie widziała niczego nadzwyczajnego w wyborze tego przymiotnika. – Wiesz, że to wszystko stanowi Fundusz Dyspozycyjny, albo przynajmniej większa część tej kwoty. Jest w tym farma... i nie mogę zdobyć nawet połowy bez wiedzy Popsa.

– Szkoda – mruknął Manfred.

– Manfredzie, masz jakieś... kłopoty?

– Nie, Wielki Boże, nie. Tak sobie pomyślałem. Zapomnij o tej prośbie. Dobranoc, Tereso. Mam nadzieję, że będziesz dobrze spała.

Bezwiednie uniosła ku niemu ręce w zapraszającym geście.

– Dobranoc, Manfredzie.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pozwoliła rąkom opaść bezwładnie na boki. Dla Teresy Steyner zaczęła się długa noc.

ROZDZIAŁ 28

– Panie i panowie, istnieje zwyczaj, aby dyrektor generalny przedstawił ważnego gościa, który będzie wręczał nasze specjalne nagrody za służbę. W zeszłym tygodniu, na skutek tragicznych okoliczności, nasz dyrektor generalny, Mr Frank Lemmer, zginął w czasie pełnienia służby dla naszej Kompanii. Jest to strata nie do odżałowania i jestem przekonany, że wszystkich nas łączy szczere współczucie, którego wyrazy składamy na ręce Mrs Eileen Lemmer. – Rod przerwał, słysząc wśród zebranych szmer aprobaty i uznania. W klubie kopalni zebrało się dwustu ludzi. – Przypada mi w udziale, jako pełniącemu obowiązki dyrektora generalnego, przedstawić państwu doktora Manfreda Steynera, który jest starszym dyrektorem Central Rand Consolidated, naszej macierzystej Kompanii. Jest również kierownikiem Wydziału Planowania i Finansów.

Kiedy Rod wspomniał Franka Lemmer, siedząca obok męża Teresa Steyner zauważyła poirytowanie Manfreda. Nie było w zwyczajach Kompanii zwracanie publicznej uwagi na śmierć lub okaleczenie powstałe w wyniku wypadków przy pracy. Jeszcze bardziej polubiła Roda za to małe oddanie hołdu Frankowi Lemmerowi.

Teresa założyła słoneczne okulary, ponieważ jej oczy były opuchnięte i czerwone. O świcie, po nie przespanej nocy, dostała nagle napadu gwałtownego płaczu. Łzy, które płynęły bez powodu, bez sensu, spowodowały zawrót głowy, ale też trochę polepszyły jej samopoczucie. Niemniej w jej wielkich oczach w takich wypadkach zawsze pozostawał widoczny ślad.

Siedziała ze skromnie skrzyżowanymi nogami, wyglądając niewinnie w skromnej sukience z szantungu, w czarnej chusteczce okrywającej jej włosy i pozwalającej im opadać na ramiona swobodną kaskadą. Pochyliła się do przodu w uprzejmym zainteresowaniu słowami mówcy, z jednym łokciem na kolanie, z brodą opartą na dłoni i długim wąskim palcem na policzku. Prawdziwa dama, z diamentami na palcach i perłami na szyi, uśmiechająca się kiedy Rod wspomniał „czarującą wnuczkę naszego Przewodniczącego”.

Gdyby nie te niezbyt pasujące słoneczne okulary, stanowiłaby doskonały portret młodej małżonki. Wytworna, opanowana, rozpieszczona, pewna swoich niepodważalnych cnót i dobrze wypełnianych obowiązków.

Niemniej, gdyby wszyscy znali myśli, jakie przebiegały przez głowę Teresy Steyner, kłujące, swędzące, rozbiegliby się w ogromnym pośpiechu. Wszystkie te bezładne, niesforne fantazje i problemy minionej nocy kierowały się teraz ku jednemu obiektowi – a był nim Rodney Ironsides.

Nagle, z rozbawieniem i zaniepokojeniem zarazem, przypomniała sobie fenomen, z którym już raz zetknęła się wiele lat temu. Poruszyła się niespokojnie, przesuając się, na krześle, ponieważ kremowy szantung łatwo plamiła wszelka wilgoć.

„Terry Steyner!”, pomyślała zaszokowana przyjemnością, jakiej dostarczyło jej to wspomnienie, i z ulgą stwierdziła, że Rod skończył mówić i Manfred wstał, aby mu odpowiedzieć. Żeby przerwać snucie swoich fantazji, przyłączyła się do entuzjastycznego aplauzu.

Manfred zwięźle napomknął o sześciu dżentelmenach siedzących w pierwszym rzędzie, których miano uhonorować nagrodą za odwagę i poświęcenie się obowiązkom. Potem mówił o poszukiwaniach perspektyw wzrostu cen złota. W ostrożnie wyrażanych zwrotach wspomniał o korzyściach i dobrodziejstwach, jakie z tego tytułu przypadłyby przemysłowi, krajowi i w ogóle całemu światu. Była to bardzo inteligentna,

mądra i fachowa dysertacja, którą natychmiast nagrali znajdujący się na sali reporterzy. Rzecznik prasowy CRC poinformował prasę, o czym będzie mówił doktor Steyner, i na sali były reprezentowane wszystkie główne dzienniki, tygodniki i gazety finansowe.

W przerwach podchodził do mówcy fotograf i błyskał fleszem. W wigilię dnia poprzedzającego rozmowy z Francją na temat ceny złota byłby to świetny materiał do artykułu, ponieważ Steyner był prawdziwym geniuszem w zespole południowoafrykańskim.

Sześciu bohaterów siedziało niewygodnie; w odświętnych najlepszych garniturach, wyszorowani, jak uczniowie, na ceremonię rozdawania nagród i udając skupioną uwagę wpatrywali się w mówcę, nie rozumiejąc ani słowa z tego obcego dla nich języka.

Rod pochwycił spojrzenie Big Kinga i mrugnął do niego. W odpowiedzi powieka prawego oka Big Kinga powoli opadła, Rod szybko odwrócił się, żeby się nie roześmiać.

Bez najmniejszego skrepowania spojrzał w oczy Terry Steyner; nawet za ciemnymi szklami nie potrafiła ukryć myśli, były tak wyraźne, jakby wypowiadała je głośno. Zanim zdążyła spuścić wzrok i sprawdzić kraj spódniczki, Rod zastanowił się podniecony, z podchodzącym w górę żołądkiem, jak by to było, gdyby miał okazję być z nią sam na sam.

Patrzył na nią zupełnie inaczej, po raz pierwszy jak na kobietę, która znalazła się w jego zasięgu, jak na bardzo pożądaną kobietę, ale także ciągle jeszcze jak na wnuczkę Hurry'ego Hirschfelda i żonę Manfreda Steynera. Wiedział, że to czyniło ją tak niebezpieczną jak siła dziesięciu gigantycznych wybuchów, ale pokusa i pożądanie były trudne do zwalczenia, a niebezpieczeństwo podsycalo je jeszcze bardziej.

Widział, że już się rumieniła, jej palce nerwowo bawiły się brzegiem spódnicy. Była podniecona jak uczennica i wiedziała, że ją obserwuje. Rod

Ironsides, który przed pięcioma minutami nie myślał o niczym innym jak tylko o swojej mowie, teraz stwierdził, że znajduje się pod wpływem ekscytacji o nowym wymiarze.

Rozdano nagrody, wypito herbatę, zjedzono biszkopty i tłum rozszedł się. Rod odprowadził Steynerów przez bujne zielone trawniki Kikuyu do daimlera, gdzie czekał na nich szofer.

– Jak wspaniale był zbudowany ten Shangaan, jak on się nazywa... King?

Terry szła między dwoma mężczyznami.

– King Nkulu. Nazywamy go Big King.

Rod stwierdził, że wymawia słowa trochę niepewnie, jakby się lekko jąkał. To, co zaistniało między nimi, przeraziło go swoją mocą, szumiało w nim jak turbina, tak że przestrzeń między nimi przepełniało napięcie bliskie elektrycznego wyładowania. Jeżeli Manfred Steyner nie był głuchy musiał słyszeć trzask tego napięcia.

– On jest wyjątkowy. Nie istnieje nic, czego nie potrafiłby zrobić i robi to znacznie lepiej od innych. Mój Boże, powinna pani widzieć jak on tańczy.

– Tańczy? – zapyłała Terry z zainteresowaniem.

– Taniec plemienny, oczywiście.

– No tak, oczywiście. – Terry miała nadzieję, że ulga w jej głosie nie była zbyt wyraźna. Próbowwała wyszukać w zmęczonym umyśle jakiś pretekst, aby znów odwiedzić Sonder Ditch, albo żeby Rod Ironsides przyjechał do Johannesburga. – Moja przyjaciółka ma tęgiego fioła na punkcie oglądania takich tańców. Za każdym razem, kiedy się z nią widzę, męczy mnie o to.

Szybko wybrała imię z listy swoich przyjaciółek, musiała je mieć w pogotowiu, gdyby przypadkiem Manfred zapytał ją o nie.

– Oni tańczą w każdą sobotę po południu. Może ją pani przyprowadzić, kiedy tylko zechce. – Rod odbił zgrabnie piłeczkę.

– A powiedzmy... w tę sobotę? – Terry odwróciła się do męża. – Czy to będzie możliwe, Manfredzie?

– Co takiego? – Manfred spojrział na nią z roztargnieniem; nie zwracał uwagi na ich rozmowę. Był zmartwiony, rozmyślał nad swoimi problemami dotyczącymi zdobycia kontroli nad kierownictwem Sonder Ditch, do czego zobowiązał się i przyrzekł załatwić w ciągu dwóch dni.

– Czy możemy przyjść tu w sobotę po południu i obejrzeć taniec plemienny? – powtórzyła pytanie Terry.

– Czyżbyś zapomniała, Tereso, że w sobotę rano odlatuję do Paryża?

– O, Boże – Teresa zagryzła wargi w zamyśleniu. – Po prostu wypadło mi to z głowy. Jaka szkoda. Sprawiłoby mi to naprawdę wielką przyjemność.

Manfred westchnął zdenerwowany.

– Moja droga Tereso. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mogłabyś pojechać do Sonder Ditch beze mnie. Jestem pewien, że będziesz zupełnie bezpieczna pod opieką Mr Ironsidesa.

Te słowa znów zapaliły na policzkach Terry żywe rumieńce.

ROZDZIAŁ 29

Po ceremonii rozdania nagród pierwszym przystankiem Big Kinga było biuro Afrykańskiego Towarzystwa Rekrutacyjnego, mieszczące się obok wejścia do domu noclegowego przy szybie numer 1. Ludzie stłoczeni koło lady rozstąpili się na widok Big Kinga, a on doceniając tę uprzejmość poklepywał ich po plecach i gdzie tam popadło, witając słowami:

– Kunjane, madoda. Jak wam leci, ludzie?

Urzędnik za ladą pospieszył, aby go obsłużyć. W klubie kopalni Big King zdawał się nie pasować do otoczenia, ale tutaj był traktowany jak udzielny monarcha.

Big King podzielił pieniądze z nagrody na dwie równe części i położył na ladzie.

– Dwadzieścia pięć randów wyślesz mojej pierwszej żonie – polecił urzędnikowi. – A dwadzieścia pięć randów ulokujesz na mojej książeczce.

Big King był człowiekiem na wskroś uczciwym. Połowę swoich zarobków zawsze wysyłał najważniejszej ze swych czterech żon, a połowę dodawał do dość pokaźnej kwoty, ulokowanej na koncie bankowym.

Towarzystwo zajmowało się werbowaniem siły roboczej dla wiecznie spragnionych ludzkiego materiału kopalni złota w Witwatersrand i Orange Free State. Przedstawiciele Towarzystwa działali w południowej części kontynentu. Z błot i febrycznych bagien Wielkiej Zambezi, z palmowych lasów, otaczających Ocean Indyjski, z dusznych upalnych terenów, które Buszmeni nazywali „Wielka Susza”, i dalej z gór Basutolandu i łąk Suazilandu i Zululandu zbierali Bantu, a ci mężczyźni przebywali pierwsze pięćdziesiąt do sześćdziesięciu mil pieszo. Poszczególni ludzie spotykali się

na ścieżkach, łączyli w pary dochodząc do sklepów położonych samotnie w dziczy, w szarym beznadziejnym pustkowiu, gdzie zastawali już trzech lub czterech innych czekających. Potem nadjeżdżała ciężarówka z tuzinem ludzi i zaczynała się długa, pełna wybojów, droga przez busz. Na następnych przystankach, nowi ludzie wspinali się na skrzynię ciężarówki aż wreszcie była już pełna, tłoczyło się na niej pięćdziesięciu do sześćdziesięciu mężczyzn, a na koniec docierali do biegnącej przez dziki kraj linii kolejowej, gdzie przesiadali się z ciężarówek do wagonów.

Tutaj ten wąły strumyczek ludzkich istnień łączył się w strumień i w pierwszym głównym centrum przesiadali się znowu, stając się częścią wielkiej powodzi płynącej w kierunku „Złotych”.

Zobowiązania Towarzystwa nie kończyły się jeszcze po dotarciu do Johannesburga i ulokowaniu w jednej z sześćdziesięciu głównych kopalni złota. Między innymi kopalnia, która ich zatrudniła, i Towarzystwo musieli mieć pewność, że każdy z tych ludzi otrzyma pracę, zostanie przeszkolony, otrzyma instrukcje, zapewni mu się wystarczające podstawowe warunki egzystencji, a także kontakt z rodziną; niewielu z nich bowiem umiało pisać i kiedy zaczynali się niepokoić należało ich informować, że na przykład ich kozy chorują, lub zdradza ich żona. Towarzystwo musiało też zapewnić im obsługę bankową, musieli specjalnie zająć się ich oszczędnościami, w sposób nieznanymi zwykłym bankom komercyjnym. Krótko mówiąc, musieli upewnić się, że człowiek, którego oderwali od jego nie zmieniającego się od tysięcy lat środowiska i nagle osadzili w nowym wyrafinowanym, wymyślnym i technologicznym społeczeństwie, zachowa zdrowie, dobre samopoczucie i trzeźwość umysłu, tak że po wygaśnięciu kontraktu będzie mógł wrócić do miejsca, z którego przybył, i opowiedzieć współplemieńcom, jak to wspaniale było tam, w „Złotych”. Pokaże im swój twardy hełm, nową walizkę wypchaną ubraniami, radio tranzystorowe,

niebieską książeczkę z wypisanymi w niej cyframi, rozpalając w nich pragnienie odbycia tej pielgrzymki, która zasili powódź ludzi zmierzających w kierunku „Złotych”.

Big King zakończył swoją operację finansową i poszedł do bramy domu noclegowego. Korzystając z okazji, że nie był na szychcie, chciał umyć się pierwszy i pójść do stołówki.

Przeszedł przez trawnik do swojego bloku. Kompania starała się zapewnić maksymalne wygody w budynku, w którym mieszkało sześć tysięcy ludzi. W rezultacie powstało coś pośredniego między motelem a rozbudowanym więzieniem.

Big King jako starszy stanowiskiem miał prawo do osobnego pokoju. Zwykli górnicy i robotnicy musieli dzielić pokój z pięcioma innymi.

Big King pieczołowicie wyszczotkował ubranie, powiesił je w szafie wbudowanej w ścianę, wytarł błyszczące buty i ustawił na specjalnej półeczce, a potem owinąwszy ręcznikiem biodra wybrał się do bloku, w którym mieściła się łaźnia, gdzie z rozczarowaniem zastał nowych rekrutów, którzy przybyli z centrum aklimatyzacyjnego.

Big King spojrzawszy okiem znawcy na ich nagie ciała i osądził, że ta grupa zbliżała się prawdopodobnie do końca swojej ośmiodniowej aklimatyzacji. Byli gładcy i wypucowani, mięśnie wyraźnie grały pod skórą. Nie można wziąć człowieka bezpośrednio z wioski, prawdopodobnie jest niedożywiony, i zaprowadzić go do kopalni, aby łupał, stemplował i wiercił w suchym upale o temperaturze 91° Fahrenheita i 84% względnej wilgotności bez ryzyka, że umrze na skutek szoku temperaturowego lub po prostu z wyczerpania.

Każdy rekrut, którego lekarz zakwalifikował do pracy pod ziemią, był poddawany aklimatyzacji. Przez osiem dni, po osiem godzin dziennie, setki ludzi, tylko w przepaskach na biodrach, wchodziły i schodziły z platformy

umieszczonej w wielkiej hali przypominającej stodołę. Wysokość platformy była dokładnie dostosowana do wzrostu i wagi ciała, szybkość ruchów regulowano za pomocą świetlnej tablicy kontrolnej, na której temperatura i wilgotność powietrza utrzymywane były na poziomie 91° i 84% i co dziesięć minut podawano wodę. W odrębnym pomieszczeniu sześciu doświadczonych lekarzy rejestrowało temperaturę ciała...

Po ośmiu dniach wychodząc stamtąd wyglądali jak olimpijscy atleci, przygotowani do znoszenia ciężkiej pracy w warunkach wysokiej temperatury i wilgotności, bez groźby kontuzji lub utraty życia.

– Gwedoni! – warknął Big King i najbliższy rekrut, cały jeszcze biały od spienionego mydła, szybko odsunął się z respektem od prysznicu mając wzgląd na ranę i stanowisko Big Kinga, który odrzucił ręcznik i wszedł pod prysznic, jak zawsze rozkoszując się strumieniem gorącej wody spływającej na jego skórę, napinając mięśnie, prężąc pierś i unosząc ramiona.

Tam znalazł go posłaniec.

– King Nkulu, mam wiadomość. – Człowiek ten używał dialektu Shangaan, a nie tego cholernego Fanikalo.

– Mów – zezwolił Big King, mydląc brzuch i biodra.

– Induna prosi, abyś przyszedł do jego domu po zjedzeniu wieczornego posiłku.

– Powiedz mu, że zastosuję się do jego życzenia – rzekł Big King i wystawił twarz na uderzenia parującej wody.

Ubrany w otwartą pod szyję białą koszulę i niebieskie szerokie spodnie, Big King poszedł wolno do kuchni. I znów uprzedzili go rekruci, stając z miskami w ręku przed okienkiem podawczym. Big King minął ich i wszedł w drzwi z napisem Wejście dla służby.

Kuchnie przypominały wielkie jaskinie, błyszcząły białą porcelaną, stalowymi zlewozmywakami i kotłami, a także pojemnikami mogącymi wydać osiemnaście tysięcy gorących posiłków dziennie.

Kiedy Big King wszedł do pomieszczenia, w którym mimo wielkiej powierzchni każdy musiał zauważyć jego obecność, jeden z pomocników kucharzy chwycił miskę wielkości dziecięcej wanienki i popędził do najbliższego kotła. Otworzył pokrywę i spojrzawszy wyczekująco na Big Kinga, ów skinął głową i kuchcik wlał do miski około dwóch kilogramów gotowanej fasoli, podszedł do następnego kotła, znów spojrzawszy na Kinga i otrzymał jego przyzwolenie. Dołożył do miski taką samą ilość gotowanych jarzyn, nałożył pokrywę i podszedł do innego pomocnika czekającego z łopata obok następnego kotła. To była taka sama łopata, jakiej używano w kopalni do zbierania złotego urobku, tylko jej powierzchnia była wypolerowana i lśniąca. Drugi pomocnik wepchnął ją do kotła i wydobył gotowaną białą kukurydzę o konsystencji ciasta. Zapach tej masy, przypominający świeży chleb, powodował napływ śliny. Była to podstawowa dieta Bantu.

– Jestem głodny – odezwał się Big King po raz pierwszy i drugi pomocnik nabrał drugą porcję dodając ją do pierwszej. Przeszli na drugi koniec kuchni, gdzie inny kucharz uniósł pokrywę kotła ciśnieniowego, który wielkością przypominał olbrzymią balię. Uniosła się z niego chmura wonnej pary.

Kucharz, jakby usprawiedliwiając się wyciągnął rękę i Big King podał swoją kartę na mięso, było bowiem racjonowane. Każdy mógł dostać tylko jeden funt dziennie; Kompania analizując koszty dawno już odkryła, ku swemu własnemu zdumieniu, że Bantu, który otrzyma świeże mięso bez ograniczeń, potrafi miesięcznie zjeść ilość równą wadze jego ciała.

Upewniwszy się, że Big King ma prawo do swojego dziennego funta, kucharz nabrał chochłłą przynajmniej pięć funtów i wrzucił je do miski.

– Jesteś moim bratem – podziękował Big King i mała procesja ruszyła do innego kucharza, który napełniał, z jednego z wielu kranów umieszczonych pod potężnym tysiącgalonowym zbiornikiem, półgalonowe dzbany gęstym, o niskiej zawartości alkoholu, piwem Bantu.

Miskę i dzban wręczono ceremonialnie Big Kingowi, który wyszedł na tyły tarasu, gdzie stały stoły i ławki.

W czasie gdy jadł, zakończyła się właśnie szychta i taras zaczął się zapełniać. Każdy przechodząc obok stołu, przy którym siedział Big King, pozdrawiał go, ale tylko kilku uprzywilejowanych pozwoliło sobie usiąść przy tym samym stole. Jednym z nich był Joseph M’Kati, mały stary zamiatacz z setnego poziomu.

– To był dobry tydzień, King Nkulu.

– Ty tak powiedziałaś – odparł niejasno Big King.

– Teraz idę się spotkać z Pierwszym Starcem. A potem zobaczymy.

Pierwszy Starzec, Shangaan induna, mieszkał w domu należącym do Kompanii. Była to oddzielna rezydencja z hallem, jadalnią, kuchnią i łazienką. Induna był dobrze opłacany przez Kompanię, miał służbę, otrzymywał wyżywienie, umeblowanie i wszystko, co przysługiwało jego randze i stanowisku.

Był głową ludzi Shangaan w Sonder Ditch, był wodzem z ich krwi, siwowłosa członek rady plemiennej. W podobnych domach, mając takie same przywileje, w podobnym stylu mieszkali indunowie innych grup plemiennych, które stanowiły siłę roboczą Sonder Ditch. Byli ich ojcami, sędziami plemiennymi, rządzącymi i sądzącymi zgodnie z ich specyficznymi prawami i zwyczajami. Bez ich pomocy Kompanie nie mogłyby utrzymać harmonii i porządku.

– Baba! – Big King powitał swego induna od drzwi jego domu, dotknął czoła z szacunkiem nie tylko dla niego samego, ale również dla tego, co reprezentował.

– Mój synu – uśmiechnął się na przywitanie induna.

– Chodź i usiądź przy mnie. – Skinął ręką odprawiając służbę, Big King podszedł i kucnął obok starca. – Czy to prawda, że teraz będziesz pracował z tym wariatem? – Było to przezwisko Johnny’ego Delange’a.

Zaczęli rozmawiać, induna wypytywał go o pięćdziesiąt różnych spraw dotyczących dobra jego ludzi. Dla Big Kinga było to pocieszające i nostalgiczne spotkanie, ponieważ induna zastępował mu ojca.

Wreszcie Pierwszy Starzec zadowolony przeszedł do innych spraw.

– Dziś w nocy będzie gotowa przesyłka. Kuternoga czeka na ciebie.

– Pójdę po nią.

– Idź w pokoju, mój synu.

W drodze do domu noclegowego Big King zatrzymał się na pogawędkę ze strażnikiem. Mieli oni prawo rewidować każdego. Przed wszystkim zwracali uwagę na to, żeby nie weszła jakakolwiek kobieta, aby nie przedostała się butelka spirytusu czy jakiegokolwiek alkoholu, ponieważ miało to destruktywny wpływ na mieszkańców. A w dodatku otrzymali polecenie szukania kradzionych przedmiotów. Big King musiał się upewnić, że żaden z nich nigdy i pod żadnym pozorem nawet nie pomyśli o tym, aby go zrewidować.

Gdy stał przy bramie, padły ostatnie promienie zachodzącego słońca i w dolinie zapalały się pierwsze światła. Ukazały się grona czerwonych świateł ostrzegawczych na szczytach wież wyciągowych, żółte światła wysokich hoteli, koraliki lamp ulicznych i samotne światła rezydencji na wzgórzu.

Kiedy zapadły ciemności, Big King opuścił strażników i pomaszerował główną drogą do zakrętu, za którym nie mogli go już widzieć. Potem Big

King zszedł z drogi i zaczął wspinać się na wzgórze. Poruszał się jak nocne zwierzę, szybko i ze znajomością ścieżki, którą szedł.

Minął mieszkania dyrektorów biur, w typie rancza dostosowanego poziomem do spadku terenu, z szerokimi trawnikami, basenami, zatrzymując się tylko raz na bliskie szczekanie psa, potem ruszył dalej, aż doszedł do spękanej skały i wypalonej trawy na grzbiecie wzgórza, przeszedł szczyt i zaczął schodzić w dół, gdzie w świetle księżyca ukazała się kupa śmieci i odpadków.

Zwolnił i idąc ostrożnie zauważył płot z zardzewiałego drutu kolczastego zagrządzający wejście. Przeskoczył go z łatwością i wszedł w czarny otwór tunelu.

Przed pięćdziesięcioma laty dawno już zbankrutowane towarzystwo górnicze podejrzewało na tym terenie istnienie złota i zaczęło wprowadzać poszukiwaczy i ich sprzęt do wnętrza tej strony wzgórza, wyczerpując wszystkie fundusze i na koniec z desperacją opuszczając całą sieć tuneli.

Big King przed wejściem do tunelu zatrzymał się tylko po to, aby wyjąć z kieszeni latarkę i rzucić przed siebie snop światła. Wkrótce powietrze zaczęło cuchnąć nietoperzami, których skrzydła obijały się o jego twarz. Nie zrażony tym Big King zagłębiał się coraz bardziej we wnętrzu wzgórza, bez wahania zakręcając i wchodząc w odpowiednie rozgałęzienia. Wreszcie ujrzał przed sobą słabe żółte światełko i zgasił latarkę.

– Kuternoga! – zawołał, a jego głos rozszedł się echem w tunelu. Nie było odpowiedzi.

– To ja, Big King! – krzyknął znowu i natychmiast jakiś cień oderwał się od ściany i przetoczył w jego stronę, chowając obrzydliwie wyglądający nóż.

– Wszystko gotowe – podszedł mały kaleka witając go. – Chodź, mam to tutaj.

Kuternoga, to przezwisko, jakie uzyskał z powodu kalectwa. Jakieś dwanaście lat temu zwała się na niego skała. Teraz był właścicielem studia fotograficznego na terenie kopalni. Firma kwitła, ponieważ Bantu lubili się fotografować. Niemniej zajęcie to nie było tak zyskowne jak nocne czynności w opuszczonych wyrobiskach po drugiej stronie wzgórza.

Zaprowadził Big Kinga do małego pomieszczenia wykutego w skale i oświetlonego niewielką lampą sztormową.

Nozdrza drażnił silny zapach kwasu siarkowego, mieszając się ze smrodem nietoperzy.

Na drewnianym stole opartym na krzyżakach, zajmującym większą część pomieszczenia, stały gliniane słoiki, ciężkie szklane misy, worki polietylenowe i różne marne, wyraźnie zużyte przedmioty wchodzące w skład wyposażenia laboratorium. Wśród tego bałaganu stała duża butla z nakrętką, wypełniona brudnym żółtym prochem.

– Ha! – wykrzyknął z uznaniem Big King. – Dużo!

– Tak. To był naprawdę dobry tydzień – zgodził się Kuternoga.

Big King podniósł butlę, dziwiąc się jej nieprawdopodobnej wprost wadze. Nie było to czyste złoto ponieważ metoda redukcji i kwas Kuternogi były mocno niedoskonałe, ale miało z pewnością około szesnastu karatów.

W butli mieścił się tygodniowy zbiór z tuzina słabszych punktów wzdłuż linii wydobywczych, będący efektem działalności takich ludzi jak Joseph M’Kati; w niektórych wypadkach wynoszono go pod nosem silnie uzbrojonych strażników.

Wszyscy zamieszani w to dojenie złota z Kompanii byli Shangaanami. Tylko jeden człowiek dysponował odpowiednim autorytetem, aby hamować zachłanność i nienawiść, jakie zwykle wzbudza złoto, co mogło w rezultacie zniszczyć całą tę operację. Był nim właśnie induna Shangaanów. Jednak potrzebny był jeszcze jeden człowiek, którego obecność i

znajomość portugalskiego były niezbędne do załatwiania spraw związanych z pozbywaniem się złota. A był to Big King.

Wsunął butlę do kieszeni. Jej ciężar naciągnął kieszeń i zdeformował ubranie.

– Biegnij jak gazela, Kuternogo – powiedział i odszedł w ciemność tunelu.

– Poluj jak lampart, King Nkulu – zachichotał mały kaleka obserwując postać znikającą w migotliwych cieniach.

ROZDZIAŁ 30

– Paczkę tytoniu Boxer – powiedział Big King. Oczywiście Jose Almeidy, portugalskiego właściciela koncesjonowanego sklepu kopalni i miejscowej knajpy, lekko się zwęziły. Wziął z półki żółtą czterouncjową paczkę i podał przez ladę, przyjął od Big Kinga pieniądze, odliczył resztę i położył na jego dłoni.

Patrzył, jak potężny Bantu wędruje wśród zapełnionych półek i siatek pełnych towarów, aby wreszcie zniknąć w ciemności za frontowymi drzwiami.

– Zajmij się wszystkim – mruknął po portugalsku do tłuściutkiej małej żony z jedwabistym ciemnym zarostem pod nosem. Skinęła głową ze zrozumieniem, zajmując przy kasie miejsce Jose’ego, który przeszedł przez skład do mieszkania mieszczącego się za sklepem.

Big King czekał w ciemnym miejscu. Gdy otworzyły się tylne drzwi, wsunął się do środka i Jose zamknął je za nim. Zaprowadził go do małego kantorku i wyjął z szafki wagę jubilerską. Pod czujnym okiem Big Kinga zaczął ważyć złoto. Jose Almeida kupował złoto pochodzące z nieoficjalnych źródeł, z każdej z pięciu głównych kopalni położonych na polach Kitchenerville, płacąc pięć randów za uncję, a sprzedając za szesnaście. Duży zysk usprawiedliwiał tym, że posiadanie nie rejestrowanego złota było w Południowej Afryce wielkim przestępstwem, karanym więzieniem do pięciu lat.

Almeida miał więcej niż trzydzieści i mniej niż czterdzieści lat, proste czarne włosy, które stale odsuwał z czoła, brązowe pytające oczy i brudne

paznokcie. Mimo byle jakiego i dobrze znoszonego ubrania i zaniedbanych włosów, był człowiekiem dokładnym i zasadniczym.

Mógł zapłacić Kompanii czterdzieści tysięcy randów gotówką, aby otrzymać monopol koncesyjny, dający mu prawo handlu na terenach należących do Kompanii. Tym sposobem miał ekskluzywną klientelę w osobach dwunastu tysięcy dobrze opłacanych Bantu – i jego czterdzieści tysięcy randów zwróciło mu się w ciągu pierwszego roku. W istocie nie potrzebował ryzykować kupując i sprzedając nielegalne złoto, ale to dziwny towar. Zaraża większość ludzi, którzy dotykają go z lekkomyślną zachłannością.

– Dwieście szesnaście uncji – rzekł Jose. Jego waga była nastawiona z dwudziestoprocentowym błędem – na korzyść Jose’ego, oczywiście.

– Tysiąc osiemdziesiąt randów – zgodził się Big King i Jose podszedł do wielkiego zielonego sejfu, stojącego w rogu pokoju.

ROZDZIAŁ 31

Dokładnie o pierwszej czternaście po południu Terry Steyner weszła do baru „Winorośl” hotelu President i kiedy Hurry Hirschfeld wstał, żeby ją przywitać, pomyślał, że dla pięknej kobiety te czternaście minut to żadne spóźnienie. Babka Terry uważałaby, że przysłała bardzo wcześnie, gdyby tylko tyle się spóźniła.

– Spóźniłaś się – warknął Hurry. Nie było sensu, aby uszło jej to na sucho.

– A ty jesteś wielkim łaszącym się, warczącym, kochanym starym niedźwiadkiem – powiedziała Terry i zanim zdążył się odsunąć, pocałowała go w czubek nosa. Hurry robiąc groźną minę szybko usiadł zadowolony. Zdecydował, że nie zależy mu na tym czy Marais i Hardy, którzy nasłuchiwali daleko przy barze, powtórzą to wszystkim członkom Rand Clubu.

– Dzień dobry, Mrs Steyner – przywitał ją z uśmiechem barman w szkarłatnym uniformie. – Czy mogę pani przyrządzić manhattan?

– Nie kuś mnie, Tomaszu. Jestem na diecie. Proszę tylko o szklanekę wody sodowej.

– Dieta – prychnął Hurry. – Jesteś już dość chuda. Daj jej manhattan, Tomaszu i włóż do niego wiśnię. Żadna kobieta Hirschfeldów nie może wyglądać jak chłopak, a ty nie będziesz pierwszą z nich. – I dodał po namyśle: – Zamówiłem też dla ciebie lunch, w moim towarzystwie nie będziesz głodowała.

– Szokujesz mnie, Pops – powiedziała czule Terry.

– A teraz, młoda damo, pozwól, że posłucham, co porabiałaś od czasu, kiedy widziałem cię ostatni raz.

Rozmawiali jak przyjaciele, bardzo drodzy i ufający sobie przyjaciele. Uczucia, jakimi się darzyli, wybiegały daleko poza naturalny obowiązek wynikający z więzów krwi. Było to pokrewieństwo ciała i ducha. Siedzieli blisko, głowa przy głowie, patrząc sobie w oczy, zupełnie zatraceni, rozkoszując się swoim towarzystwem. Szmer ich głosów przerywały wybuchy śmiechu, albo zduszone chichoty.

Byli tak sobą zajęci, że Peter, główny kelner musiał przejść przez Transwal Room, aby im przerwać.

– Mr Hirschfeld, nasz szef kuchni jest zrozpaczony.

– Wielki Boże – Hurry spojrzał na antyczny zegar wiszący nad barem. – Jest już prawie druga. Dlaczego nikt mi tego nie powiedział?

Ostrygi przywieziono rano wprost z zatoki Mossel i Terry wzdychała z rozkoszy po każdej z nich.

– Byłam w środę z Manfredem w Sonder Ditch.

– Tak, widziałem zdjęcie w gazecie – Hurry połknął ostatnią ostrygę.

– Muszę stwierdzić, że podoba mi się twój nowy dyrektor generalny.

Hurry odłożył widelec i lekki rumieniec gniewu pojawił się na jego wysuszonych starczych policzkach.

– Mówisz o Fredzie Plummerze?

– Nie żartuj, Pops. Mówię o Rodneyu Ironsidesie.

– Czy ta twoja zimna ryba nauczyła cię już, co masz mówić? – natarł Hurry.

– Manfred? – Była naprawdę zdumiona tym pytaniem. Hurry zauważył to. – Co on ma z tym wspólnego?

– W porządku, zapomnij o tym. – Hurry usunął Manfreda z rozmowy potrząśnięciem głowy. – Dlaczego podoba ci się ten Ironsides?

- Słyszałeś, jak on mówi?
- Nie.
- Jest świetny. Jestem pewna, że to pierwszorzędny górnik.
- Jest nim – potwierdził Hurry, był czujny i ostrożny w wydawaniu opinii.

Pater zabrał talerz Terry i pozwolił jej odetchnąć, aby mogła nabrać sił. W poprzednich kilku sekundach zdała sobie sprawę, że stanowisko Rodneya Ironsidesa nie było, jak sądziła, całkiem pewne. W rzeczywistości Pops wybrał już na dyrektora generalnego Plummera o twarzy wysuszonej śliwki. W następnej chwili zastanawiała się, czy ma uciec się do najbrudniejszych nawet metod walki, aby upewnić się, że Rod nie zostanie wymanewrowany.

Peter postawił przed nimi talerze z homarem skalnym na zimno i kiedy odszedł, Terry spojrzała na Hurry'ego. Doprowadziła do perfekcji metodę maksymalnego rozszerzania oczu. Trzymała je szeroko otwarte tak długo, aż wreszcie napełniały się łzami. Efekt tego był niszczycielski.

- Czy wiesz, Pops, że on mi bardzo przypomina tatusia z fotografii?

Pułkownik Bernard Hirschfeld, ojciec Terry, spłonął w swoim czołgu na Sidi Rezegh. Zobaczyła, że twarz Hurry'ego Hirschfelda skurczyła się z bólu i Terry poczuła się niewyraźnie, jakby była temu winna. Czy to było naprawdę konieczne, aby używać takiej broni do osiągnięcia celu?

Hurry odsunął widelcem homara i pochylił głowę tak, że nie widziała jego twarzy. Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni.

- Pops... – wyszeptała. Podniósł wzrok. W zachowaniu Hurry'ego widać było tłumione podniecenie.

– Wiesz... wiesz, że ty, do diabła, masz rację! On rzeczywiście jest trochę podobny do Berniego. Czy mówiłem ci o tym, kiedy twój ojciec i ja...

Terry odetchnęła z ulgą. Więc jednak nie skrzywdziłam go, pomyślała, spodobał mu się ten pomysł, tak, naprawdę spodobał mu się. Z kobiecą intuicją wybrała jedyną metodę perswazji, która mogłaby zmienić decyzję Hurry'ego Hirschfelda.

ROZDZIAŁ 32

Manfred Steyner zapiął pas i oparł się wygodnie w fotelu boeinga 707, czując ulgę i lekkie mdłości.

Ironsides wszedł w to i on teraz był bezpieczny. Hurry Hirschfeld posłał po niego przed dwoma godzinami, aby się pożegnać i życzyć szczęścia w czasie prowadzenia rozmów. Manfred stał przed nim myśląc z rozpaczą o jakiejś prostej metodzie powrotu do tematu. I Hurry uwolnił go od kłopotu.

– A tak przy okazji, daję Ironsidesowi Sonder Ditch. Uważam, że czas włąć do kierownictwa trochę młodej krwi. I odbyło się to tak po prostu. Manfred nie mógł uwierzyć, że wszystkie kłopoty, które w ciągu ostatnich czterech nocy spędzały mu sen z powiek, przestały teraz istnieć. Ironsides wszedł w to. Mógł teraz jechać do Paryża i powiedzieć im o tym. „Ironsides wszedł w to. Możemy zaczynać”.

Dźwięk odrzutowca nasilił się i boeing zaczął kołować. Manfred odwrócił głowę opartą na zagłówku i spojrzął przez okienko. W tłumie, na balkonie obserwacyjnym portu lotniczego Jan Smuts, nie mógł rozpoznać Terry. Minęli boeinga PanAmu, który zasłonił mu widok, i Manfred spojrzął przed siebie. Nagle jego nozdrza zadrżały, rozejrzał się szybko wokoło.

Pasażer siedzący obok niego rozebrał się do koszuli. Był to wielki byczy facet, który wyraźnie nie używał dezodorantów. Zrozpaczony Manfred zaczął się rozglądać. Samolot był pełny, istnieje bardzo mało szans na zmianę miejsca, a to indywiduum obok niego na dodatek wyciągnęło paczkę papierosów.

– Nie może pan tu palić – zawołał Manfred. – Zapalono światła ostrzegawcze.

Kombinacja odoru ciała i dymu papierosowego byłaby nie do zniesienia.

– Nie palę – odrzekł mężczyzna. – Jeszcze. – I wetknął papieros w usta, trzymając w ręku przygotowaną zapalniczkę.

„Blisko dwa tysiące mil do Nairobi”, pomyślał Manfred i jego żołądek zaczął się wywracać.

ROZDZIAŁ 33

– Terry, na litość boską, dlaczego mam jechać taki kawał drogi do Kitchenerville po to tylko, aby oglądać bandę drepczących w kółko dzikusów?

– Dlatego, żeby oddać mi przysługę, Joy – błagała Terry przez telefon.

– To znaczy, że popsujesz mi cały weekend. Pozbyłam się dzieci, wysłałam je do babci, mam książkę Małe miasteczko w Niemczech, którą chcę przeczytać i...

– Proszę cię, Joy, ty jesteś moją ostatnią nadzieją.

– A kiedy wrócimy do domu? – Joy zaczęła się łamać. Terry wyczuła to i przyciskała ją bezlitośnie:

– Mogłabyś spotkać przy kopalni wspaniałego mężczyznę, on cię oszołomi...

– Nie, dziękuję. – Joy rozwiodła się mniej niż rok temu i wszyscy uważali, że leczyła się z tego dłużej niż inni. – Najadłam się już takich wspaniałych facetów po uszy.

– Och, Joy, nie możesz tak stale siedzieć kołkiem w domu. No, dalej, przyjadę po ciebie za pół godziny.

Joy westchnęła z rezygnacją.

– Do diabła z tobą, Terry Steyner.

– Za pół godziny – powiedziała Terry i odłożyła słuchawkę, zanim Joy zdążyła odpowiedzieć.

* * *

– Gram w golfa. Jest sobota i gram w golfa – mówił doktor Daniel Stander z uporem.

– Pamiętasz jak wiozłem cię przez całą drogę do Bloemfontein, do... – zaczął Rod, ale Dan przerwał szybko:

– Dobra, dobra, pamiętam. Nie musisz mi tego znowu wypominać.

– Jesteś moim dłużnikiem, Stander – przypomniał mu Rod. – Proszę cię tylko o jedno twoje wszawie sobotnie popołudnie. Czy to zbyt wiele?

– Nie mogę zawieść chłopców. Już dawno to ustaliliśmy – próbował wykręcić się Dan.

– Dzwoniłem już do Bena. Powiedział, że z przyjemnością zajmie twoje miejsce.

Zapanowało długie ponure milczenie, a następnie Dan spytał:

– Jak wygląda ta ptaszyna?

– Jest piękna, zakochana w sobie, a poza tym jest właścicielką browaru.

– No! No! – rzekł Dan sarkastycznie. – Dobrze. Zrobię to. Ale ogłaszam wszem i wobec, że wszystkie moje długi i zobowiązania jakie miałem wobec ciebie, zostają tym samym spłacone.

– Mogę ci dać potwierdzenie na piśmie – zgodził się Rod.

Dan nadal był niezadowolony, gdy daimler zatrzymał się przed frontem Mine Club. Dan i Rod czekali w Barze Dla Pań, wypatrując przybycia gości.

Dan właśnie zamówił trzecie piwo.

– No, już nadjeżdżają – oznajmił Rod.

– To one? – Spojrzał przez kolorowe szyby i przygnębienie Dana minęło jak za dotknięciem czarnoksięskiej różdżki. Szofer wyprowadził z daimlera dwie panie. Obie miały na sobie kwieciste spodniuchy i słoneczne okulary.

– Tak, to one.

– Jezu! – powiedział Dan z rzadkim u niego uznaniem. – Która jest moja?

– Ta blondynka.

– Ha! – Dan uśmiechnął się po raz pierwszy od ich spotkania. – Dlaczego, u ciężkiego diabła, jeszcze tu stoimy?

– Właśnie, dlaczego? – zgodził się Rod i schodząc frontowymi schodami do Terry poczuł, jak mu się skręca żołądek.

– Mrs Steyner. Jestem szczęśliwy, że mogła pani przyjechać. – Z dziko radosnym podnieceniem zauważył, że to jeszcze tam było. Nie mógł sobie tego wyobrazić, ale było to nadal w jej oczach i w jej uśmiechu.

– Dziękuję, Mr Ironsides. – Wciąż zachowywała się jak uczennica, niepełna i zawstydzona.

– Chciałabym przedstawić panom Mrs Albright. Joy, to jest Rodney Ironsides.

– Halo – uśmiechnął się podając jej rękę. – Myślę, że teraz napijemy się dżinu.

Dan czekał na nich przy barze i Rod przedstawił je.

– Joy jest taka podniecona czekając, by zobaczyć te tańce – powiedziała Terry, kiedy usiedli na barowych stołkach. – Już od dawna marzy o tym.

Joy zatkało przez moment.

– Z pewnością będzie pani zachwycona – rzekł Dan, przysuwając się bliżej łokcia Joy. – Nie chciałbym tego opuścić za nic w świecie.

Joy była wysoką szczupłą dziewczyną z opadającymi na ramiona długimi złotymi włosami. Miała chłodne zielone oczy, ale kiedy się uśmiechała, jej usta były ciepłe i miękkie. A teraz uśmiechała się patrząc Danowi w oczy.

– Ani ja – odparła i Rod z ulgą stwierdził, że teraz może całkowicie poświęcić uwagę Terry Steyner. Joy Albright zapewne znalazła dobrego

opiekuna. Zamówił drinki i wkrótce wszyscy czworo stracili zainteresowanie tańcami plemiennymi.

W pewnym momencie Rod powiedział do Terry Steyner:

– Dzisiaj wieczorem jadę do Johannesburga. Nie ma sensu, aby ten nieszczęśnik pani szofer czekał tu przez całe popołudnie. Proszę go odesłać, a ja panią potem odwiozę do domu.

– Dobrze – Terry zgodziła się natychmiast. – Może będzie pan tak uprzejmy i powie mu to?

Potem Rod spojrział na zegarek, było już wpół do czwartej.

– Wielki Boże! – wykrzyknął. – Jeżeli się nie pospieszymy, to tańce się skończą.

Joy i Dan niechętnie odsunęli się od siebie.

Przeciskali się do amfiteatru w ciżbie przypominającej tłum w czasie korridy, gdzie wolni od wszelkich hamulców ludzie wesoło popychali się w pierwotnym podniecającym tańcu.

Rod i Dan przepychali się przed dziewczynami, torując im drogę do głównej bramy i dalej w dół do zarezerwowanych miejsc w pierwszym rzędzie. Siadając śmieli się, byli zaczerwienieni i podnieceni. Udzieliła im się ogólna ekscytacja, a potęgował ją jeszcze wypity trunek.

Podniósł się wyczekujący szum głosów.

– Shangaani!

I całe audytorium zwróciło twarze do wejścia, z którego wyszło tanecznym krokiem dwunastu mężczyzn z długimi drewnianymi bębnami zwisającymi na skórzanych paskach założonych na karki. Zajęli miejsca na obwodzie okrągłej sceny o podłodze z ubitej ziemi.

Tap, tap. Tap, tap. Nadzy, z przepaskami na biodrach, nachylali się nad umieszczonymi pomiędzy kolanami bębnami. Zaczęli wybijać taneczny

rytm. Były to uderzenia przerywane, dręczące, podrywające, szarpiące jak zerwany nerw. Porywający, wciągający dźwięk, puls kontynentu i ludzi.

Wtedy weszli tancerze, sunąc nogami, rząd za rzędem, z szumem przybrania głów, wirując krótkimi spódniczkami z ogonów zwierząt, z wojennymi grzechotkami na przegubach rąk i pęcinach nóg, z czarnymi muskularni błyszczącymi potem podniety; sunęli powoli rząd za rzędem, jakby rytm bębnów właczał w nich życie.

Na przeraźliwy dźwięk rogu antylopy południowoafrykańskiej rzędy tancerzy zaczęły wirować jak suche liście na wietrze i znów utworzyły nowy deseń, a po odsłonięciu jego wnętrza ukazała się gigantyczna postać.

– Big King! – To imię spłynęło przez audytorium jak jedno wielkie tchnienie i bębny natychmiast zmieniły rytm. Szybciej z gardeł tancerzy wydobył się ponaglająco świszczący dźwięk jakby nadchodzącej burzy, fal rozbijających się o skalisty brzeg.

Big King szeroko rozłożył ramiona, wyprężył się niczym kolumna z czarnego marmuru z głową odrzuconą w tył. Zaśpiewał tylko jedno przejmujące rozkazujące słowo i w natychmiastowej odpowiedzi wszystkie prawe kolana uniosły się do piersi. Pół sekundy przerwy i dwieście nagich stóp zaczęło jednocześnie tupać z dudnieniem wstrząsającym amfiteatrem aż do fundamentów. Shangaani rozpoczęli właściwy taniec; z ich ruchów znikł cały realizm; kręcili się, przypadali do ziemi, cofali całymi rzędami.

Raz Rod oderwał oczy od tego widowiska. Terry Steyner siedziała pochylona do przodu, z błyszczącymi oczami, ustami lekko rozchylonymi, owładnięta tym erotycznym zgiełkiem i barbarzyńskim przepychem.

Joy i Dan trzymali się mocno za ręce, przytuleni do siebie ramionami i udami, a Rod poczuł ukłucie zazdrości.

Po powrocie do Baru Dla Pań w klubie mówili mało, panowało między nimi napięcie, byli niespokojni, poruszeni, dziwnie podnieceni i

przepelnieni prymitywnym pragnieniem złamania konwencjonalnych zakazów.

– No – rzekł wreszcie Rod – jeżeli mam was obie zabrać do Johannesburga o przyzwoitej godzinie...

Dan i Joy powiedzieli jednocześnie:

– Nie martw się o to, Rod, ja...

– Dan powiedział, że on chce... – przerwali i spojrzeli na siebie zawstydzeni.

– Mam przez to rozumieć, że Dan nagle przypomniał sobie, że też ma dziś wieczorem jechać do Johannesburga i ofiarował się odwieźć panią? – zapytał sucho Rod, a oni roześmieli się twierdząco.

– Wygląda na to, że jesteśmy zdani na siebie, Mrs Steyner – zwrócił się Rod do Terry.

– Zaufam panu – odparła Terry.

– Jeżeli pani to zrobi, będzie pani szalona – rzekł Dan.

* * *

Wokół szybko zapadała ciemność. Horyzont zlewał się z czarnym niebem, pojedyncze światła błyszczały na otaczającym ich bezkresnym trawiastym pustkowiu.

Rod zapalił reflektory i słabo zajaśniała tablica liczników zamieniając wnętrze samochodu w przytulne wyizolowane od świata miejsce. Wiatr szeptał łagodnie, motor i opony szumiały intymny refren.

Terry Steyner siedziała z podkurczonymi nogami, wtulona w miękki głęboki skórzany fotel. Patrzyła przed siebie na drogę oświetloną reflektorami i wydawała się być bardzo daleka i zarazem bardzo bliska. Co

kilka minut Rod odrywał wzrok od drogi i szybko zerkał na jej profil. Za którymś razem spotkał jej wzrok. Patrzyła mu szczerze w oczy.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, co się dzieje? – zapytała.

– Tak – odparł równie szczerze.

– Czy wie pan, jakie to mogłoby być niebezpieczne dla pana?

– I dla pani.

– Nie, nie dla mnie. Ja jestem odporna na wszystko. Należę do Hirschfeldów. Ale pan... Pana może to zniszczyć.

Rod wzruszył ramionami.

– Gdybyśmy przed popełnieniem jakiegoś czynu, zawsze zwracali uwagę na konsekwencje, nikt by nigdy niczego nie zrobił.

– Czy pomyślał pan o tym, że ja mogę być zepsutą bogatą małą dziewczynką, bawiącą się panem? I że może robię to przez cały czas.

– Możliwe, że pani to robi – zgodził się Rod. Zapanowało długie milczenie, potem znów odezwała się Terry.

– Rod? – po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

– Tak?

– Wiesz, że tego nie robię. Naprawdę nie robię tego.

– Domyśliłem się.

– Dziękuję. – Otworzyła torebkę. – Chcę zapalić. Czuję się tak, jakbym stała na brzegu przepaści i miała przemożną ochotę skoczyć w nią.

– Zapalisz mi jednego, Terry?

– Ty też masz ochotę?

– Ogromną.

Zapalili i znów zapadło milczenie. Patrzyli przed siebie, potem Terry opuściła szybę i wyrzuciła niedopałek.

– Czy już wiesz, że dostałeś tę pracę? – Przez cały dzień chciała mu to powiedzieć, przez cały czas wzbierało to w niej. Obserwowała jego twarz i

dostrzegła, że mrużąc oczy zacisnął wargi.

– Słyszysz, co mówię? – spytała niecierpliwie. Zahamował zjeżdżając na pobocze. Zaciągnął hamulec i odwrócił się ku niej.

– Terry, o czym ty mówisz?

– Mówię, że dostałeś tę pracę.

– Jaką pracę? – natarł ostro.

– Pops dziś rano podpisał nominację. Otrzymasz ją w poniedziałek. Jesteś nowym dyrektorem generalnym Sonder Ditch. – Chciała jeszcze dodać: I ja ci to załatwiłam. Pops zrobił to dzięki mnie.

Nigdy tego nie powiem, obiecała sobie, nigdy mu nie zepsuję przyjemności. Musi wierzyć, że doszedł do tego uczciwą drogą, że nie otrzymał tego w podarunku ode mnie.

ROZDZIAŁ 34

Była to sobotnia noc, długa noc w Dump City.

Najstarszą kopalnią na terenach Kitchenerville była kopalnia Blauberg. Znajdowały się tam miejsca już całkowicie wyeksploatowane i zarośnięte, leżały na nich wszelkiego rodzaju śmieci i odpadki. Pośród wysokiego do ramion zielska, pośród wzgórz uformowanych przez ludzi, wyrosły slumsy. Ci, którzy tam mieszkali, nazywali je Miastem Śmieci – Dump City. Domy sklecono z odpadków blach i zgniecionych beczek po oleju, nie było tam instalacji wodociągowej i kanalizacyjnej.

Oddalone od głównych dróg, od osiedli przy sąsiednich kopalniach i od Kitchenerville, ukryte pomiędzy śmieciami miejsce, do którego można było dojść tylko piechotą, nigdy nie odwiedzane przez południowoafrykańską policję, było idealnie przystosowane do celów, jakie przyświecały jego trzystu mieszkańcom.

Każda z tych bud była meliną, gdzie za wysokie ceny sprzedawano rozwodniony alkohol, gdzie łatwo można było dostać marihuanę, gdzie zbierali się okoliczni mężczyźni, aby poszaleć.

Nie przychodzili tylko, aby się napić. W każdym kopalnianym domu noclegowym był bar z pełnym asortymentem trunków po cenach klubowych. Niektórzy szli do Dump City po marihuanę, ale wśród dobrze odżywionych, ciężko pracujących i zadowolonych mężczyzn nie było wielu narkomanów. Oni przychodzili tu po kobiety.

Pięć kopalń w okolicy zatrudniających dziesięć do dwunastu tysięcy mężczyzn. A tu, w Dump City, było dwieście kobiet, jedynych dostępnych kobiet w promieniu dwudziestu mil. Młode damy z Dump City nie musiały

wysilać się, żeby zdobyć klientów. Nawet grube, zwiędłe i bezzębne mogły zachowywać się, jak królowe.

Big King przyszedł tu ścieżką przez śmietnik. Towarzyszyły mu dwa tuziny współplemieńców, wielkich Shangaanów, wystrojonych jak władcy, z włócznieami, i ciągle jeszcze podnieconych tańcem. Przybiegli truchtem, prowadził ich Big King. Śpiewali, ale nie były to łagodne miłosne pieśni, nie były to również pieśni, które śpiewali przy pracy, ani też pieśni powitalne.

Były to pieśni wojenne, śpiewane przez ich przodków, kiedy brali włócznie i szli w poszukiwaniu bydła lub niewolników. Były to pieśni o podniecającym, płomiennym rytmie, z dzikimi patriotycznymi słowami tak silnie zapadającymi w delikatną i wrażliwą pamięć przeciętnego Shangaana, że Kompania uznała za konieczne zakazać im śpiewu.

Kiedy Shangaan zacznie śpiewać pieśni wojenne, gotów jest popełniać czyny szalone jak Szkot, gdy mu zagrają kobzy.

Śpiew urwał się, gdy Big King doprowadził ich do pierwszej rudery i odepchnął na bok worek imitujący drzwi.

Pochylił się, wszedł w otwór, a za nim wcisnęli się jego towarzysze.

W dość obszernym pomieszczeniu zapadła pełna napięcia cisza. Powietrze było tak gęste od dymu, a światło wiszącej lampy sztormowej tak słabe, że nie można było dojrzeć przeciwległej ściany. W izbie znajdowało się czterdziestu lub pięćdziesięciu mężczyzn i unosił się zapach potu i podłej wódki. Wśród tłoczących się ludzi jasnymi plamami odcinało się z pół tuzina kolorowych sukienek dziewcząt, ale natychmiast pojawiło się ich więcej, zaciekawionych śpiewem. Niektóre z nich wychodziły z wewnętrznych drzwi, prowadząc ubierających się jeszcze klientów. Kiedy zobaczyły Big Kinga i jego wojowników w pełnym rynsztunku, ucichły i stały się czujne.

Jeden z Shangaanów szepnął przy ramieniu Big Kinga:

– Basuto! To wszystko są Basuto! – Miał rację, Big King zauważył, że wszyscy mężczyźni byli mieszkańcami małego górskiego niezależnego kraju.

Big King postąpił do przodu, kołysząc się na tyle, aby ogon lamparta na jego spódniczce odpowiednio chwiało się i kręciło, i aby odpowiednio szumiały czaple pióra, które przystrajały jego głowę. Podeszedł do prymitywnego kontuaru baru.

– Latający Ptak – rzucił wiedźmie, która była właścicielką baru i postawiła przed nim butelkę Orlej Brandy.

Big King napełnił do połowy ogromny kielich, świadom, że wszystkie oczy zwrócone są na niego, i wychylił go. Powoli odwrócił się i rozejrzał po sali.

– Co to jest – zapytał głosem dochodzącym do najdalszego kąta – co siedzi na czubku góry i iska pchły? Czy to pawian, czy Basuto?

Wrzask aprobaty wydarł się z ust Shangaanów.

– To Basuto! – krzyknęli tłocząc się przy barze, podczas gdy wśród reszty zgromadzonych odezwały się pomruki i warknięcia.

– Co to jest – wrzasnął podskakując Basuto – co ma pióra na głowie i kracze z kupy gówna? Czy to kogut, czy Shangaan?

Big King, prawie nie poruszając się, podniósł butelkę Orlej Brandy i rzucił. Rozbiła się z trzaskiem na czole Basuto, który padając pociągnął za sobą dwóch swoich towarzyszy.

Stara wiedźma chwyciła kasę z pieniędzmi i uciekła, gdy całe pomieszczenie eksplodowało dziką bijatyką.

Nie było dosyć miejsca, aby walczyć włóczniami, z czego zdawał sobie sprawę Big King; wyrwał więc z podłogi część kontuaru i trzymając go

przed sobą niczym spychacz ruszył do przodu, gniotąc przed sobą wszystko i wszystkich.

Trzask pękających mebli i kwiki tratowanych ludzi doprowadziły Big Kinga do granic rozsądku, do krwawego atawistycznego amoku.

Basuto należą również do walecznych plemion z grupy Nguni. Ci żyłaści górale ruszyli do walki z taką samą dziką radością jak Shangaani i szalejąca bitwa wytoczyła się z rykiem z tego pomieszczenia, by zagarnąć wszystkich mieszkańców Dump City.

Jedna z dziewcząt, z której zdarto sukienkę, tak że pozostała tylko w majteczkach, wdrapała się na resztki baru i tam, kołysząc podobnymi do melonów piersiami, piszczała jakąś piosenkę, którą Bantu ułożyli dla podniecenia mężczyzn i doprowadzenia ich do szału. Dołączyło do niej tuzin innych dziewcząt, kwicząc i piszcząc, a tego było już za wiele dla Big Kinga.

Blatem baru staranował tandetną ściankę szopy, rozdierając ją jak papierowy worek; nadwerężony dach opadł w dół, Big King pędził jak oszalały na oślep przez wąską uliczkę. Zmiał wszystkich, którzy przypadkowo znaleźli się na jego drodze, rozrzucał kury, skaczące psy i ryczał jak goryl.

Na skraju osady odwrócił się i zawrócił. Jego niezadowolenie i zawód wzrosły, gdy przekonał się, że uliczki były puste, leżało na nich kilka ciał. Wszedł do meliny przez wąską dziurę w ścianie i stwierdził, że i tam nie ma już z kim walczyć. Kilku wojowników czołgało się teraz, albo jęcząc leżało na dywanie utworzonym z potłuczonego szkła.

Big King toczył wokół wściekłym okiem, szukając czegoś, na czym mógłby wyładować rozpierającą go wściekłość.

– King Nkulu! – Dziewczyna ciągle jeszcze stała na resztkach kontuaru, jej oczy błyszczały pełne podniecenia, nogi pod nią drżały.

Big King wydał następny ryk i odrzucił blat baru, który uderzył o odległą ścianę, i zaczął zbliżać się do dziewczyny.

– Jesteś lwem! – krzyczała dodając mu odwagi, chwyciła w dłonie swe wielkie, aksamitne piersi, uniosła w jego kierunku i ścisnęła trzęsąc się cała z podniecenia.

– Zjedz mnie! – kwiknęła, gdy Big King zmiotł ją z kontuaru i unosząc jedną ręką wysoko wybiegł w ciemność. Zaniósł ją w krzaki za śmietnikiem kopalnianym, zdzierając w biegu spódniczkę z lamparcim ogonem.

ROZDZIAŁ 35

W Paryżu również był sobotni wieczór, jednak niektórzy ludzie jeszcze pracowali. W pokojach na piętrze jednej z wielkich ambasad przy Rue Royale paliły się światła.

Grubas, który w sali gry w Johannesburgu pełnił rolę gospodarza teraz był tutaj gościem. Siedział wygodnie rozparty w skórzanym fotelu klubowym, jego tusza i siwe włosy na skroniach dodawały mu powagi. Miał twarz o surowym wyrazie, opaloną i inteligentną. Oczy lśniły blaskiem diamentu, jaki nosił na palcu.

Słuchał uważnie mężczyzny mniej więcej w tym samym wieku, który stał przed mapą rzuconą na ekran zakrywający ścianę pokoju. W jego zachowaniu było coś, co świadczyło, że był uczonym. Mówił zwracając się bezpośrednio do słuchacza w klubowym fotelu, wskazując pałeczką miejsca na ekranie.

– Ma pan przed sobą plan pięciu czynnych kopalni złota na terenach Kitchenerville. – Dotknął pałeczką ekranu. – Thornfontein, Blaauberg, Tweefontein, Deep Gold Levels i Sonder Ditch.

Mężczyzna w fotelu skinął głową.

– Widziałem i przestudiowałem już ten plan.

– Dobrze. Zatem wie pan, że Sonder Ditch leży w centrum tego terenu. Graniczy z innymi czterema kopalniami, a tutaj – stuknął znów w ekran – jest przecięta przez potężną krętą zaporę z litego serpentynu, którą nazywają Big Dipper [Wielką Niedźwiedzicą].

Mężczyzna w fotelu znów skinął głową.

– Z tego właśnie powodu wybraliśmy Sonder Ditch jako języczek spustu. – Wykładowca nacisnął przycisk na ścianie i obraz na ekranie zmienił się. – A teraz mam tu coś, czego pan jeszcze nie widział.

Mężczyzna w fotelu pochylił się.

– Co to jest?

– To mapa oparta na podziemnych odwiertach dokonanych przez pięć Kompanii, które badają tereny położone na wschód od Big Dipper. Zebrano wyniki wierceń i przeanalizowały je wybitne umysły w dziedzinie geologii i hydrofizyki. Ma pan tu dokładne dane dotyczące tego, co znajduje się na dalekim skraju zapory Big Dipper.

Grubas niespokojnie poruszył się w fotelu.

– To jest monstrualne!

– Tak, to jest monstrualne. Tuż za zaporą znajduje się podziemne jezioro... Nie, to nie jest właściwe określenie. Można by to nazwać podziemnym morzem, a przynajmniej zbiornikiem wodnym o wielkości jeziora Eyrie. Woda utrzymuje się tam dzięki gigantycznej gąbce z porowatej skały dolomitowej.

– O, mój Boże. – Po raz pierwszy grubas stracił panowanie nad sobą. – Jeżeli to prawda, to dlaczego Kompanie nie dojdą do wniosku, że należy trzymać się od tego z daleka?

– Ponieważ – wykładowca usunął obraz z ekranu i zapalił światła – ponieważ w warunkach silnej konkurencji nie mają dostępu do wyników kompleksowych badań. A tylko wtedy, gdy mamy dostępne kompleksowe badania sytuacja staje się jasna.

– Jakim sposobem pański rząd stał się posiadaczem tych kompleksowych badań? – zapytał z naciskiem grubas.

– To nieważne – odparł szorstko niezadowolony wykładowca. – Posiadamy również wyniki badań niejakiego doktora Petera Wesselsa, który

jest obecnie szefem zespołu poszukiwawczego w Rock Mechanics, działającego na terenach należących do kopalni Sonder Ditch. Są to informacje utajnione przez Kompanię i wchodzi w skład dokumentu, który doktor Wessels sporządził według próbek i naprężeń panujących w skałach. Jego poszukiwania wiążą się bezpośrednio z ventersdorpskimi kwarcytami, z których składa się skała w zasięgu działania kopalni Sonder Ditch. Wykładowca wziął z biurka broszurę.

– Nie będę pana zmuszał do brnięcia przez ten wysoko specjalistyczny tekst. W zamian za to mogę panu udzielić skondensowanej informacji. Doktor Wessels doszedł do wniosku, że słup ventersdorpskiego kwarcytu ma 120 stóp grubości i może ulec zniszczeniu pod ciśnieniem 4000 funtów na cal kwadratowy.

Wykładowca rzucił broszurę na biurko.

– Jak pan wie, zgodnie z przepisami, Kompanie kopalni złota muszą zostawić barierę z litej skały o grubości 120 stóp wzdłuż ich granic. To ma oddzielić jedną czynną kopalnię od drugiej; jest to po prostu tylko skalna ściana. Rozumie pan?

– Oczywiście. To zupełnie proste.

– Proste? Tak to jest proste! Ten doktor Steyner, nad którym ma pan kontrolę, poinformuje nowego dyrektora generalnego Sonder Ditch, że ma przebić tunel przez Big Dipper. W ten sposób połączy się z olbrzymim podziemnym zbiornikiem wodnym, woda zacznie wylewać się z niego i zatopi wszystkie pokłady robocze Sonder Ditch. Kiedy zostaną one zatopione, parcie wywołane sześcioma tysiącami stóp wody wywoła ciśnienie na niższe poziomy rzędu czterech tysięcy funtów na cal kwadratowy. To wystarczy, aby zniszczyć skalne ściany i zatopić z kolei kopalnie Thornfontein, Blaauberg, Deep Gold Levels i Tweefontein.

– W ten sposób całe tereny złotodajne Kitchenerville zostałyby skutecznie i całkowicie wyeliminowane z produkcji. W efekcie system ekonomiczny Republiki Południowej Afryki znalazłby się w katastrofalnej sytuacji.

Grubas był wyraźnie zaszokowany.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – zapytał, potrząsając ze zdumieniem głową.

– Mój kolega, który jest tutaj – wykładowca wskazał mężczyznę siedzącego spokojnie w kącie – może to panu zaraz wyjaśnić.

– Ale... ludzie! – zaprotestował grubas. – Tam na dole będą ludzie, tysiące ludzi.

Wykładowca uśmiechnął się i uniósł brwi.

– Gdybym panu powiedział, że utonie sześć tysięcy ludzi, odmówiłby pan otrzymania, bo inaczej to strata, miliona dolarów, które oferuje panu mój rząd?

Grubas spuścił wzrok speszony i mruknął cicho:

– Nie.

Wykładowca zachichotał.

– Dobra! Dobra! Niech pan ukoi dręczące pana sumienie i dowie się, że spodziewamy się nie więcej niż czterdzieści do pięćdziesięciu nieszczęśliwych wypadków utonięcia. Oczywiście ludzie, którzy będą wtedy pracować na przodku mogą zostać zabici. Jednak ta olbrzymia masa wody pod wielkim ciśnieniem powinna uczynić ich śmierć niespodzianą i szybką. Reszta może zostać skutecznie ewakuowana z kopalni i będzie miała duże szanse przeżycia. Sąsiednie kopalnie będą miały do dyspozycji wiele dni, aby się ewakuować, zanim wytworzy się ciśnienie wody wystarczające do przebicia ich ścian granicznych.

Przez minutę panowała w pokoju cisza.

– Ma pan jakieś pytania?

Grubas zaprzeczył ruchem głowy.

– Więc dobrze, zostawię pana z moim kolegą, aby objaśnił panu szczegóły. Wy tłumaczy panu konieczność wykonania tej operacji, omówi termin zapłaty i wytyczne pańskiego działania. – Wykładowca zgarnął papiery z biurka.

– Pozostaje mi tylko życzyć panu szczęścia. – Znowu zachichotał i szybko wyszedł.

Mały mężczyzna, który dotychczas siedział w milczeniu, nagle zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Mówił szybko, od czasu do czasu mrugając okiem na słuchacza, jego łysa głowa błyszczała w fluoryzującym świetle, poruszał króliczymi wąsami i nerwowo palił papierosa.

– Wpierw uzasadnienia. Przedstawię je krótko i dostęпно, dobrze? Południowi Afrykanie i żabojady spiknęli się razem. Są tu, w Paryżu, i teraz pichcą nam paskudny figiel. Wiemy, co chcą zrobić. Będą starali się ruszyć całą parą na forszę mojego rządu. No, rozumie pan, podniosą cenę złota. I to właśnie będzie dla nas dość paskudne i bardzo nam wszystko skomplikuje, jasne? A oni są do tego zdolni. Południowa Afryka jest największym na świecie producentem złota. Z pomocą żabojadów będą mogli spowodować wzrost cen złota.

Zatrzymał się przed grubasem i oskarżycielsko skierował w niego palec.

– A my będziemy beczynnie siedzieć i patrzeć na to? Nie, sir! Podejmiemy rękawicę i w ciągu trzech miesięcy Syndykat będzie gotów do ataku. Dokładnie wtedy wykopimy krzesło spod Południowych Afrykanów, obcinając ich produkcję złota o połowę. Zatopimy kopalnie na terenach złotodajnych Kitchenerville i cała ich akcja spali na panewce, prawda?

– Tak po prostu?

– Tak po prostu! – łysa głowa kiwnęła potakując energicznie. – Teraz moim kolejnym obowiązkiem jest wyjaśnić panu, że ten milion dolarów, na które się pan zgodził, to cała nagroda, jaką pan dostanie. Ani pan, ani pańscy agenci nie możecie sobie pozwolić na jakiegokolwiek finansowe transakcje, które mogłyby retrospektywnie ukazać, że była to zaplanowana akcja, jasne?

– Jasne – grubas skinął głową.

– Czy zapewni mnie pan, że nie będzie kombinował z akcjami zamieszanych w to Kompanii?

– Ma pan moje słowo – zapewnił poważnie grubas i nie po raz pierwszy w życiu stwierdził, jak łatwo i bezboleśnie można coś obiecać.

W asyście trzech mężczyzn, z którymi obserwował Manfreda Steynera grającego w klubie w Johannesburgu, miał zamiar rozpocząć ofensywę spadku akcji na światowych giełdach.

W dniu, w którym będą przewiercać Big Dipper on i jego partnerzy sprzedadzą miliony udziałów w pięciu Kompaniach górniczych, co spowoduje jedną z największych morderczych operacji finansowych w dziejach pieniądza.

– A zatem wszystko jasne – łysa głowa zakołysała się. – Teraz, jeśli chodzi o doktora Steynera, mamy wyrobione o nim zdanie i posiadamy analizę jego osobowości, ale sądzimy, że mimo pewności co do tego, że będzie pan czuwał nad jego lojalnością, mógłby wierzyć i wydać rozkaz zaniechania prac przy Big Dipper, gdyby zdał sobie sprawę z konsekwencji. Dlatego też przygotowaliśmy drugi raport geologiczny – wyjął z teczki gruby zeszyt oprawiony w manilę – zawierający zrozumiałe i jasne dla niego dane. Innymi słowy są tutaj wyniki wierceń zespołu badawczego CRC, lecz inne dane zawarte w raporcie są fikcyjne. Ten raport dowodzi, że

za zaporą istnieją wspaniałe, bogate żyły złota. – Podszedł do grubasa i podał mu zeszyt. – Proszę to wziąć. To pomoże panu przekonać doktora Steynera, a on z kolei przekona swojego nowego dyrektora generalnego kopalni złota Sonder Ditch.

– Byliście bardzo przewidujący – rzekł grubas.

– Próbujemy spełniać życzenia naszych klientów – odparł łysy.

ROZDZIAŁ 36

Grano w pokera z pięcioma kartami i jedną zakrytą, a przy stole pozostało już tylko dwóch graczy, Manfred Steyner i Algierczyk.

Manfred tak wyliczył czas swego przybycia do Paryża, żeby mieć cały wolny weekend, zanim reszta delegatów przybędzie w poniedziałek porannym samolotem.

W sobotę po południu zameldował się w hotelu George Cinq, wykapał się i przez trzy godziny odpoczywał aż do ósmej wieczorem, potem pojechał taksówką do klubu Czarny Kot.

Grał od pięciu godzin. Otrzymywał stale mocne karty i wygrał już olbrzymią sumę. Leżała przed nim sterta kolorowych francuskich banknotów przypominająca sałatę. Po drugiej stronie stołu siedział Algierczyk, szczupły, ciemnoskóry Arab z brązowymi oczami i z jedwabistym czarnym wąsem. Biel zębów kontrastowała z kremowobrązową skórą. Miał na sobie koszulę z różowego jedwabiu i bladoniebieską marynarkę. Długimi brązowymi palcami gładził i układał kupkę swoich banknotów.

Na poręczy jego fotela siedziała dziewczyna. Była to Arabka w złotej obcisłej bluzce i spodniach. Długie błyszczące włosy opadały na ramiona, jej oczy wpatrywały się bez ruchu w Manfreda.

– Dziesięć tysięcy – głos Manfreda brzmiał ostro jak komenda pruskiego sierżanta. Stawiał właśnie na otrzymaną czwartą kartę. On i Algierczyk byli ostatnimi graczami. Inni złożyli karty i siedzieli, obserwując grę z zainteresowaniem ludzi nie biorących już w niej udziału.

Oczy Algierczyka zwięzły się niedostrzegalnie, dziewczyna pochyliła się i wyszeptała mu coś do ucha. Potrząsnął głową zdenerwowany i zaciągnął się papierosem. Miał parę królowych i odkrytą szóstkę. Pochylił się, żeby zobaczyć karty Manfreda.

Rozdający nalegał:

– Gra o dziesięć tysięcy franków, z czwórki, piątki, siódemki pik. Możliwy porządek w kolorze.

– Grać albo pasować – powiedział jeden z panów nie uczestniczących w grze. – Pan traci czas.

Algierczyk rzucił mu jadowite spojrzenie.

– Przyjmuję – rzekł i odliczył dziesięć tysięcy franków.

– Carte. – Rozdający podsunął każdemu z nich zakrytą kartę. Algierczyk szybko uchylił kciukiem róg swojej karty, spojrzął i zakrył.

Manfred siedział bardzo spokojnie, karta leżała o cal od jego prawej ręki. Był blady, miał twarz bez wyrazu, ale wewnątrz gotował się z wściekłości. Daleki od możliwego porządku, Manfred miał czwórkę, piątkę, siódemkę w pikach i ósemkę kier. Tylko szóstka mogła uratować sytuację, a przecież jedna szóstka była wśród kart Algierczyka. Miał nikłe szanse. Jego uda były gorące z podniecenia, w piersiach czuł ucisk. Przedłużał to, pragnąc żeby podniecenie trwało wiecznie.

– Para królowych do przebicia – mruknął rozdający.

– Dziesięć tysięcy – Algierczyk przesunął pieniądze w przód.

„Dostał następną królową”, pomyślał Manfred, „ale nie jest pewny, czy mam sekwens w kolorze, czy też porządek”.

Manfred położył delikatną białą rękę na piątej karcie, zakrył ją i podniósł.

– Stół – rzekł Manfred spokojnie i wśród obserwujących rozszedł się szmer. Ręka dziewczyny zacisnęła się na rękawie Algierczyka. Patrzyła z

nienawiścią w twarz Manfreda.

– Pan przebił stół – oznajmił krupier. – Zgodnie z regułami panującymi w tym domu każdy gracz może przebić całą stawkę znajdującą się na stole.

– Sięgnął przez stół i zaczął liczyć banknoty leżące przed Manfredem.

W minutę później oznajmił:

– Dwieście dwadzieścia tysięcy franków. – Spojrzał na Algierczyka. – Teraz od pana zależy, czy będzie pan przebijał.

Dziewczyna szybko wyszeptała coś do ucha Araba, ale on rzucił jej tylko jedno słowo i cofnęła się. Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał pomocy, potem uniósł karty i przejrzał je powtórnie.

Nagle jego twarz stężała i bez ruchu wpatrywał się w Manfreda.

– Wchodzę! – rzucił i prawa dłoń Manfreda opadła otwarta na stół.

Arab pokazał swoje karty. Trzy królowe. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Manfreda.

Odkrył swoją ostatnią kartę. Trójka karo. Jego karty były bez wartości.

Z okrzykiem triumfu Algierczyk zerwał się z miejsca, sięgnął przez stół i zaczął obiema rękami zgarniać ku sobie pieniądze.

Manfred wstał, dziewczyna Araba uśmiechnęła się ironicznie, kpiąc z niego po arabsku. Odwrócił się szybko i niemal zbiegł po schodach do garderoby. Dwadzieścia minut później czując się źle, z zawrotem głowy, Manfred wśliznął się na tylne siedzenie taksówki.

– George Cinq – powiedział do kierowcy. Wchodząc do hallu hotelowego ujrzał wysoką postać wstającą ze skórzanego fotela i idącą za nim do windy. Ramię w ramię weszli do windy i kiedy drzwi się zamknęły, wysoki mężczyzna powiedział:

– Witam w Paryżu, doktorze Steyner.

– Dziękuję, Andrew. Przypuszczam, że przybyłeś udzielić mi instrukcji?

– Zgadza się. On życzy sobie widzieć pana jutro o dziesiątej. Przyjdę po pana.

ROZDZIAŁ 37

W Kitchenerville był sobotni wieczór, w barze hotelu Lord Kitchener mężczyźni z pięciu kopalń, którzy odbierali codziennie wypłatę, przepychali się w trzech rzędach do kontuaru.

Publiczne tańce zaczęły się przed trzema godzinami. Przy stołach na werandzie skromnie siedziały tubylcze kobiety, pijąc piwo i lemoniadę. Chociaż wszystkie wydawały się ignorować nieobecność mężczyzn, jednak nieustannie obserwowały drzwi do baru. Większość żon trzymała już bezpiecznie ukryte w torebkach klucze do samochodów.

W sali jadalnej, z której usunięto meble i podłogę obficie posypano talkiem, lokalny czteroosobowy zespół, który nosił dziwną nazwę „Wietrzne Psy”, zaczął bez żadnych wstępów grać szybką wersję Die On Kraal Liedjie i z baru odpowiedziały na to wezwanie do broni grupy mężczyzn w różnym stopniu podchmielenia.

Wielu z nich zdjęło już marynarki, rozluźniło krawaty, ich głosy brzmiały donośnie, a nogi plątały się, gdy prowadzili partnerki do tańca, i natychmiast okazywało się do jakiej to szkoły tańca należeli.

Był wśród nich szwadron kawalerii, którego członkowie chwyтали partnerki pod pachę, jak lance podczas szarży. Na drugim końcu sali byli tacy, którzy ponuro przepychali się po obwodzie, nie patrząc ani na lewo ani na prawo, nic nie mówiąc, nawet do swoich partnerek. Inni znów byli niezwykle towarzyscy, pętali się po całej sali z zaczerwienionymi twarzami, w ogóle nie poruszali się w rytm muzyki, krzyczeli do przyjaciół i próbowali podszczypywać znajdujące się w zasięgu rąk damskie pośladki. Ich nagłe i niespodziane ruchy kolidowały z ewolucjami tancerzy.

Ci zgromadzili się w centrum sali i wirowali. Przed sześcioma laty rozpowszechnił się twist, jak epidemia grypy azjatyckiej, a potem nagle znikł. Odszedł w zapomnienie, ale nie w takim miejscu jak Kitchenerville. Tutaj jakoś zadomowił się na dobre i stopił z miejscową kulturą. W tej twierdzy twista znalazł się nawet prawdziwy mistrz.

– Johnny Delange? Ludzie, on to dopiero potrafi tańczyć twista! – szeptano z zachwytem.

Sinusoidalnymi, zmysłowymi ruchami unoszącej się kobry Johnny twistował z Hettie. Jego błyszczące ubranie z ayonu i koszula ozdobiona koronkowymi falbanami falowała na gorsie. Na twarzy o jastrzębich rysach rozlał się dziki uśmiech rozkoszy, a ozdobne zapinki włoskich butów z ostrymi czubkami błyskały w tańcu.

Jak na dość masywną dziewczynę, o rudych włosach i różowej cerze, Hettie tańczyła lekko. Była wiotka w talii, a jej rozłożyste biodra opinała szmaragdowozielona spódniczka. Tańcząc śmiała się pełnym zdrowym śmiechem, pasującym do jej bujnego ciała.

Oboje poruszali się z wprawą tancerzy, którzy często razem tańczą. Hettie wyczuwała każdy ruch Johnny'ego, a on uśmiechał się do niej z uznaniem.

Z werandy obserwował ich Davy Delange. Stał w cieniu, ściskając w ręku ogromny kufel piwa, przygarbiona, samotna postać. Kiedy inne tańczące pary uniemożliwiały mu obserwację rozkosznie wirujących pośladków Hettie, wydawał okrzyk złości i poruszał się niespokojnie.

Muzyka ucichła i tańczący wysypali się na werandę, ciężko dysząc, śmiejąc się i wycierając spocone twarze; dziewczyny odprowadzane przez mężczyzn do stolików piszczały i chichotały, partnerzy zostawiali je i wracali do baru.

– Trzymaj się – powiedział Johnny pozostawiając niechętnie Hettie, wolałby zostać razem z nią, ale co by powiedzieli chłopcy, gdyby spędził cały wieczór tylko ze swoją żoną.

Wchłonał go żartujący i wybuchający śmiechem tłum mężczyzn. Zajęty był dyskusją na temat zalet i wad forda mustanga, którego miał zamiar kupić, kiedy trącił go Davy.

– To Constantine! – wyszeptał i Johnny spojrzał szybko. Constantine był greckim imigrantem i pracował na przodku w kopalni Blaauberg. Było to wielkie, czarnowłose indywiduum ze złamanym nosem. To Johnny złamał ten nos jakieś dziesięć miesięcy temu. Będąc kawalerem Johnny bił się z nim przynajmniej raz w miesiącu, nie na serio, były to takie półprzyjazne szturchańce.

Constantine zdawał się nie rozumieć, że teraz Johnny był pod wpływem swojej żony i nie mógł brać udziału w żadnych bijatykach. Mylnie uważał, że Johnny się go boi.

Właśnie wchodził do baru, trzymając szklanekę w potężnej włochatej łapie z elegancko odchylonym małym palcem. Drugą rękę wsparł na biodrze i sunął z głupawym uśmieszkiem wykrzywiającym grube rysy jego twarzy. Stanął przed lustrem, żeby przyklepać włosy, mrugnął do kumpli i podszedł do Johnny'ego. Zatrzymał się, zlustrował Johnny'ego ciężkim spojrzeniem, zamrugnął i zakołysał się biodrami. Jego kumple z kopalni Blaauberg aż trzęśli się ze śmiechu, radośnie rechotali pokładając się na ramionach sąsiadów.

Z następnym skrętem bioder, parodiującym twista, Constantine rechocząc ze śmiechu znikł w ustępie, aby ukazać się po minucie i posłać Johnny'emu pocałunek przyłączając się do swoich przyjaciół. W uznaniu za to przedstawienie postawili Grekowi drinka. Johnny uśmiechnął się trochę sztucznie, ciągnąc rozmowę na temat zalet mustanga.

Dwadzieścia minut później, po sześciu drinkach, Constantine powtórzył swoje przedstawienie na trasie do ustępu. Jego repertuar był raczej ograniczony.

– Opanuj się, Johnny – wyszeptał Davy. – Idź i usiądź na werandzie.
– On się o to prosi. Mówię ci! – Uśmiech Johnny’ego znikł.
– Chodź Johnny, chodź człowieku.
– Nie, do diabła, pomyślą, że daję nogę. Teraz nie mogę już iść.
– Wiesz, co na to powie Hettie – ostrzegł go Davy. Johnny zawahał się przez moment.

– Do diabła z tym, co powie Hettie – Johnny zacisnął prawą pięść usianą złotymi pierścieniami, podszedł do Constantine’a i oparł się na kontuarze obok niego.

– Herby – krzyknął do barmana i kiedy ten odwrócił, się wskazał na Greka. – Proszę dać tej damie piwa i lemoniady.

Obserwujący rzucili się w poszukiwaniu kryjówek. Davy skoczył na werandę z informacją, dla Hettie.

– Johnny! – dyszał. – On znów się bije.
– Co takiego?! – Hettie zerwała się na nogi niczym rudowłosa Walkiria. Jednak drogę do baru zapełnił tłum widzów cisnących się do drzwi i okien. Wszyscy wspinali się na palce, żeby lepiej widzieć, włazili na stoły i krzesła, każde uderzenie, każdy trzask łamanego mebla był witany rykiem zachwytu.

Hettie, z torebką w prawej ręce, niczym poszukiwacz w dżungli, przebijała się przez ten tłum siekąc na prawo i lewo torebką jak maczetą i torując sobie drogę do drzwi.

Stała w drzwiach. Bójka osiągnęła punkt krytyczny. Johnny i Grek krążyli wokół siebie wśród stosu rozbitego szkła i połamanych krzesel. Obaj byli poszkodowani. Z ust Greka sączyła się krew, cienki strumyczek

płynął po brodzie i kapał na koszulę. Johnny'emu czerwona opuchlizna zasłaniała oko. Tłum milczał, czekał.

– Johnny Delange! – głos Hettie załomotał jak karabin maszynowy z zasadzki. Johnny stanął pełen winy, opuścił ręce, zrobił ku niej półobrót i wtedy pięść Greka wyrznęła go w skroń. Johnny zakręcił się, odbił od ściany i osunął na podłogę.

Z rykiem triumfu Constantine podbiegł, aby wbić buty w ciało Johnny'ego, ale nagle runął do przodu i upadł nieprzytomny obok Johnny'ego. To Hettie uderzyła go butelką z wodą, którą chwyciła z jakiegoś stolika.

– Proszę mi pomóc przenieść męża do samochodu – zwróciła się do otaczających ją mężczyzn, zmieniając się nagle w małą proszącą o pomoc dziewczynkę.

Dyszząc z wściekłości usiadła w monaco obok Davy'ego.

Johnny leżał na tylnym siedzeniu i delikatnie pochrapywał.

– Nie wściekaj się, Hettie – Davy prowadził samochód spokojnie.

– Mówiłam mu nie raz, ale sto razy – głos Hettie zatrzeszczał jak zepsute radio. – Mówiłam, że się na to nie zgadzam.

– To nie była jego wina. To Grek zaczął – wyjaśniał łagodnie Davy, kładąc rękę na jej udzie.

– Zawsze go bronisz, bo jesteś jego bratem.

– Nieprawda – uspokajał Davy gładząc jej nogę.

– Wiesz co do ciebie czuję, Hettie.

– Nie wierzę ci. – Jego ręka podpełzła wyżej. – Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Zawsze ze sobą trzymacie.

Gniew jej wzbierał i zamieniał się w urazę do Johnny'ego Delange'a, w coś, co prowokowało ją do zimnej zemsty. Wiedziała, że ręka Davy'ego nie próbowała już jej pocieszać i powstrzymać gniew. Zanim wyszła za męża

za Johnny'ego Delange'a, Hettie miała dużo okazji dowiedzieć się wszystkiego o mężczyznach, była im uległa i podatna na ich zaczepki. Nie przywiązywała wielkiej wagi do stosunków płciowych, rozdając swoje wdzięki tak swobodnie i lekko jakby częstowała papierosem.

„Dlaczego nie?”, pomyślała. „To będzie nauczka dla Mr Johnny'ego Delange'a! Nie przez cały czas, oczywiście, tylko żebym się na nim zemściła”.

– Nie, Hettie. To prawda... Mówię ci, że to prawda. – Głos Davy'ego był schrypnięty, poczuł, że jej kolana rozchylają się pod jego ręką. Dotknął jedwabście delikatnej skóry powyżej brzegu pończoch.

Monaco zwolniło, samochód prawie stanął, i do domu Kompanii na przedmieściu Kitchenerville jechali dziesięć minut dłużej niż zwykle.

Johnny na tylnym siedzeniu jęknął. Ręka Davy'ego natychmiast cofnęła się na kierownicę i Hettie wyprostowała się poprawiając spódniczkę.

– Pomóż mi wnieść go do środka – powiedziała, głos jej drżał, a policzki płonęły. Nie była już wściekła.

ROZDZIAŁ 38

Oboje byli trochę pod gazem. Zatrzymali się w hotelu Sunnyside, aby uczcić awans Roda. Siedzieli obok siebie w odosobnionej wnęce, pili szybko, podnieceni śmiali się, byli blisko siebie, ale nie dotykali się.

Terry Steyner nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz tak się zachowywała. Było to pewnie jakieś dziesięć lat temu, w czasie ostatniego semestru na uniwersytecie w Cape Town, kiedy popijała piwo w „Świni i Gwizdku” w hotelu Randall i plotła najidiotyczniejsze bzdury. Cała powaga matrony, którą według Manfreda powinna utrzymywać, prysła, czuła się tak, jakby była na pierwszej randce z kapitanem drużyny rugby.

– Chodźmy stąd – powiedział nagle Rod i wstała bez wahania. Schodząc po schodach wziął ją pod rękę i to delikatne dotknięcie jego palców wywołało u niej dreszcz.

W maserati znów doświadczyła uczucia wyizolowania od rzeczywistości.

– Jak często widzisz córkę, Rod? – zapytała siadając obok niego. Spojrzał na nią zaskoczony.

– Co niedzielę.

– A jutro?

– Też.

– Ile ona ma lat?

– Niedługo skończy dziewięć.

– Jak spędzasz z nią czas?

Rod nacisnął starter.

– O co ci chodzi?

- Dokąd ją zabierasz, co robicie razem?
- Jedziemy do zoo, albojemy torciki lodowe. Jeżeli jest zimno lub pada deszcz siedzimy w mieszkaniu i gramy w mahjonga. – Puścił sprzęgło i kiedy ruszyli, dodał: – Ona oszukuje w grze.
- W jakim mieszkaniu?
- Mam taką kryjówkę w mieście.
- Gdzie?
- Pokażę ci – odparł spokojnie Rod.

* * *

Siedziała na rozkładanej kanapie i rozglądała się z zaciekawieniem. Nie spodziewała się, że posiada umeblowany apartament. Utrzymany był w kolorach pszenicznoszłotym, czekoladowobrązowym i miedzianym. Na jednej ścianie wisiał obraz przedstawiający wspaniały jesienny krajobraz, w którym rozpoznała pracę Dino Paravano.

Patrzyła trochę ze smutkiem, gdy Rod zapalał, niczym reżyser na scenie, odpowiednie światła dla wywołania maksymalnie romantycznego efektu, a potem automatycznie podszedł do szafki z trunkami.

- Gdzie jest łazienka? – spytała Terry.
- Drugie drzwi na lewo w korytarzu.

Przedłużała pobyt w łazience jak złodziej otwierając szafkę z lekarstwami.

Wisiały tam trzy szczoteczki do zębów, a pod nimi stał Bidex w aerozolu. Szybko zatrzasnęła drzwiczki. Niepewnie poczuła coś na kształt mieszaniny zazdrości i winy z powodu tego szpiegowania.

Drzwi sypialni były otwarte, wracając nie mogła więc nie widzieć podwójnego łóżka. Stała przed jesiennym krajobrazem.

- Lubię jego prace – powiedziała.
- Czy mimo twoich upodobań nie przypomina ci to zbytnio fotografii?
- Nie, lubię takie.

Podał jej drinka i patrząc na obraz stanął obok. Lód w szklance zadźwięczał, odwrócił się do niej. Kiedy potem zabierał jej szklanekę, Terry nadal czuła nierealność sytuacji.

Rzeczywisty był tylko jego dotyk, miał silne i bardzo zręczne ręce. Dotykały jej ramion, a potem powoli zsunęły się na plecy. Poczuła przebiegający przez ciało dreszcz pożądania, a kiedy jego usta znalazły się nad jej ustami owładnęło ją uczucie zupełnej nierealności. Wszystko stało się gorące i mgliste, pozwoliła, żeby ją zawładnął całkowicie.

Nigdy nie wiedziała, jak długo potem wracała do chłodnej rzeczywistości. Leżeli na kanapie. Ona w jego ramionach. Przód jej luźnej bluzki rozchyłony był do bioder, biustonosz odpięty. On pochylał się nad nią, a ona ręką ukrytą w jego kręconych włosach kierowała jego usta ku swoim piersiom. Całował je i ssał ciepłymi wargami.

– Jestem chyba szalona! – jęknęła i zaczęła gwałtownie wyzwałać się z jego ramion. Drżała ze strachu przerażona. Nigdy przedtem nie zdarzyło się jej nic podobnego.

– To szaleństwo! – jej oczy były jak wielkie czarne jeziora na tle bladej twarzy. Drżącymi palcami zapinała bluzkę. Kiedy ostatni guzik wśliznął się w dziurkę przerażenie zmieniło się w gniew.

– Ile kobiet uwiodłeś na tej kanapie, Rodneyu Ironsidesie?

Rod wstał i wyciągnął uspokajająco rękę.

– Nie dotykaj mnie! – Cofnęła się. – Chcę wrócić do domu!

– Odwiozę cię do domu, Terry. Tylko uspokój się. Nic się nie stało.

– To nie jest twoja wina – wybuchnęła.

– Nie, nie jest – zgodził się.

– Gdybyś miał okazję, to na pewno mógłbyś... – Przerwała.

– Tak, mógłbym – potwierdził. – Ale tylko wtedy gdybyś i ty tego chciała.

Popatrzyła na niego uważnie, zaczynała już panować nad sobą.

– Nie powinnam była tutaj przychodzić. Wiem o tym. Sama się prosiłam o kłopoty, ale teraz, proszę, odwieź mnie do domu.

ROZDZIAŁ 39

Roda obudził telefon. Człapiąc nagi i półśpiący przez pokój spojrzął na zegarek na ręce. Ósma.

– Ironsides! – ziewnął w słuchawkę, ale natychmiast wytrzeźwiał rozpoznając jej głos.

– Dzień dobry, Rodney. Jak się czujesz? Masz kaca?

Nie spodziewał się, że zadzwoni.

– Jakoś się trzymam.

– Telefonuję, żeby podziękować ci za wesoły i... pouczający wieczór.

– Słuchajcie no, słuchajcie, co mówi ta dziewczyna! – zażartował i podrapał się po piersiach. – Jest zmienna jak wiatr. Ostatniej nocy spodziewałem się od niej kulki między oczy.

– Ostatniej nocy byłem bardzo przestraszona – przyznała. – To prawdziwy szok nagle odkryć, że można zachowywać się tak rozpustnie. Nie wszystko, co ci powiedziałam było prawdą.

– Przykro mi, że miałaś przeze mnie problemy – rzekł Rod.

– Nie miałam, wywarłeś na mnie głębokie wrażenie – a potem dodała zmieniając temat: – Jedziesz dzisiaj po córkę?

– Tak.

– Chciałabym ją poznać.

– Można to załatwić – powiedział niepewnie Rod.

– Czy ona lubi konie?

– Szaleje za nimi.

– Chciałbyś zabrać ją razem ze mną do naszej stadniny nad rzeką Vaal?

Rod zawahał się.

- Czy to bezpieczne? Chodzi mi o to, że zobaczą nas razem?
- To problem mojej reputacji, sama się będę o nią martwiła.
- Dobrze! – zgodził się Rod. – Z przyjemnością odwiedzimy twoją farmę.
- Kiedy więc spotkamy się w twoim mieszkaniu?
- O wpół do dziesiątej!

* * *

Patti, ciągle jeszcze w szlafroku, podała Rodowi policzek. We włosach miała jeszcze papiloty, a z podkrążonych oczu widać było, że poszła późno spać.

– Halo, wyszczuplałeś. Melly się ubiera. Chcesz kawy? Twój czek znów się spóźnił w tym miesiącu. – Trzepnęła szczenię spaniela, które zamierzało wysiusiać się na dywan.

– Przeklęty pies, sika po całym mieszkaniu. Melanio! – podniosła głos. – Pospiesz się! Twój ojciec przyszedł.

– Halo, tatku! – krzyknęła wesoło Melania z głębi mieszkania.

– Halo, dziecinko.

– Nie przychodź tu, tatku, jeszcze się nie ubrałam.

– No to pospiesz się! Przebyłem milion mil, żeby cię zobaczyć.

– Nie milion! Nie wolno oszukiwać Melanii Ironsides.

– Czy powiedziałaś, że chcesz kawy? Nie ma sprawy, zaraz zrobię. – Patti zaprowadziła go do salonu.

– Dziękuję.

– Jak leci? – zapytała, nalewając kawę.

– Zrobili mnie dyrektorem generalnym Sonder Ditch.

– Nie mógł sobie tego odmówić, było to zbyt nęcące. Musiał się pochwalić.

Patti spojrzała na niego zdumiona.

– Żartujesz! – nie uwierzyła, ale wkrótce dostrzegł, że zaczęła szybko w myślach przeliczać.

Zaśmiał się głośno.

– Nie, to prawda.

– Boże! – Osunęła się na krzesło. – To prawie podwoi twoje dochody.

Spojrzał na nią obojętnie i nie pierwszy raz poczuł ulgę, że nie jest już do niej przykuty.

– Zwykle w takich wypadkach wypada złożyć gratulacje – odpowiedział jej.

– Nie zasługujesz na to – teraz była zła. – Jesteś kutwą, podłym skurwysynem, Rodneyu Ironsides, i nie zasługujesz na zaszczyty, jakie cię spotykają. – Oszukał ją. Mogła być żoną dyrektora generalnego, pierwszą damą złotodajnych pól. A była tylko rozwódką z czterysta pięćdziesięcioma randami na miesiąc. Przedtem było to dobre, ale teraz...

– Spodziewam się, że będziesz miał na tyle sumienia, iż zmienisz również na korzyść moje i Melanii warunki życia. My też mamy prawo w tym uczestniczyć.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Melania Ironsides podbiegła, by rzucić się Rodowi na szyję. Miała długie blond włosy i zielone oczy.

– Dostałam dziewięć na dziesięć z ortografii!

– Jesteś nie tylko bystra, jesteś genialna. A także piękna.

– Zaniesiesz mnie na dół, do samochodu, tatku?

– Co się stało? Masz nogi w gipsie?

– Proszę, proszę, bardzo cię proszę trzy razy. Patti przerwała te czułe przekomarzania.

- Wzięłaś sweterek, młoda damo? – I Melania odfrunęła.
- Odwiozę ją przed siódmą – oznajmił Rod.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Patti była skwaszona. – Dostaniemy podwyżkę?
- O tak, oczywiście – rzekł Rod. – Te same pełne czterysta pięćdziesiąt, jakie dotychczas dostawałaś.

* * *

Byli w apartamencie Roda od dziesięciu minut, gdy dzwonek u drzwi oznajmił, że przysłała Terry. Była w dżinsach, bluzce w kratkę i miała zaplecione włosy. Pozdrowiła Roda, jakby zawstydzona. Kiedy Rod przedstawił Melanię, wydawało się, że nie wygląda dużo starszej od jego córki.

Obie dziewczynki oceniały się wzajemnie z powagą. Melania stała się nagle poważna, spokojna i przesadnie układna. Rod poczuł ulgę widząc, że Terry jest na tyle rozsądna, aby nic zachwycać się dzieckiem nadmiernie.

W połowie drogi do wioski Parys nad rzeką Vaal Melania zakończyła swoje mini badanie Terry.

– Mogę przesiąść się na przód i usiąść ci na kolanach? – zapytała wreszcie.

– Tak, oczywiście – Terry z trudem ukryła ulgę i zadowolenie. Melania przelazła przez fotel i usiadła na kolanach Terry.

– Ładna jesteś – wydała opinię Melania.

– Dziękuję. Ty też.

– Jesteś przyjaciółką tatusia? – natarła Melania. Terry spojrzała na Roda, następnie wybuchnęła śmiechem.

– Prawie – wykrztusiła, a potem wszyscy troje zaczęli się śmiać.

Tego dnia śmiali się często. Był to dzień słoneczny i pełen radości.

Terry i Rod dotykając się niemal palcami chodzili razem po zielonych padokach, wzdłuż brzegu rzeki Vaal wysadzanego wierzbami. Melania biegła przed nimi radośnie pokrzykując na brykające źrebaki.

Poszli do stajni, gdzie Melania karmiła cukrem zdobywcę pucharu Metropolitan Handicap, a potem pocałowała jego aksamitny pysk.

Za białym eleganckim domkiem pływali w basenie, ich śmiech mieszał się z pluskiem wody i kiedy wieczorem wracali do Johannesburga, Melania drzemiąc leżała zwinięta na kolanach Terry, z głową wtuloną w jej piersi jak w poduszkę.

Terry czekała w maserati, kiedy Rod zanosił dziecko do matki. Gdy wrócił i wśliznął się za kierownicę, Terry mruknęła:

– Zaparkowałam samochód przed twoim mieszkaniem. Będziesz musiał mnie tam zawieźć.

Milczeli do chwili, gdy znaleźli się w salonie. Potem Rod powiedział:

– Dziękuję ci za wspaniały dzień.

Przytulił ją do piersi i pocałował.

* * *

Leżąc w ciemności przytulona do jego uśpionego ciała, silnie do niego przywarła, jakby się bała, że ktoś go jej odbierze. Nigdy przedtem nie czuła tak silnego wzruszenia, była to kombinacja zachwyty, zdziwienia i wdzięczności. Znalazła się na kolejnym poziomie ludzkiego doświadczenia, o którym dotychczas nie miała najmniejszego pojęcia.

Prześcieradła ciągle jeszcze były wilgotne. Czuła się wewnętrznie okaleczona, obolała, czuła powolny i radosny puls tego bólu.

Lekko dotknęła jego ciała, nie chcąc go obudzić przesunęła palcami po szorstkich kręconych włosach porastających klatkę piersiową, ciągle dziwiąc się, jaka nieskończoność dzieli to, co teraz, od tego, co znała przedtem.

Zadrżała z nieopanowanej rozkoszy, przypominając sobie jego głos opisujący jej ciało, wzniecając w niej po raz pierwszy w życiu dumę z tego, że je posiada. Pamiętała słowa, których użył opisując dokładnie to, co robili razem, pamiętała dotyk jego rąk, delikatny, pewny, zachłanny i kochający.

Był bezwstydnym, wyraźnie cieszył się z jej posiadania, i cała pustka, jaka zaległa jej umysł przez wszystkie lata małżeństwa, znikła zupełnie. Aby osiągnąć pełne uspokojenie umysłu i ciała zdolna była teraz przejść razem z Rodem Ironsidesem przez najgorszą zawieruchę.

Zorientowała się, że Rod zaczyna się budzić i dotknęła palcami jego twarzy, ust i oczu.

– Dziękuję – wyszeptała i wydawało się, że zrozumiał, gdyż ujął w dłonie jej głowę i delikatnie przyciągnął w zagłębienie ramienia.

– Śpij teraz – powiedział łagodnie. Zamknęła oczy i leżała obok niego spokojnie, ale nie spała. Nie chciała stracić nawet jednej chwili z tego nowego doświadczenia.

ROZDZIAŁ 40

Kiedy w poniedziałek rano o siódmej trzydzieści Rod wszedł do biura, na jego biurku leżał list z nominacją.

Usiadł i zapalił papierosa. Następnie zaczął czytać, rozkoszując się każdym słowem.

„Zgodnie z poleceniem Rady Dyrektorów”, zaczynał się dokument, a kończył: „Pozostaje nam tylko złożyć gratulacje w imieniu Rady Dyrektorów i ufać w pańskie zdolności”.

Dimitri wyszedł ze swojego biura.

– Hej. Rod! Chryste, jaki początek tygodnia! Mamy spięcie w kablu wysokiego napięcia na 90. poziomie i...

– Nie przychodź do mnie skomleć – przerwał krótko Rod. – Nie jestem już dyrektorem podziemnej części kopalni.

Dimitri patrzył na niego zdziwiony i zaskoczony.

– Co, u diabła, wylali cię?

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył Rod i posunął list przez biurko. – Zobacz, co zafundowały mi te skurczybyki.

Dimitri przeczytał i krzyknął:

– Mój Boże! Rod! Mój Boże! – Wybiegł na korytarz, aby zanieść nowinę innym kierownikom. Potem wszyscy byli w biurze Roda i potrzęsali mu ręce. Dostrzegł, że ich reakcje są szczerze, chociaż chwilami wyczuwał jakąś fałszywą nutę. Tam trochę zazdrości, a znów gdzie indziej niezadowolenie tych, którzy niedawno oberwali od Ironsidesa po uszach. Byli też wśród nich ludzie niekompetentni, których posada stała się teraz

niepewna. Zadzwoił telefon. Rod podniósł słuchawkę, jego zachowanie uległo zmianie i kiwnięciem ręki polecił, aby wszyscy wyszli.

– Tu Hirschfeld.

– Dzień dobry, Mr Hirschfeld.

– No, masz teraz szansę Ironsides.

– Jestem bardzo wdzięczny.

– Chcę cię zobaczyć. Dam ci dzisiaj luz, żebyś mógł się oswoić. Jutro rano, o dziewiątej, w moim biurze w Reef Building.

– Będę punktualnie.

– Dobrze.

Rod odłożył słuchawkę i dzień rozmył się w mnóstwie różnych czynności i reorganizacji, stale przerywanych strumieniem gratulujących. Będąc dyrektorem generalnym ciągle jeszcze pełnił obowiązki dyrektora kopalni. Minie trochę czasu, zanim z innej kopalni przeniosą nowego dyrektora. Próbował zorganizować przeprowadzkę do dużego biura w głównym Bloku Administracyjnym na wzgórzu, kiedy odwiedził go nowy gość, sekretarka Franka Lemmera, Miss Lily Jordan, w surowym szarym flanelowym kostiumie, przypominająca strażniczkę z Ravensbrück.

– Mr Ironsides, nie zawsze zgadzaliśmy się w przeszłości. – Wreszcie zrozumiała to, co wszyscy wiedzieli już od dawna. – I to prawie niemożliwe, abyśmy zgadzali się w przyszłości. Dlatego przyszłam złożyć rezygnację. Wszystko już przygotowałam.

Zadzwoił telefon. Odezwał się beztroski głos Dana Standera.

– Rod, zakochałem się.

– O, Chryste, nie! – jęknął Rod. – Nie dziś rano.

– I to dzięki temu, że przedstawiłeś mnie jej. Ona jest najwspanialszą...

– Dobra, dobra! – przeciął krótko Rod. – Dan, jestem teraz raczej zajęty. Może kiedy indziej, dobrze?

– Ach tak, zapomniałem. Mówili mi, że jesteś nowym dyrektorem generalnym. Gratuluję. Możesz mi postawić drinka o szóstej w klubie.

– Dobrze. Wtedy będę go naprawdę potrzebował. – Rod rzucił słuchawkę i spojrzał na Miss Lily Jordan patrzącą nań wzrokiem kata podczas egzekucji.

– Miss Jordan, w przeszłości nasze interesy bywały konfliktowe. W przyszłości nie będą. Pani jest najlepszą sekretarką w promieniu stu mil od Sonder Ditch. Potrzebuję pani i Kompania również.

Były to magiczne słowa. Miss Jordan pracowała dla Kompanii dwadzieścia pięć lat. Wyraźnie zawahała się.

– Proszę, Miss Jordan, dać mi szansę. – Rod bezczelnie wywołał na twarz jeden z najbardziej zachęcających uśmiechów. Kobiecość Miss Jordan nie była jeszcze w całkowitym zaniku, więc nie mogła oprzeć się takiemu uśmiechowi.

– No więc dobrze, Mr Ironsides. Zostanę na próbę do końca miesiąca. Potem zobaczymy. – Wstała. – Teraz przeniosę pańskie rzeczy do nowego biura.

– Dziękuję pani, Miss Jordan – z ulgą pozwolił jej zająć się tym, będzie mógł uporać się ze sprawami czekającymi na biurku. Jeden człowiek, dwie posady. Teraz był odpowiedzialny zarówno za operacje naziemne, jak i podziemne. Telefon dzwonił, ludzie gromadzili się w korytarzu, różne informacje płynęły z biura Dimitriego. Nie było czasu na lunch i kiedy zadzwoniła, był wykończony.

– Halo – powiedziała. – Zobaczymy się wieczorem? – Jej głos działał odświeżająco, jak chłodny okład na czole boksera w przerwie między rundami.

– Terry – po prostu wymówił tylko jej imię.

– Tak, czy nie. Jeżeli nie, to zeskoczę ze szczytu Reef Building.

– Tak – rzekł. – Pops polecił mi przyjść jutro o dziewiątej rano, będę więc musiał nocować w moim mieszkaniu. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko tam dotrę.

– Cudownie! – odpowiedziała.

O piątej trzydzieści Dimitri wetknął głowę w drzwi.

– Idę do szybu numer 1 zająć się odstrzałem, Rod.

– Mój Boże, która to godzina? – Rod zerknął na zegarek. – Już tak późno?

– Tutaj robi się dość wcześnie późno – zgodził się Dimitri. – Wychodzę.

– Zaczekaj! – zatrzymał go Rod. – Ja się tym zajmę.

– Nie musisz – sprzeciwił się Dimitri. Codzienna, standardowa procedura Kompanii wymagała, żeby odstrzał odbywał się pod nadzorem dyrektora kopalni lub jego zastępcy.

– Nie, ja się tym zajmę – powtórzył Rod. Dimitri otworzył usta, aby nadal protestować, ale widząc wyraz twarzy Roda szybko zmienił zamiar.

– No więc dobrze. Do jutra. – I wyszedł.

Rod uśmiechnął się dostrzegając swój sentymentalizm. Sonder Ditch była teraz jego i, na Boga, to on odpali w niej swój pierwszy własny ładunek.

Czekali na niego przy stalowych drzwiach kontrolnego pokoju odstrzałów, mieszczącego się w wieży wyciągowej. Było to niewielkie pomieszczenie o betonowych ścianach, przypominające bunkier. Istniały tylko dwa klucze do drzwi. Dimitri miał jeden, Rod drugi.

Sztygar i główny elektryk dołączyli swoje do setek gratulacji, jakie odebrał już tego dnia. Rod otworzył drzwi i weszli do ciasnego pomieszczenia.

– Sprawdź – polecił Rod i sztygar zaczął telefonować do dyżurnych w szybach numer 1 i numer 2 aby potwierdzili, że wszyscy pracujący opuścili

Sonder Ditch, że wszyscy ludzie, którzy zjechali rano, znajdują się już na górze.

Tymczasem główny elektryk stanął za pulpitem kontrolującym instalację elektryczną. Spojrzał na Roda.

– Gotowy do zamknięcia obwodów, Mr Ironsides.

– Zaczynaj – Rod skinął głową i mężczyzna nacisnął włącznik. Na tablicy kontrolnej ukazało się zielone światło.

– Obwód na północnej ścianie w numerze 1 zamknięty i zielone.

– Włącz – polecił Rod i elektryk nacisnął następny włącznik.

– Obwód na wschodniej ścianie w numerze 1 zamknięty i zielone.

– Włącz.

Znów ukazało się zielone światło pokazujące, że obwód został zamknięty.

Czerwone światło pokazałoby jakiś błąd i tablica sygnalizacyjna schematów nie informowałaby o zamknięciu obwodu.

Obwód za obwodem został przygotowany i elektryk odstepił od tablicy kontrolnej.

– Wszystkie zielone i zamknięte. Rod spojrział na sztygara.

– Wszystkie poziomy czyste, Mr Ironsides. Gotowe do odstrzału.

– Cheesa! – była to tradycyjna komenda, która przetrwała od czasów, gdy każdy zapalnik był odpalany ręcznie przez strzałowego.

„Cheesa”, to słowo Bantu, oznaczające „zapalać”. Sztygar podszedł do tablicy kontrolnej i otworzył klatkę chroniącą duży czerwony przycisk.

– Cheesa! – powtórzył sztygar i uderzył w przycisk dłonią zwiniętą w pięść.

Natychmiast na tablicy kontrolnej znikł rząd zielonych światełek i ukazał się rząd czerwonych. Eksplozje przerwały obwody.

Grunt pod ich nogami zaczął się trząść, nastąpiły odstrzały w wyrobiskach. Na przodkach eksplodowały główne ładunki, potem stopniowo postępowały następne wybuchy. Każdy odstrzał odrywał z czoła przodka dziesięć ton skały.

Przy końcu rozrastających się eksplozji ich rozmieszczenie układało się w coraz bardziej skomplikowany wzór. Pierwszy rząd wrębających szedł w dół od środka owalnej części ściany przodka. Potem ładunki ramieniowe w kątach wierzchołkowych, od których odchodziły ładunki kolanowe w kątach u podstawy. Moment przerwy, pełen pyłu i dymu azotowego wirującego w chodnikach, a potem ryk ułatwaczy z obu stron utworzonych otworów. Znowu przerwa, a potem wybuchy podnoszące, wzdłuż podstawy, które podnosiły skruszoną skałę i odrzucały ją od czoła przodka.

Rod mógł to sobie dobrze wyobrazić. Chociaż ludzkie oko nigdy nie widziało takiego wybuchu, wiedział dokładnie, co się działo na dole.

Zamarł ostatni wstrząs.

– To wszystko. Koniec wybuchów – rzekł sztygar.

– Dziękuję – Rod nagle poczuł się zmęczony. Chciał napić się tego drinka, mimo że krótka rozmowa dzisiejszego ranka ostrzegła go, że Dan prawdopodobnie będzie nie do zniesienia. Nie wyobrażał sobie rozmowy obracającej się wokół nowej miłości Dana.

Zaraz jednak uśmiechnął się, gdy pomyślał, co go potem czeka wieczorem w Johannesburgu, i nagle odeszło go zmęczenie.

ROZDZIAŁ 41

Siedzieli patrząc na siebie.

– Martwię się tylko o trzy rzeczy – powiedziała Terry do Roda.

– O co takiego? – spytał Rod wcierając flanelą mydło w twarz.

– Po pierwsze, twoje nogi są za długie do tej wanny.

Rod przemieścił nogi i Terry piszcząc omal nie wyleciała z wody.

– Rodney Ironsides, może będziesz tak dobry patrzeć, gdzie wtykasz palce od nóg!

– Wybacz mi. – Pochylił się i pocałował ją. – Powiedz, co cię jeszcze martwi.

– No, po drugie, martwię się tym, że się wcale nie martwię.

– Mówiłaś, że z jakiej to części Irlandii pochodzisz? – zapytał Rod. – Z County Cork?

– Chcę przez to powiedzieć, że to okropne, iż nie mam nawet najmniejszych wyrzutów sumienia. Kiedyś byłam przekonana, że gdyby mi się przydarzyło coś takiego, nie mogłabym nikomu spojrzeć w oczy... tak bym się wstydziła.

– Wzięła od niego flanelę i zaczęła namydlać mu ramiona i piersi. – A teraz nie tylko się nie wstydzę, ale chciałabym stanąć na środku Eloff Street w czasie największego ruchu i wykrzyknąć: „Rodney Ironsides jest moim kochankiem!”.

– Wobec tego, aby to uczcić, wypijmy. – Rodney zmył mydło z rąk i podniósł z podłogi dwa kieliszki z winem. Jeden dał Terry i tręcili się, a musujący Cape Burgundy zabłyszczał rubinową czerwienią.

– Rodney Ironsides jest moim kochankiem! – wzniosła toast.

- Rodney Ironsides jest twoim kochankiem – przyznał i wypili.
 - Teraz ja wzniosę toast – oświadczył.
 - Jaki? – trzymała kieliszek w pogotowiu. Rod pochylił się i wlał czerwone wino między jej piersi. Spłynęło po jej białej skórze jak krew i Rod uroczyście zaintonował:
 - Błogosławiony ten statek i wszyscy, którzy na nim pływają!
 - Terry wykrztusiła z zachwytem:
 - A teraz w ręce kapitana. Niech dzierży mocno ster w swoich rękach.
 - Niech jego dno nigdy nie wyrżnie o skałę.
 - Niech będzie regularnie torpedowany.
 - Terry Steyner, ty jesteś okropna.
 - Tak, jestem, prawda? – I opróżnili kieliszki.
 - Teraz powiedz mi, jakie jest twoje trzecie zmartwienie?
 - Manfred wraca w sobotę do domu.
- Przestali się śmiać. Rod sięgnął po butelkę burgunda i napełnił kieliszki.
- Mamy jeszcze pięć dni – rzekł.

ROZDZIAŁ 42

Dla Manfreda Steynera był to tydzień osobistego triumfu. Treść jego przemówienia, które wygłosił podczas konferencji, była tematem wszystkich rozmów i cała dyskusja obracała się wokół niej. Poproszono go, aby powiedział coś na zakończenie bankietu, który miał zaszczyścić swoją obecnością generał de Gaulle. Potem generał poprosił Manfreda, żeby w jednym z bocznych pokoiów napił się z nim kawy i brandy. Generał był bardzo łaskawy, zadawał pytania i uważnie słuchał odpowiedzi. Dwukrotnie wezwał swego ministra finansów, aby zwrócił uwagę na odpowiedzi Manfreda.

Ich pożegnanie było bardzo serdeczne; rząd w uznaniu dla zasług Manfreda przyznał mu odznaczenie. Manfred jak większość Niemców miał słabość do mundurów i orderów. Wyobrażał sobie, jak będzie wyglądać na tle jego śnieżnobiałej koszuli gwiazda ze wstęgą.

Miał wspaniałą prasę we Francji i w kraju. Nawet „Time” w najbardziej krytycznej części zamieścił artykuł, który zaopatrzył w zdjęcie de Gaulle’a pochylającego się nad niskim Manfredem, jakby z troską kładąc rękę na jego ramieniu. A pod zdjęciem podpis: Myśliwy i jastrząb. Aby złapać dolara? Stojąc teraz w małej szatni, w tylnej części boeinga Linii Południowoafrykańskich, Manfred gwizdał cicho zdejmując koszulę i kamizelkę; zgniótł je w kulę i wrzucił do kubła.

Nagi do pasa wytarł się wilgotnym ręcznikiem i natarł ciało Eau du Cologne 4711. Z neseseru wyjął elektryczną maszynkę do golenia. Przestał gwizdać krzywiąc twarz w czasie golenia.

Przez jego umysł przebiegała strona za stroną raportu, który dostarczył mu dziś rano do hotelu Andrew. Manfred doskonale pamiętał wszystko, co tam napisano. Chociaż raport leżał obok w neseserze, fotograficznie precyzyjnym umysłem mógł go przejrzyć słowo po słowie, cyfra po cyfrze.

Był to kawał wspaniałej roboty. Nawet nie wyobrażał sobie, w jaki sposób autorzy otrzymali wyniki odwiertów z pięciu kompanii działających na polach Kitchenerville. Kompanie kopalń złota miały dokładnie zorganizowane zabezpieczenia, jak każde państwo służbę wywiadowczą. Jednak cyfry zgadzały się. Porównał je dokładnie z danymi z CRC. Były prawdziwe. Wobec tego cyfry z pozostałych czterech też musiały być prawdziwe.

Nazwiska autorów raportu były legendarne. To najsłynniejsze autorytety na tym polu. Cieszyli się najlepszą opinią na Harley Street. Konkluzje, do jakich doszli, były całkowicie przekonujące. W efekcie brzmiało to tak:

Jeżeli główny chodnik komunikacyjny z 66. poziomu szybu numer 1 w Sonder Ditch przebija się przez zaporę Big Dipper, wówczas znajdzie się poniżej wapieni zawierających wodę, a tuż poza zaporą przecięłby żyłę złota o niewyobrażalnej wprost wartości.

Manfred nie musiał nawet czytać tego, co otrzymał od korpulentnego człowieka, którego był dłużnikiem, aby wiedzieć, jakie to niesie możliwości. Człowiek, który wydał mu polecenie przebicia się przez Big Dipper, otrzyma za to nagrodę. Będzie oczywiście wybrany na Przewodniczącego Grupy, kiedy zwolni się to miejsce.

Istniała jeszcze inna możliwość. Osoba, która nabyłaby duży pakiet akcji Sonder Ditch bezpośrednio przed przebicciem się przez zaporę, stałaby się bardzo bogata sprzedając potem te akcje. Byłby tak bogaty, że więcej nie musiałby zależeć od dochodów żony, mógłby prowadzić taki tryb życia, jaki by mu się podobał, oddając się swoim specyficznym zachciankom.

Manfred wydmuchał włosy z maszynki i wrzucił ją do neseseru. Potem wyjął świeżą koszulę i kamizelkę, i zaczął śpiewać:

*Heute ist der schönste
Tag In meinem Leben.*

Kiedy tylko przejdzie przez formalności celne, natychmiast z lotniska Jan Smuts zatelefonuje do Ironsidesa, który powinien przyjść do niego w niedzielę rano i otrzymać polecenia.

Zawiązując jedwabny krawat Manfred wiedział, że stoi na progu zupełnie nowego świata; wydarzenia następnych kilku miesięcy wyniosą go wysoko ponad zwykłych ludzi.

To była szansa, na którą czekał i pracował przez te wszystkie lata.

ROZDZIAŁ 43

Od ostatniej wizyty okoliczności uległy kompletnej zmianie, zastanawiał się Rod, wjeżdżając maserati na podjazd domu w stylu holenderskim.

Zaparkował i zgasił silnik, siedział przez chwilę nie spiesząc się na spotkanie z człowiekiem, który sponsorował jego karierę i któremu Rod w zamian za to sprezentował parę pięknych rogów.

– Odwagi, Ironsides! – mruknął, wysiadł z samochodu i poszedł ścieżką przez trawnik.

Terry siedziała w fotelu ogrodowym na werandzie. Miała na sobie kolorową sukienkę, jej włosy były rozpuszczone, wokół niej leżały rozsypane niedzielne gazety.

– Dzień dobry, Mr Ironsides! – przywitała go, kiedy wchodził na stopnie. – Mój mąż jest w gabinecie. Zna pan drogę, prawda?

– Dziękuję, Mrs Steyner. – Głos Roda był przyjacielski, lecz obojętny. Przechodząc obok jej fotela mruknął cicho:

– Zjadłbym cię bez soli.

– Byłabym kompletnie bez smaku, ty potworze – mruknęła Terry i czubkiem języka zwilżyła wargi.

W piętnaście minut potem Rod siedział przed biurkiem Manfreda Steynera z kamienną twarzą i wewnątrz zmrożony. Gdy wreszcie zmusił się do mówienia, czuł się tak, jakby jego wargi rozwierały się z ogromnym wysiłkiem.

– Pan żąda ode mnie, żebym przebił się przez Big Dipper – wychrypiął.

– Więcej, Mr Ironsides. Chcę, aby załatwił pan to przebicie w ciągu trzech miesięcy, i rozwój wypadków musi pozostać w całkowitej tajemnicy

– powiedział Manfred sztywno. Mimo że była niedziela, Manfred ubrany był bardzo oficjalnie, miał na sobie białą koszulę i ciemny garnitur. – Przebijanie rozpocznie pan z szybu numer 1, na 66. poziomie, i przetnie pan żyłę na 6600 stopach do otworu wiertniczego S. D. numer 3, 250 stóp poza wyznaczoną ostatnią intruzją serpentynu Big Dipper.

– Nie – Rod potrząsnął głową. – Nie może pan się przez to przebić. Nikt nie może tego próbować. Tylko sam Pan Bóg wie, co jest po drugiej stronie, a w każdym razie my wiemy, że tam jest źle. To śmierdzący teren.

– Skąd pan to wie? – zapytał łagodnie Manfred.

– Wszyscy o tym wiedzą w Kitchenerville.

– Skąd?

– Z różnych drobiazgów. – Okazało się, że Rodowi trudno to było określić. – Ma się takie odczucie, są pewne oznaki i kiedy człowiek bawi się tak długo w górnictwo, to po prostu wyrabia się w nim zmysł ostrzegający, kiedy...

– Nonsens – przerwał szorstko Manfred. – Nie żyjemy już w epoce czarów.

– Nie chodzi o czary, to kwestia doświadczenia – rzucił ze złością Rod. – Zna pan wyniki wierceń po tamtej stronie uskoku?

– Oczywiście – przytaknął Manfred. – S. D. numer 3 stwierdził zasoby o wartości tysięcy penny-weight.

– Ale inne odwierty nic nie odkryły i albo ukręciły się wiertła, albo lała się z nich woda jak z sikającego konia!

Manfred zaczerwienił się z wściekłości.

– Może będzie pan tak uprzejmy nie używać w tym domu terminologii barowej.

Rod był wytrącony z równowagi i zanim zdążył odpowiedzieć, Manfred kontynuował.

– Uważa pan, że może kwestionować poważną opinię... – i tu Manfred wymienił trzy nazwiska – i przeciwstawić jej swoją niepewną intuicję?

– Tak, oni są najlepsi w interesach – przyznał Rod niechętnie.

– Przeczytaj to – rzucił opryskliwie Manfred. Pchnął przez biurko oprawiony w manilę zeszyt, potem wstał i podszedł do umywalki umyć ręce.

Rod wziął zeszyt, otworzył i zagłębił się w jego treść. Dziesięć minut później, nie podnosząc oczu znad raportu, zaczął szukać w kieszeni papierosów.

– Proszę nie palić! – powstrzymał go ostro Manfred. Trzy kwadranse później Rod zamknął zeszyt. W tym czasie Manfred Steyner siedział za biurkiem nieruchomo jak płaz nad ofiarą i błysk oczu był jedynym objawem życia.

– W jaki sposób, u diabła, uzyskał pan te cyfry i sprawozdania? – zapytał ze zdumieniem Rod.

– To nie pańska sprawa. – Manfred odebrał mu zeszyt, był to jego pierwszy ruch od czterdziestu pięciu minut.

– Więc to tak wygląda! – mruknął Rod. – Woda tkwi w wapieniu blisko powierzchni. A my mamy wejść pod to! – Gwałtownie wstał, zaczął chodzić przed biurkiem.

– Jest pan teraz przekonany? – zapytał Manfred, ale Rod nie odpowiedział.

– Awansowałem pana, odrzucając starszego i bardziej doświadczonego człowieka – powiedział łagodnie Manfred. – Jeżeli pana zdegraduję i opowiem, że nie nadawał się pan na to stanowisko, wówczas, Rodneyu Ironsides, jest pan skończony. Nikt już panu nie da szansy, nigdy!

To była prawda. Rod o tym wiedział.

– Jednak, jeżeli zastosuje się pan do moich poleceń i przebijemy się do tej bogatej żyły, wówczas część chwały spadnie również na pana.

To też było prawdą. Rod zatrzymał się, stał z pochylonymi ramionami w rozpaczliwej konsternacji. Czy mógł ufać raportowi przeczącemu jego własnej intuicji? Kiedy pomyślał o gruncie poza zaporą, dostawał gęsiej skórki. Czuł już niemal smród w nozdrzach. Mógł jednak się mylić, raport brzmiał przekonująco. Pod raportem widniały znane nazwiska, wiedział też, że Manfred nie zawaha się spełnić swej groźby.

– Może mi pan dać pisemne polecenie? – zażądał ostro Rod.

– Jakie to miałyby znaczenie? – zapytał miękko Manfred. – Jako dyrektor generalny podejmuje pan decyzję pracować czy nie w pewnym terenie i to są pańskie sprawy techniczne. W bardzo nagłym wypadku, gdyby pan wykrył coś kłopotliwego poza uskokiem, wystawione przeze mnie pisemne polecenie i tak pana nie obroni. Byłoby to tak, jakby pan zamordował swoją żonę na moje pisemne polecenie.

I to znowu było prawdą. Rod wiedział, że znalazł się w pułapce. Mógł odmówić i zniszczyć swoją karierę. Mógł też jednak wyrazić zgodę i ponieść konsekwencje, jakiekolwiek by one były.

– Nie – rzekł Manfred – nie dam panu polecenia na piśmie.

– Ty skurczybyku – powiedział łagodnie Rod.

Manfred odparł równie łagodnie:

– Ostrzegłem, że nie będzie pan mógł odmówić wykonania moich poleceń.

I ostatnia fala skrupułów, jakie Rod odczuwał z powodu związku z Terry Steyner, całkowicie odpłynęła.

– Więc daje mi pan trzy miesiące, żeby wbić się w Big Dipper. W porządku, Steyner. Będziesz to miał!

Rod odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

* * *

Terry czekała na niego na końcu trawnika wśród protei. Zobaczyła wyraz jego twarzy i porzuciła wszelkie pozory. Podeszła ku niemu.

– Rod, co się stało? – Położyła mu rękę na ramieniu, patrząc w oczy.

– Ostrożnie! – ostrzegł, opuściła rękę i cofnęła się.

– Co się stało?

– Ten cholerny gestapowski skurwysyn... – warknął Rod i dodał: – Przykro mi. Terry, że on jest twoim mężem.

– Co on zrobił?

– Nie mogę ci tutaj powiedzieć. Kiedy możemy się spotkać?

– Znajdę jakąś wymówkę, żeby jeszcze dzisiaj wydostać się stąd. Czekać na mnie w swoim mieszkaniu.

Później siedziała na kanapie pod obrazem Paravano i słuchała jak jej opowiadał o wszystkim. Mówił o tym, co było w raporcie, o pogróżkach Manfreda i o poleceniu przebicia Big Dipper.

Słuchała, ale nie wyraziła ani aprobaty, ani dezaprobaty dla jego decyzji.

* * *

Manfred odwrócił się od okna i wrócił do biurka. Nawet z tej odległości nie miał wątpliwości co do gestów swojej żony. Ręka wyciągnięta, twarz uniesiona pytająco, rozchylone usta, a potem pełen winy przestrasz i wycofanie się.

Usiadł za biurkiem i ostrożnie położył przed sobą ręce. Po raz pierwszy zaczął myśleć o Rodney Ironsidesie jak o mężczyźnie, a nie jak o narzędziu.

Zastanawiał się nad tym, jaki był wysoki, silny, jakie miał szerokie ramiona, prawie jak szubienica. Jakakolwiek zemsta na Ironsidesie nie mogłaby dokonać się przy użyciu siły fizycznej i nie mogła też nastąpić natychmiast. Musi dokonać się dopiero po przebiciu Big Dipper.

„Mogę poczekać”, pomyślał zimno, „w życiu na wszystko przyjdzie czas”.

ROZDZIAŁ 44

Johnny i Davy Delange siedzieli przed biurkiem Roda. Obaj czuli się dziwnie i niewygodnie w tym dużym biurze z olbrzymimi szerokimi oknami wychodzącymi na dolinę Kitchenerville. „Nie dziwię im się”, pomyślał Rod, „nawet ja nie zdążyłem się jeszcze do tego przyzwyczaić”. Dywan od ściany do ściany, klimatyzacja, oryginalne obrazy na ścianach wyłożonych drewnianą boazerią.

– Posłałem po was, ponieważ obaj najlepiej kruszycie skały w Sonder Ditch – zaczął Rod.

„Oni czegoś od nas chcą”, pomyślał podejrzliwie Davy o wszystkich dyrektorach związku.

„Teraz będzie kilka słów od naszego sponsora”, uśmiechnął się do siebie Johnny, „zanim rozpocznie się program, jak mówią w telewizji”.

Rod patrzył na nich i doskonale wiedział, o czym myślą. On też kiedyś pracował na dniówkę. „Nie praw im komplementów, Ironsides”, udzielił sobie rady. „To twarde sztuki i wcale się tym nie przejmą”.

– Odwołuję was z przodków, przesuwam do specjalnych robót przygotowawczych. Będziecie pracować na zmianę dzień i noc. Będziecie podlegać bezpośrednio mnie i wasza praca będzie całkowicie tajna.

Patrzyli na niego uważnie, lecz bez żadnej reakcji. Milczenie przerwał Johnny.

– Jedno miejsce i jeden wybuch dziennie? – miał na myśli wynagrodzenie. Przeliczając to na ilość skruszonej skały, pracując na jednej niewielkiej powierzchni dziennie zarobiłby nieco więcej niż jego podstawowa pensja.

– Nie – Rod potrząsnął głową. – Ultraszybkie, wielowybuchowe i wynagrodzenie górnika szybowego.

Obaj bracia Delange pochyłili się na krzesłach.

– Wielowybuchowe? – zapytał Davy. A zatem mogli strzelać tyle razy, ile tylko zdążą. Dobry zespół mógł odpalić trzy... a może nawet cztery razy w ciągu szychty.

– Ultraszybkie? – spytał Johnny. To był dla Johnny'ego zrozumiały język, określenie, jakiego używano tylko w nagłych wypadkach, jak na przykład przy odkopywaniu ludzi zasypanych tąpnięciem. Wtedy istniała niepisana zgoda dyrekcji, aby nie dbać o przepisy bezpieczeństwa na rzecz szybkości. – Chryste! – wykrzyknął Johnny. – Mogę wstrzelić cztery, pięć razy na szychtę.

– Wynagrodzenie szybiarza? – zapytali obaj jednocześnie. Było to o 20 procent więcej niż ma górnik przodowy. Ofiarowywano im fortunę.

W odpowiedzi na ich pytania Rod kiwał głową twierdząco i czekał na reakcję, która jak wiedział, musi nastąpić. Nadeszła prawie natychmiast.

Obaj bracia zaczęli teraz szukać kryjącego się w tym podstęp. Siedzieli sztywno, trawiąc tę ofertę w myślach, jak dwie rozważne gospodynie badające pomidor i próbujące znaleźć na nim jakieś ślady gnicia, bo jego cena była zbyt niska.

– Jakie długie będzie to przebicie? – zapytał Johnny. – Jeżeli będzie krótkie, kilkaset stóp, wówczas byłoby to nic nie warte. Moglibyśmy zaledwie się rozpędzić i już by się skończyło.

– Coś około sześciu tysięcy stóp – zapewnił ich Rod. Odetchnęli.

– Dokąd prowadzi? – napierał Davy.

– Będziemy przebijać się przez Big Dipper, do przecinającej ją żyły na głębokości 6000 stóp.

– Jezus! – jęknął Johnny. – Big Dipper! – Zatkano go z przejęcia, ale nie bał się. Niebezpieczeństwo podniecało go, traktował je jak wyzwanie. Gdyby urodził się wcześniej, Johnny Delange byłby doskonałym pilotem spitfire’a.

– Big Dipper – mruknął Davy, jego umysł pracował gorączkowo. Nic na tym świecie, ani poza nim, nie zachęciłoby Davy’ego Delange’a, aby przebił się przez Big Dipper. Bał się jej niemal fanatycznie. Już sama nazwa wzbudzała różnego rodzaju uczucia zagrożenia i niewysłowionego przerażenia. Woda. Gaz. Płomienie. Fale błota. Wszystkie najgorsze koszmary prześladowujące górnika.

Nie ma mowy, żeby to zrobił, a jednak to były zbyt wielkie pieniądze, aby mógł z nich zrezygnować. Na takich warunkach mógłby zebrać dziesięć do jedenastu tysięcy randów.

– Dobrze, Mr Ironsides – powiedział. – Biorę pierwszą nocną szychcę. Johnny może rozpocząć na szychcie dziennej.

Davy Delange podjął decyzję. Jego świdry wwiercą się w czarnozieloną skałę serpentynu, z którego utworzona jest zaporą. Potem w pewnym momencie skończy i kwita. Wgryzie się w zaporę, ale nie przebije jej.

Potem niech ktoś inny się tym zajmie, on już zarobi wystarczająco dużo i zmusi Johnny’ego, aby zrobił to samo.

– Hej, Davy! – Johnny był zachwycony, spodziewał się, że Davy nie zgodzi się.

Teraz na pewno będzie mógł kupić Hettie mustanga... a może nawet MGB GT, wziąć na Gwiazdkę urlop, pojechać do Durbanu i...

Rod zastanawiał się, dlaczego Davy zgodził się tak gładko. Obserwował go przez chwilę i uznał, że w jego oczach czai się coś chytrego. To podstępny mały skurwiol, stwierdził, muszę na niego uważać.

ROZDZIAŁ 45

Potrzebowali tylko jednej szychty, aby przygotować obszar odstrzałów. Punkt początkowy obrał Rod. Główny chodnik komunikacyjny skręcał od szybu na 66. poziomie. Idąc tunelem trzysta stóp trafiało się do wykutego w skale pomieszczenia, w którym obecnie mieściła się nieużywana stacja napraw lokomotywek. Zamykało je dwoje masywnych uchylnych drzwi wentylacyjnych, a za nimi szef podziemnych mierniczych wyznaczył początek tunelu, który prosto jak strzała, milę lub więcej przez litą skałę miał przebić się przez Big Dipper, w nieznanie.

Teren otaczający pomieszczenie wyjściowe był ogrodzony linami i zaopatrzone w tablice ostrzegawcze:

*NIEBEZPIECZEŃSTWO
NIEZALEŻNE WYBUCHY*

Sztygarzy otrzymali polecenia, aby trzymać swoich ludzi z daleka, a cały ruch lokomotywek został przesunięty do drugorzędnych chodników komunikacyjnych.

Na drzwiach pomieszczenia zamieszczono ostrzeżenie:

*MOŻLIWOŚĆ WYSTĄPIENIA GAZU GÓRNICZEGO
OD TEGO MIEJSCA NIE UŻYWAĆ OTWARTEGO OGNIA*

Z powodu niewielkiej zawartości węgla i innych substancji organicznych w górnych warstwach skał Sonder Ditch została

zakwalifikowana jako kopalnia gazowa i podlegała w tym zakresie przepisom rządowym. Żadnych zapalek, zapalniczek, przyrządów wywołujących iskry, ponieważ można było zawsze spodziewać się obecności metanu.

Gaz ten nie ma barwy, zapachu i smaku, można go wykryć tylko za pomocą testu lampy bezpieczeństwa i stanowi prawdziwe i przerażające niebezpieczeństwo. Dziewięcioprocentowe nagromadzenie gazu w powietrzu stanowi mieszanę wysoce wybuchową. Przestrzegano wszystkich środków ostrożności, by nie dopuścić do przypadkowego zapalenia się metanu, który może wypełznąć z pęknięcia lub ze skalnej kawerny.

Z głównego przewodu sprężonego powietrza, biegnącego od szybu, odprowadzono odgałęzienie do zbiorników powietrza w głównym chodniku komunikacyjnym, upewniając się, że w miejscu wiercenia zostanie zagwarantowane ciśnienie sześćdziesięciu funtów na cal kwadratowy. Potem wyładowano z klatki na. 66 poziomie świdy, łomy, młoty, łopaty i inne narzędzia, magazynując je przy szybie.

Na koniec dostarczono w czerwonych zamkniętych pojemnikach materiały wybuchowe, złożono je w miejscu nowego wyrobiska i wieczorem 23 października 1968 roku, trzydzieści minut po głównym wybuchu, Davy Delange i jego zespół wyszli z klatki szybu i poszli do opuszczonej stacji lokomotywki.

Davy, z małym szefem wiertników Suazi obok niego, stał przed skalną ścianą, na której mierniczy wyznaczył zarys tunelu. Zanim bez polecenia cały zespół zabrał się do swojej roboty, każdy z nich dokładnie wiedział, jaką czynność ma wykonywać.

Już wiertnicy i ich asystenci przygotowali swoje niezgrabne narzędzia.

– Ty! Ty! Ty! Ty! – Davy pokazał każdemu z nich, w którym miejscu mają wiercić i cofnął się.

– Shaya! – rozkazał. – Wiercić! – I z drażniącym uszy wyciem rozpoczęło się wiercenie.

Kiedy ustało wycie wiertła, Davy wypełnił otwory ładunkami. Lonty wisiały z otworów jak ogonki białych myszek. Każdy uważnie przycięty, aby zapewnić odpowiednią kolejność eksplozji.

– Opuścić tunel! – odezwał się gwizdek szefa wiertników. Tupot ciężkich butów cichł powoli w tunelu, aż wreszcie w chemicznie czystym powietrzu zawisła ciężka cisza.

– Cheesa! – Davy i szef wiertników z zapalnikami płonącymi jak dziecięce sztuczne ognie w prawych rękach, podeszli i przytknęli je do ogonków, aż całe pomieszczenie zajaśniało ostrym niebieskim światłem płonących lontów. Gigantyczne krzywe cienie obu mężczyzn migotały na ścianach.

– Wszystkie zapalone. Idziemy! – Obaj mężczyźni szybko pobiegli do grupy czekającej w głównym chodniku.

Detonacja wprost wessała im bębunki w uszach, wcisnęła powietrze w płuca, a cisza, która po niej nastąpiła, wydawała się ogłupiająca.

Davy sprawdził zegarek na przegubie ręki. Zgodnie z przepisami należało teraz odczekać trzydzieści minut, zanim ktokolwiek będzie mógł wrócić na ścianę. Mógł tam nastąpić jeszcze jakiś spóźniony strzał, który spowodowałby wypalenie oczu. Nawet gdyby nic takiego nie było, mogła pozostać chmura trujących oparów azotu, które niszczą cebulki włosów w nosie, co z kolei spowodowałoby przedostawanie się drobnych cząstek pyłu do płuc.

Davy odczekał te trzydzieści minut, w tym czasie wentylacja usunęła dym i kurz.

Potem sam opuścił główny chodnik. Miał z sobą lampę bezpieczeństwa, w której mały niebieski płomyk płonął za ekranem z delikatnej siateczki z mosiężnego drutu. Była ona odporna na działanie płomienia i izolowała go od metanu, gdyby znajdował się w powietrzu.

Stojąc przed surową, okrągłą wyrwą w skalnej ścianie, Davy testował obecność metanu. Obserwował niebieski płomień, śledząc, czy nie tworzy się na nim ostrzegawcza czapeczka. Nic nie wskazywało na obecność metanu w powietrzu. Z zadowoleniem zgasił lampę.

– Szef wiertników! – krzyknął i podszedł Suazi, z węzem.

– Woda naprzód!

Tylko wówczas, gdy powierzchnia skały i luźne bryły zaczęły błyszczeć obmywającą je wodą, Davy był pewien, że kurz opadł na tyle, aby cała grupa mogła powrócić na przodek.

– Łomowi! – krzyknął i podeszli chłopcy, trzymając w rękach długie, dwunastostopowe, zagięte łomy.

– Łomy w ruch! Uważajcie! – Łomowi ruszyli do ataku na skałę, która odpadała z wiszącej ściany. Dwóch z nich uderzało w nią wywołując iskry. Podważona i oddzielona skała spadała w dół, wpierw wielkimi ciężkimi bryłami, później coraz mniejszymi i mniejszymi kawałkami, aż wreszcie wisząca nad głowami skała stała się jednolita i czysta.

Teraz Davy wdrapał się na zgromadzone głazy, aby dotrzeć do powierzchni skały i zaznaczyć na niej następne otwory odstrzałowe.

Za nim jego ludzie zbierali pokruszoną skałę i wrzucali ją do wagoników, a wiertnicy znowu przytknęli świdry do ściany.

Pierwszej nocy zespół Davy’ego wykonał trzy odstrzały. Davy był zadowolony wyjeżdżając na powierzchnię w różowy, słodko pachnący świt.

„Może następnej nocy wyrobimy cztery odstrzały”, pomyślał.

W szatni z umywalniami, mydląc głowę, pachy i genitalia, wziął prysznic z parującej gorącej wody aż do zaczerwienienia skóry.

Wytarł się chropowatym ręcznikiem i szybko ubrał.

Przechodząc przez parking do swego starego rozklekotanego forda anglia, czuł się szczęśliwy i przyjemnie zmęczony; był głodny i chciał znaleźć się już w łóżku.

Do Kitchenerville jechał spokojnie, czterdzieści mil na godzinę, i w tym czasie ponad grzbietem Kraalkop ukazało się słońce. Świt był mgliście różowy, z kładącymi się na i ziemi długimi cieniami. Pomyślał, że właśnie takie świty będą na jego farmie.

Na przedmieściach miasta monaco Johnny'ego z rykiem przemknęło obok niego, jadąc w przeciwnym kierunku. Johnny kiwnął mu ręką i zatrąbił krzycząc coś, lecz zagłuszył go szum wiatru i hałas motoru.

– Jeszcze go kiedyś dopadną – Davy z dezaprobatą potrząsnął głową. – Tu nie wolno jechać szybciej niż czterdzieści pięć.

Wprowadził anglię do garażu i wszedł kuchennymi drzwiami. Służąca Bantu krzątała się przy piecu.

– Trzy jajka – powiedział do niej i poszedł do sypialni. Zdjął kurtkę i rzucił ją na łóżko. Potem wrócił do drzwi i szybko wyjrzał na korytarz. Był pusty. Panowała cisza, poza odgłosami dochodzącymi z kuchni.

Davy wysunął się na korytarz, drzwi do sypialni Johnny'ego były uchylone i Davy szybko się do nich zbliżył. Serce podskoczyło mu do gardła, zapierało mu dech z podniecenia i poczucia winy.

Dysząc ciężko rozejrzał się przed drzwiami po korytarzu. Dziś rano wyglądało to nawet lepiej niż zwykle.

Hettie pogrążona była w głębokim śnie. Johnny mawiał, że aby ją zbudzić trzeba by chyba odpalić ładunek dynagelu. Zawsze spała nago i nigdy nie wstawiała przed wpół do jedenastej. Leżała na brzuchu,

przytulając poduszkę do piersi. Jej włosy, ta niesforna splątana czerwień, rozrzucone były na zieleni prześcieradeł. Ranek był ciepły, więc skopała na bok pled.

Davy stał w korytarzu. Powieka zaczęła mu drgać nerwowo, pod koszulą pod pachami zbierały się kropelki potu i spływały wzdłuż boków.

Hettie zamruczała coś niewyraźnie przez sen, podkurczyła kolana i wolno przewróciła się na plecy. Uniosła jedną rękę i miękko położyła ją na twarzy zakrywając łokciem oczy.

Oddychała głęboko. Bliźniacze pagórki piersi były zniekształcone ciężarem i kątem ułożenia ramienia. Włosy pod pachami i poniżej brzucha błyszcząły złotem i czerwienią. Była długa, delikatna, jedwabiście biała, z płomienną koroną na głowie i plamą złotoczerwoną między udami.

Poruszyła się leniwie, zmysłowo, i znów zapadła w głębszy sen.

– Śniadanie gotowe, master – zawołała służąca z kuchni. Davy drgnął speszony i wycofał się wzdłuż korytarza.

Stwierdził z zaskoczeniem, że ciężko dyszy, zupełnie jak po długim biegu.

ROZDZIAŁ 46

Johnny Delange opierał się o ścianę głównego chodnika komunikacyjnego z hełmem przekrzywionym na bakier i papierosem przyklepionym do warg.

Na ścianie zaczęto odpalać ładunki. Johnny rozpoznawał każdą detonację i kiedy ostatni przytłumiony wybuch wstrząsnął powietrzem ponad nimi, odepchnął się ramieniem od ściany.

– To były podnoszące – oświadczył. – Chodź, Big King! Johnny Delange nie tracił trzydziestu minut. Razem z Big Kingiem poszedł wzdłuż chodnika przykładając jedynie chusteczkę do nosa i ust. Przed nimi tunel wypełniała niebiesko-biała mgła z pyłu i dymu. Big King natychmiast puścił rozpylony strumień wody, absorbującej dym i drobiny kurzu.

Podeszli do powierzchni ściany i Johnny zatrzymał się obserwując płomień lampy bezpieczeństwa. Nawet on miał respekt przed metanem.

– Łomowi! – wrzasnął, nie czekając, aż Big King skończy polewanie wodą. Wynurzyli się z mgły jak duchy. Tuż za nimi wiertnicy dźwigali swoje świdy.

Zgodnie ze skalkulowanym ryzykiem Johnny Delange wiercił czterdzieści pięć minut wcześniej aniżeli Davy.

Odszedłszy od ściany, po zakończeniu obcinania lontów ładunków wybuchowych, znalazł zespół walczący z masywną bryłą skały, która odpadła w całości od ściany. Pięciu z nich próbowało ją rozbić na mniejsze kawałki za pomocą czternastofuntowych młotów. Kiedy Johnny zbliżył się, Big King krzyczał na nich ze złością.

– Wyglądacie jak kupa dziewic próbująca zemleć proso.

Młoty uderzały o skałę wznecając snopy iskier. Pot ściekał po ciałach chłopców, natłuszczając je i przy każdym uderzeniu młota kapiąc z twarzy.

– Shaya! – ponaglał ich Big King. – Wy wszyscy do kupy nie potrafilibyście rozbić skorupki od jajka. No, dalej, ludzie! Rozwalcie to!

Jeden po drugim odstępowali wyczerpani, dyszeli ciężko wciągając powietrze otwartymi ustami, oślepieni spływającym potem.

– W porządku – przerwał Johnny.

Bryła wymagała chyba rozbicia za pomocą ładunku wybuchowego. Była zbyt wielka.

– Ja ją rozwalę – rzekł i każdy inspektor rządowy lub urzędnik bezpieczeństwa górniczego zbladłby na te słowa.

– Odwróćcie twarze – polecił drużynie Big King. Z czoła jednego ze swoich ludzi zdjął parę gogli z siatki drucianej, chroniących oczy przed odpryskami skały. Podał je Johnny’emu.

Z worka wyjął laskę dynagelu. Owinięta w żółty natłuszczony papier przypominała świecę.

– Daj mi swój nóż – Big King otworzył duży składany nóż i podał go Johnny’emu, który ostrożnie odciął z laski plasterki grubości monety, dwóch monet pensowych. Resztę laski schował do worka i oddał go Big Kingowi.

– Cofnij się – i Big King odszedł na bok.

Johnny w zamyśleniu spojrzał na skalną bryłę i położył na środku plasterki dynagelu. Poprawił gogle i chwycił jeden z czternastofuntowych młotów.

– Odwróćcie oczy – ostrzegł i powoli zamierzył się. Potem spuścił młot na dynagel.

W ciasnej przestrzeni nastąpiła ogłuszająca eksplozja. Mała kropla krwi spłynęła po policzku Johnny’ego zadraśniętym odłamkiem skały. Od

uderzenia młota o skałę bolały go przeguby.

– Ngwenyama! – rzekł Big King z podziwem. – Ten człowiek jest lwem.

Eksplozja rozbiła blok na trzy klinowate kawałki. Johnny odsunął na czoło gogle i wierzchem dłoni otarł krew z policzka.

– Weźcie to stąd do diabła. – Uśmiechnął się i zwrócił do Big Kinga: – Idziemy. – Ruchem głowy wskazał koniec tunelu. – Pomóż mi załadować otwory.

Pracowano szybko, wsuwając laski dynagelu w otwory strzałowe i upychając je głęboko.

Każdy, kto nie miał licencji strzałowego, ładując otwory podlegał karze stu randów albo dwóch miesięcy aresztu, lub obu tym karom jednocześnie. Big King nie miał licencji, ale jego pomoc skracala operację o piętnaście minut.

Zespół Johnny'ego odstrzelił tego dnia pięć razy, kiedy jednak wyjeżdżali na górę w chłodne wieczorne powietrze, Johnny nie był zadowolony.

– Jutro strzelimy sześć razy – powiedział do Big Kinga.

– Może siedem – odparł Big King.

Gdy wrócił do domu Hettie czekała na niego w pokoju. Podbiegła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Przyniosłeś mi prezent, prawda? – zapytała, wtulając usta w jego ucho. Johnny zaczął się śmiać. Bardzo rzadko nie przynosił jej prezentu.

– Przyniosłeś! – wykrzyknęła i zaczęła mu wtykać ręce w kieszenie.

– Tutaj! – naprowadził jej rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyjęła małe białe pudełeczko do biżuterii.

– Och! – Otworzyła je i wtedy lekko zmienił się wyraz jej twarzy.

– Nie podobają ci się? – spytał Johnny zaskoczony.

– Ile one kosztowały? – zapytała, oglądając lakierowane porcelanowe kolczyki, w kształcie bardzo kolorowych papug.

– No – Johnny udawał zawstydzonego – widzisz, Hettie, mamy koniec miesiąca i u mnie do wypłaty cienko, więc nie mogłem...

– Ile?

– No, widzisz... – nabrał powietrza. – Dwa randy pięćdziesiąt.

– Och – powiedziała Hettie – one są piękne. – Ale natychmiast straciła dla nich zainteresowanie. Położyła niedbale pudełeczko na zagracony gzyms kominka i poszła do kuchni.

– Hej, Hettie – zawołał za nią Johnny. – Może poszlibyśmy do Fochville? Dziś wieczorem są tam tańce. Potańczymy twista, co?

Hettie odwróciła się i na jej twarzy znów odmalowała się chęć do życia.

– O, tak! – zawołała z entuzjazmem. – Pójdziemy. Idę się przebrać. Hej! – I pobiegła korytarzem.

Davy wyszedł ze swojej sypialni. Właśnie szedł do pracy.

– Hej, Davy – zatrzymał go Johnny. – Masz jakąś forszę?

– A co, znowu jesteś goły?

– Tylko do wypłaty.

– Do diabła, człowieku! Johnny, przecież na początku miesiąca dostałeś czek na tysiąc sto. Wszystko przepuściłeś?

– Na przyszły miesiąc – mrugnął Johnny – dostanę czek na dwa albo trzy tysiące. No, wtedy to dopiero! Dalej, Davy, pożycz mi pięćdziesiąt, chcę zabrać Hettie na tańce.

ROZDZIAŁ 47

Rodowi dni miały jak słupy telegraficzne obok pędzącego samochodu. Każdego dnia zwiększała się jego wiara we własne możliwości. Nigdy nie wątpił, że da sobie radę z problemami pod ziemią, a teraz przekonał się, że i sprawy na ziemi potrafi mocno trzymać w rękę. Wiedział, że jego wysiłki zredukowania kosztów robocizny zaczynały dawać wyniki, jednak efekty zostaną przedstawione dopiero w raporcie kwartalnym.

Mimo to, leżąc bezsennie w wielkiej dyrektorskiej rezydencji na wzgórzu, w której on i jego nieliczne meble wydawali się być zagubieni i samotni – martwił się. Zawsze istnieją małe nieznośne problemy, lecz teraz pojawiły się inne, bardziej poważne.

Tego ranka do jego gabinetu przyszła Lily Jordan.

– Mr Innes chce się z panem zobaczyć o dziewiątej.

– Czego on chce? – Herbert był szefem przetapialni i redukcji złota w Sonder Ditch.

– Nie chciał powiedzieć – odparła Lily. Zbliżał się koniec miesiąca i Lily nadal pracowała z nim. Rod doszedł do przekonania, że go zaaprobowała.

Herbert Innes, człowiek szorstki, o czerwonej twarzy, usiadł i pijąc herbatę, którą przyniosła Lily, podawał Rodowi wyniki uderzenia za uderzeniem w czasie popołudniowego niedzielnego golfa. Rod przerwał mu, kiedy omawiał krótkie uderzenie na trójkę metalową dziewiątką.

– Okay, Herby. O co chodzi?

– Mamy przeciek, Rod.

– Duży?

– Dostyc duży – mruknął Herby. Dla niego utrata każdej uncji złota w procesie wydobywczym i rafinacji była katastrofą.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– W czasie procesu wypłukiwania tracimy tygodniowo kilkaset uncji.

– Tak – zgodził się Rod. – To istotnie poważna sprawa. Dwadzieścia tysięcy randów miesięcznie, sto dwadzieścia tysięcy rocznie.

– Co o tym sądzisz?

– Dzieje się to od pewnego czasu, mieliśmy przeciek już za Franka Lemmera. Próbowaliśmy wszystkiego.

Rod nie bardzo znał się na procesie redukcji i przetapiania złota, choć nie chciał się do tego przyznać, ale to była prawda. Wiedział tylko, że ruda w czasie transportu na powierzchnię była ważona i badana. Oceniano zawartość złota i porównywano z aktualnym uzyskiem. Każda niezgodność musiała być zbadana i prześledzona.

– Jaka jest wielkość uzysku w ostatnim kwartale?

– Dziewięćdziesiąt sześć przecinek siedemdziesiąt trzy.

– To dość dobrze – przyznał Rod. Nie można uzyskać całego złota z rudy dostarczonej na powierzchnię, a Herby uzyskiwał tyle, ile się dało. Było to dokładnie mówiąc 96,73%. Oznaczało to, że niewielką tylko ilość dwustu uncji tracono na wysypiskach lub zlewniach szlamu po płukaniu.

– Wobec tego, Herby – zdecydował Rod – przyjdę do was dziś po południu. Przyjrzymy się temu razem, może świeże oko będzie w stanie ustalić, na czym polega kłopot.

– Może – Herby był nastawiony sceptycznie. – Próbowaliśmy już wszystkiego. Dzisiaj po południu płuczemy. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

– O drugiej.

Poszli do wieży wyciągowej. Co cztery minuty na powierzchnię wyjeżdżała klatka z rozdrobnioną rudą, którą przesypywano do betonowego zsypu. Każdy ładunek klasyfikowano albo jako „skałę kruszconośną”, albo jako „odpady”.

Skałę kruszconośną wrzucano do masywnych silosów, odpady odsyłano przenośnikiem do płuczki, a potem wyrzucano na wysypisko. Zdarzało się, że do skał odpadowych przyłgnęły małe cząsteczki złota zabierając je ze sobą.

Herby przybliżył usta do ucha Roda, aby przekrzyczeć grzechoczący grzmot spadających zsysem skał.

– O to miejsce nie martwię się. Tu na początku wszystko jest jeszcze wymieszane i bardzo mało świeci. – Herby używał slangu stosowanego w dziale redukcji złota. – Im bardziej zbliżymy się do końca, tym będzie niebezpieczniej.

Rod skinął głową opuszczając się za Herbym po stalowej drabinie i idąc do drzwi znajdujących się poniżej silosu. Weszli przez nie do długiego podziemnego tunelu, bardzo podobnego do chodnika na setnym poziomie.

I tu też znajdowały się pracujące bez przerwy potężne przenośniki taśmowe, zabierające rudę ze wznoszących się ponad nimi silosów. Rod i Herby szli wzdłuż taśmy aż do miejsca, w którym pracował masywny elektromagnes. Tu przystanęli na chwilę. Elektromagnes oddzielał od rudy metal, który przedostał się do pokruszonej skały, a wraz z nią do silosów.

– Ile tu tego zbierasz? – zapytał Rod.

– W ostatnim tygodniu czternaście ton – odparł Herby i biorąc Roda pod ramię wprowadził go w znajdujące się obok nich drzwi. Wyszli na otwarty podwórzec, który przypominał składnicę żelaznego złomu. Wznosiła się tam góra łomów, ręcznych świdrów do kamienia, łopat, stalowych lin, zblochy otwieralnych, łańcuchów, kluczy maszynowych,

czternastofuntowych młotów i innych skręconych i połamanych nierozpoznawalnych kawałków metalu. Wszystko to było zardzewiałe, wiele nie nadawało się do użycia. Zostały odseparowane od rudy za pomocą elektromagnesu.

Rod zagryzł wargi. Pokazano mu tutaj dowody ewidentnego niedbalstwa, świadczącego o tym, że nie przejmowano się dobrem Kompanii. Góra tego złomu przedstawiała stratę setek tysięcy randów rocznie.

– Zobaczymy, co się da z tym zrobić! – mruknął.

– Jeżeli jeden z tych młotów dostałby się w zęby mojej kruszarki, połamałby je na kawałki – powiedział żałośnie Herby i wprowadził go z powrotem do tunelu przenośnika taśmowego.

Taśma ostro wznosiła się w górę i szli teraz biegnącym obok niej pomostem roboczym. Wspinali się w górę przez pięć minut, aż Herby zaczął dyszeć jak maszyna parowa. Przez otwory w stalowej płycie, przypominającej plaster miodu. Rod mógł widzieć, że znajdowali się kilkaset stóp nad powierzchnią terenu.

Przenośnik taśmowy osiągnął szczyt wysokiej wieży i zrzucił ładunek w otwarte usta sita. W czasie spadania skały, sortowano ją według wielkości i większe kawały zawracano do kruszarek, które zgniatały je na części wielkości pięści.

– Zauważyłeś coś? – spytał Herby nieco sarkastycznie.

Rod uśmiechnął się do niego.

Zeszli po nie kończącej się, zdawałoby się, stalowej drabinie. Sita grzechotały, kruszarki łomotały, a bębunki uszu Roda błagały o litość.

Wreszcie zeszli na powierzchnię terenu i przeszli do hali młynów. Była olbrzymia, o ocynkowanej konstrukcji stalowej, wielkości lotniczego

hangaru. Miała przynajmniej sto jardów długości i pięćdziesiąt stóp wysokości. Była wypełniona długimi rzędami cylindrycznych młynów.

Stało ich czterdzieści, średnicy kotłów parowozowych i mniej więcej dwukrotnej ich długości. Z jednego końca wchodziła ruda, którą uprzednio rozdrobniła kruszarka. Młyny obracały się luźne stalowe kule wewnątrz bębnow ściąrały skałę na proszek.

Jeżeli hałas, który słyszał przedtem, był nieprzyjemny, to teraz w hali młynów był wprost nie do zniesienia. Rod i Herby nawet nie próbowali rozmawiać, dopóki nie przeszli do nieporównanie cichszego pierwszego pomieszczenia separatorów.

– Teraz – wyjaśnił Herby. – Właśnie w tym miejscu rozpoczynają się nasze zmartwienia. – Wskazał na rzędy bladoniebieskich sześciocalowych rur przechodzących przez ścianę od strony hali młynów.

– Płynie nimi zmielona skała zmieszana z wodą, tworząc płynną pastę. W ten sposób uwalnia się około czterdzieści procent złota.

– Czy nikt nie może dostać się do tych rur? Sprawdziłeś możliwe wycieki? – spytał Rod.

Herby skinął głową.

– Jednak – powiedział – spójrz tutaj!

Pod przeciwległą ścianą stał rząd klatek. Wykonano je z mocnej stalowej siatki o oczkach uniemożliwiających wetknięcie palca. Masywne stalowe drzwi były zaryglowane i zamknięte na klucz. Przed każdym zespołem klatek stał strażnik Bantu w śnieżnobiałym kombinezonie. Koncentrowali się na manipulowaniu zaworami, które wyraźnie regulowały przepływ zmielonej rudy.

Herby zatrzymał się przy jednej z klatek.

– Złoto! – wskazał. Za masywną siatką, z szeregu spustów spływała na nachyloną gumową taśmę szara pasta zmielonej skały. Powierzchnia gumy

miała głębokie fałdy, w każdej z nich zbierało się złoto i zatrzymywało pod własnym ciężarem. Złoto było tak gęste jak grubo nałożone masło na sandwiczu, żółty tłuszcz zgromadzony w fałdach gumowej taśmy.

Rod chwycił stalową siatkę i potrząsnął nią.

– Nie – zaśmiał się Herby. – W ten sposób nikt się tam nie może dostać.

– Jak zbieracie złoto z tej gumy? I kto ma dostęp do tego separatora? – zapytał Rod.

– To urządzenie oczyszcza się automatycznie – wyjaśnił Herby. – Przyjrzyj się!

Teraz Rod zauważył, że płaszczyzna gumy porusza się bardzo wolno; był to zamknięty szeroki pas napędzany przez dwie rolki. Kiedy pas odwracał się, wówczas łagodne strumyczki wody wymywały złoto z fałd do pojemnika.

– Tylko ja mam do tego dostęp. Pojemniki wypróżniamy raz dziennie – rzekł Herby.

Rod musiał przyznać, że wydawało się to zupełnie szczelne. Odwrócił się i spojrzał na czterech strażników Bantu. Wyglądali na przejętych swymi obowiązkami i Rod wiedział, że każdy z nich jest godny zaufania. Zostali wybrani bardzo starannie i zanim skierowano ich do tej pracy przepuszczono przez szczelne sito.

– Zadowolony? – zapytał Herby.

– Okay – Rod skinął głową; wyszli drzwiami umieszczonymi w przeciwległej ścianie i zamknęli je za sobą.

* * *

Natychmiast po ich wyjściu czterej strażnicy Bantu poruszyli się. Wyprostowali się, z ich twarzy znikł wyraz koncentracji i zmienił się w

uśmiech ulgi. Jeden z nich wypowiedział jakąś uwagę i odpinając pasy kombinezonów zaczęli się śmiać. Z nogawek spodni wyciągnęli długie ćwierćcalowe miedziane druty i zaczęli przetykać je przez oczka stalowej siatki.

Zabrało to Kuternodze prawie rok czasu, aby wymyślić sposób w jaki można by „wydoić” złoto z dobrze zabezpieczonych separatorów. Metoda, na którą wpadł, była, jak wszystkie genialne wynalazki, dziecinnie prosta.

Rtęć wchłania złoto jak bibuła wodę. Wciągnie najmniejszą cząstkę złota, która z nią się zetknie. Ponadto rtęć ma jeszcze inne właściwości, można ją rozsmarować na miedzi jak masło na chlebie. Taka warstwa rtęci na miedzi stanowi siłę absorbującą złoto.

Kuternoga wymyślił metodę pokrywania rtęcią pewnego odcinka miedzianego pręta, który można wsunąć w oczko siatki i ułożyć w fałdach gumy, skąd zbierał każdy kawałeczek złota. Pręt miał taką długość, że można go było szybko ukryć w nogawce spodni i w ten sposób przeszmułować złoto.

Co wieczór Kuternoga otrzymywał trzy pręty pogrubiłe o warstwę złota i dawał swym współpracownikom inne, znów pokryte rtęcią. Co noc w opuszczonych korytarzach położonych za grzbietem wzgórza gotował miedziane pręty, aby uwolnić z rtęci złoto.

* * *

– Teraz – Herby mógł już mówić normalnie w błogosławionej ciszy zakładu cyjanizacji – mamy tu zebrane wolne złoto – i zostaliśmy z siarczkiem złota. – Poczęstował Roda papierosem, kiedy przechodzili obok masywnych stalowych zbiorników, zajmujących powierzchnię wielu akrów. – Przepompowujemy je do tych zbiorników i dodajemy cyjanku, który

rozpuszcza złoto i tworzy roztwór. Wybieramy je stąd i przepuszczamy przez pył cynku. Złoto osiada na cynku, spalamy cynk i pozostaje złoto. Rod zapalił papierosa. Znał to wszystko, ale Herby prowadził go szlakiem wycieczek organizowanych dla ważnych osobistości przez Cooka. Rzucił zapalniczkę Herby'emu.

– Istnieje jakiś sposób, żeby rąbnąć trochę tego roztworu?

Herby potrząsnął głową, wydmuchując dym.

– Pomijając wszystko, cyjanek to silna trucizna. – Zerknął na zegarek. – Dwadzieścia po trzeciej, teraz będą nalewali. Może przejdziemy do wytapialni?

Ta część kopalni, w odróżnieniu od innych budynków wykonanych z ocynkowanych elementów stalowych, zbudowana była z cegły. Stała na uboczu. Miała wysoko umieszczone zakratowane okna.

Herby nacisnął dzwonek przy stalowych drzwiach. Uchyliło się małe oko judasza. Rozpoznano jego i Roda i otwarto drzwi. Znaleźli się w klatce wykonanej z mocnej kraty, która otwierała się tylko po zamknięciu drzwi wejściowych.

– Dzień dobry, Mr Ironsides. Mr Innes – przywitał ich przepraszającym głosem strażnik. – Czy panowie będą tak uprzejmi i podpiszą się tutaj? – Był emerytowanym policjantem, z okazałym brzuszkiem i z rewolwerem w kaburze na biodrze.

Podpisali się i strażnik dał sygnał swojemu koledze znajdującemu się wysoko nad nim na stalowym pomoście. Ten wetknął karabin pod pachę i nacisnął umieszczony obok niego włącznik.

Drzwi klatki otwarły się i wyszli.

Wzdłuż odległej ściany stały obudowane cegłą elektryczne piece. Przypominały piece do pieczenia chleba w piekarni.

Na cementowej posadzce stały tylko mechaniczne ładowacze, które w swych stalowych ramionach niosły tygle i formy do złota. Około pół tuzina osób zatrudnionych w wytapialni zaledwie zwróciło uwagę na obecność Roda i Herby'ego.

Właśnie odbywało się nalewanie, ramiona ładowacza przechylały się i cienki strumyczek złota wylewał się z dziobka tygielka do formy. Złoto syczało, dymiło i trzaskało, a w trakcie stygnięcia maleńkie czerwono-błękitne iskierki błyszczały na jego powierzchni.

Ułożono już czterdzieści lub pięćdziesiąt sztabek na gumowej taśmie przenośnika stojącego obok formy. Każda sztabka miała wielkość zbliżoną do rozmiarów pudełka cygar. Były nierówno odlane i miały porowatą powierzchnię.

Rod zatrzymał się i dotknął jednej sztabki. Była jeszcze gorąca i zdawało się, że jest natłuszczona, co zawsze odczuwa się dotykając świeżo odlanego złota.

– Ile to warte? – zapytał. Herby wzruszył ramionami.

– Około miliona randów, a może trochę więcej.

„A więc to tak wygląda milion randów”, pomyślał Rod. „Niezbyst imponująco”.

– I co się dalej z tym dzieje? – spytał Rod.

– Ważymy, stemplujemy i wybijamy kolejny numer każdej sztabki. – Wskazał potężne, okrągłe drzwi sejfów depozytowego wmurowanego w ścianę. – Tu przechowujemy je przez noc, a jutro przyjedzie opancerzony samochód rafinerii i zabierze złoto do Johannesburga. – Herb wyprowadził Roda z wytapialni. – Tutaj w każdym razie nie mamy problemów. Nasz przeciek wysysa złoto, zanim dotrze do wytapialni.

– Pozwól, że się nad tym przez parę dni zastanowię – powiedział Rod. – Potem znowu się spotkamy, pomyślimy i spróbujemy znaleźć wyjaśnienie.

* * *

Ciągle nad tym rozmyślał. Nawet teraz. Leżał w ciemności i palił papierosa za papierosem.

Wydawało się, że istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Musiał w tym tkwić któryś ze strażników Bantu w czasie procesu redukcji.

Była to nie kończąca się gra, wciągająca wszystkie Kompanie górnicze i personel obsługujący proces redukcji. Jakaś bystra głowa zawsze może wpaść na nowy pomysł, w jaki sposób można wyssać złoto. Kompanie wiedziałyby o takiej akcji, porównując planowaną i rzeczywistą ilość uzysku złota, i zaczęłyby pracować nad przeciekiem przez tydzień, miesiąc, a czasem przez rok. Aż wreszcie znalazłyby metodę przecieku. Wtedy nastąpiłyby oskarżenia, wysokie kary więzienia i Kompanie poinformowałyby o tym sąsiadów odpowiednimi okólnikami, a potem wszyscy zaczęliby czekać, aż pojawi się następny „klient”.

Złoto ma wiele ciekawych właściwości – wagę, niezniszczalność, a szczególnie wywołuje w ludzkich sercach chęć posiadania go.

Rod zdusił papierosa, obrócił się na bok i naciągnął koc na ramiona. Jego ostatnią myślą przed zaśnięciem był zasadniczy, bieżący problem, którego nie mógł usunąć z myśli.

Bracia Delange w ciągu dwóch tygodni przebili się już prawie tysiąc pięćset stóp. Posuwając się w tym tempie uderzą w Big Dipper za siedem tygodni, a wtedy nawet kradzież złota będzie niczym w porównaniu z tym, co się stanie.

ROZDZIAŁ 48

Podczas gdy Rod Ironsides próbował ułożyć się do snu, Big King pił wino ze swoim współnikiem i bratem plemiennym Philemonem N'gabai alias Kuternoga.

Siedzieli na rozlatujących się krzesłach z trzciny cukrowej i patrzyli na siebie. Obok nich stała lampa i galonowy dzban Jerepigo. Smród nietoperzy w opuszczonych wyrobiskach nie poprawiał bukietu wina, co zresztą mało ich obchodziło, ponieważ pili nie dla smaku, ale dla efektu.

Kuternoga znów napełnił tandetne szklanki, które przyniósł Big King, i kiedy wino bulgotało wylewając się z dzbana, kontynuował swój atak na charakter i morale Portugalczyka, Jose Almeidy.

– Już od wielu miesięcy leżało mi na sercu, aby porozmawiać z tobą o tych sprawach – powiedział do Big Kinga – jednak czekałem na pewne dowody przeciwko niemu. On jest jak lew czający się na nasze stada, w nocy ryczy, a o świcie widzimy tylko jego ślady przy trupach naszych zwierząt. Ale nigdy nie możemy go przyłapać na gorącym uczynku.

Big King z lubością słuchał oracji Kuternogi i pił Jerepigo jak wodę, a Kuternoga stale napełniał mu szklanę.

– Naradziłem się z sobą i powiedziałem do siebie tak: „Philemonie N'gabai, nie wystarczy, że podejrzewasz tego białego człowieka. Musisz kiedyś zobaczyć na własne oczy, jak on odziera cię z twojej własności”.

– Ale jak, Kuternogo? – Głos Big Kinga stawał się już niewyraźny, poziom płynu w dzbanie stale opadał i było go już mniej niż połowa. – Powiedz mi, jak mamy go złapać? – Big King pokazał pięść wielkości pęku bananów. – A wtedy ja mogę...

– Nie, Big King – Kuternoga był oburzony. – Nie możesz go uszkodzić. Jak wtedy sprzedamy nasze złoto? Musimy tylko dowieść, że nas oszukuje i dać mu do zrozumienia, że my o tym wiemy. Wtedy będzie robił to, co do niego należy, a w przyszłości będzie płacił tyle, ile powinien.

Big King myślał o tym przez chwilę, wreszcie westchnął z żalem:

– Masz rację. Kuternoga. Niemniej chciałbym mu to pokazać... – i znów pokazał pięść, a Kuternoga mówił szybko dalej:

– Dlatego więc udałem się do mojego brata, który jeździ furgonem dostawczym S.A. Scale Company w Johannesburgu i poprosiłem, aby wziął ze swojej Kompanii prawidłowo wyważony ośmiouncjowy odważnik. – Kuternoga wyciągnął z kieszeni cylindryczny metalowy odważnik. Big King obejrzał go z uwagą. – Dziś w nocy, kiedy Portugalczyk zważy przyniesione przez ciebie złoto, możesz do niego powiedzieć: „A teraz, przyjacielu, zważ to dla mnie na twojej wadze”. I będziesz obserwował, czy waga wskaże właściwy ciężar. W przyszłości zawsze każesz mu to zważyć, zanim sprzedamy nasze złoto.

– Ha! – zaniósł się śmiechem Big King. – Ty jesteś cwaniak, Kuternoga.

* * *

Oczy Big Kinga były zamglone i przekrwione. Jerepigo było mocnym winem, a on wypił prawie galon. Siedział naprzeciwko Portugalczyka, na zapleczu sklepu i patrzył, jak ten przesypywał złoty proszek do pojemnika na jubilerskiej wadze. Proszek utworzył złotą piramidkę, lśniąca mdłym blaskiem w świetle jedynej żarówki wiszącej nad ich głowami.

– Sto dwadzieścia trzy uncje. – Almeida spojrzał na Big Kinga, czekając na zgodę, kosmyk tłustych włosów opadł mu na czoło. Był blady z braku słońca, a niebieskawy zarost odcinał się silnym kontrastem.

– W porządku – Big King kiwnął głową. Mógł sam wyczuć opary alkoholu buchające od niego. Były tak silne jak obrzydzenie, jakie czuł do tego człowieka, który siedział przed nim. Odbiło mu się.

Almeida zdjął pojemnik z wagi, ostrożnie przesypał proszek do butelki i zakręcił nakrętkę.

– Wezmę pieniądze. – Uniósł się na krzesło.

– Czeka! – rzekł Big King i Portugalczyk spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

Big King wyjął z kieszeni marynarki odważnik i położył go na biurku.

– Zważ to – powiedział po portugalsku.

Almeida popatrzył na odważnik, a potem na twarz Big Kinga. Osunął się na krzesło i odgarnął włosy z czoła. Kiedy odezwał się, miał głos ochrypły i mówiąc chrząkał niepewnie.

– Dlaczego? Czy coś się nie zgadza? – Nagle uprzytomnił sobie wielkość i siłę siedzącego przed nim człowieka. Mógł też wyczuć odór alkoholu.

– Zważ to! – Głos Big Kinga brzmiał bezbarwnie, nie było w nim złości. Twarz była bez wyrazu, ale za to jego przekrwione oczy patrzyły morderczo.

Almeida nagle zaczął się bać, ogarnął go zimny, śmiertelny strach. Odgadł, co się stanie, gdy wykryje się fałszerstwo jego wagi.

– Dobrze – powiedział zduszonym, nieszczerym głosem. W szufladzie przy jego prawym kolanie leżał pistolet. Był naładowany i gotowy do strzału. Był jednak zabezpieczony, ale to tylko chwila opóźnienia. Sądził, że może nie będzie potrzeby strzelania i jeżeli będzie tylko trzymał broń w ręku, stanie się panem sytuacji.

Jeżeli jednak będzie musiał strzelić, to kula kaliber 45 zatrzyma nawet takiego olbrzyma jak ten Bantu. „Samoobrona”, pomyślał nerwowo.

„Włamywacz”, zaskoczyłem go i on mnie zaatakował. „Samoobrona. To jasne. Uwierzą w to”.

Ale jak wyjąć pistolet? Spróbuję wysunąć szufladę, i może wtedy od razu chwycę za kolbę i wyjmę?

Pomiędzy nimi stało biurko i zabrałoby to kilka sekund zanim Bantu zorientowałby się, co on robi, kilka następnych sekund potrzebowałby na obejście biurka. A zatem miał dużo czasu.

Złapał uchwyt i wysunął szufladę. Zaskrobał w drewno paznokciami, szukając wielkiego czarnego pistoletu amerykańskiej marynarki wojennej i wreszcie z triumfem zacisnął dłoń na kolbie.

Jednak Big King przetoczył się przez blat biurka jak czarna lawina. Waga i butelka ze złotym proszkiem zostały zmiecione i z trzaskiem runęły na podłogę.

Ciągle jeszcze siedząc na krześle z pistoletem w ręku, Almeida runął do tyłu przywalony przez Big Kinga. Przed wieloma laty Big King pracował z grupą safari w portugalskiej części Afryki Wschodniej i w ciałach zabitych zwierząt widział rany po kulach z broni palnej.

W chwili gdy zauważył broń w ręku Almeidy, przestraszył się tak samo jak Portugalczyk. Strach przyspieszył szybkość jego reakcji i sprawił, że przypuścił wściekły atak na broniącego się rozpaczliwie Portugalczyka.

Chwycił przegub ręki, w której Almeida trzymał pistolet, i trząśł nim, aby go zmusić do upuszczenia broni. Prawą ręką trzymał Portugalczyka za gardło i instynktownie włożył całą siłę w oba chwyt. Poczł, że pod naciskiem jego prawej ręki coś pęka, trzeszcząc jak gnieciony orzech. Wbił głęboko palce w miotające się ciało. Pistolet wypadł z dłoni, która nagle zwiotczała, potoczył się po podłodze i odbił o ścianę.

Teraz Big King odzyskał równowagę, którą odebrał mu strach. Nagle zorientował się, że Portugalczyk leży pod nim spokojnie. Rozluźnił ucisk i

uklął. Portugalczyk nie żył. Jego szyja była wykręcona pod jakimś dziwnym kątem. Miał wytrzeszczone ze zdumienia oczy, a z nozdrzy ściekały na górną wargę strumyki krwi.

Big King cofnął się do drzwi, wpatrując się z przerażeniem w leżące ciało. Gdy znalazł się przy drzwiach, zawahał się, walcząc z chęcią natychmiastowej ucieczki, podszedł do biurka i ukląkł przy nim. Wpierw podniósł odważnik i schował go do kieszeni, potem zaczął zmiatać rozsypany złoty pył i potłuczone kawałki butelki. Włożył je do oddzielnych kopert, jakie znalazł między papierami na biurku. Dziesięć minut później wymknął się ze sklepu tylnymi drzwiami i zniknął w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 49

Kiedy Big King pędził do domu noclegowego kopalni. Rod Ironsides dręczony koszmarami rzucał się na łóżku, wśród skłębionych i mokrych od potu prześcieradeł. Stał się więźniem własnej wyobraźni, zamknięty w kręgu koszmarów, z których nie mógł się uwolnić. Było to coś nie kończącego się, zielonego, trzęsącego się, niezziemskiego i przezroczystego. Wiedział, że to coś stało w miejscu, zatrzymywane tylko przez przezroczystą barierę ze szkła. Chował się przed tym, bał się, czuł, że to jest lodowato zimne, widział przechodzące przez nie światło. Był śmiertelnie przerażony.

Nagle w szklanej ścianie rozległ się trzask, pojawiło się włoskowane pęknięcie, przez które zaczęła się przesączać pojedyncza kropla. Duża gruszkowata kropla, tak doskonała w swym kształcie, jakby namalował ją Tretchikoff. Błyszczała jak klejnot.

Była to najbardziej przerażająca rzecz, jaką Rod widział w swoim życiu. Krzyczał we śnie, próbując ich ostrzec, ale pęknięcie rozszerzało się, kropla spływała w dół po szkło, a za nią następna i następna. Nagle ostry kawał szkła wystrzelił ze ściany i Rod krzyknął, kiedy woda trysnęła przez otwór pianistym strumieniem.

Szklana ściana runęła z rykiem i hukiem i fala zielonej wody o wysokości góry z sykiem zwała się na niego, wzbijając białe pióropusze wodnego pyłu.

Z krzykiem zgrozy na ustach obudził się, siedząc sztywno na łóżku skąpany w pocie. Przez kilka minut nie mógł uspokoić dziko walącego serca. Potem poszedł do łazienki. Nalał do szklanki wody i podniósł ją do

światła. „Woda. Ona tam jest!”, mruknął. „Ja wiem, że ona tam jest!”. Wychylił szklankę.

Kiedy tak stał nago, oblany zimnym potem, ze szklanką przytkniętą do warg, przyszła mu do głowy pewna myśl. Nigdy przedtem nie słyszał, żeby ktoś tego próbował, ale nigdy nikt nie był na tyle szalony, aby próbować wbić się w tak śmiertelną pułapkę, jaką jest Big Dipper.

„Na trasie przebiecia wywiercę i załaduję materiał wybuchowy w wiszącą ścianę. Natychmiast polecę chłopcom Delange’a, aby to zrobili. A wtedy w dowolnie wybranym czasie wywołam eksplozję i zablokuję tunel”.

Ogarnęło go nagle uczucie olbrzymiej ulgi. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak go to dotąd gnębiło. Wrócił do sypialni i poprawił łóżko. Mimo to sen nie przyszedł łatwo. Jego wyobraźnia była nadmiernie rozbudzona i serie zdarzeń i pomysłów kotłowały się w jego mózgu, aż wreszcie z tego chaosu wyłonił się wizerunek Terry Steyner.

Nie widział jej już prawie dwa tygodnie, od czasu powrotu Manfreda Steynera z Europy. Dwa razy rozmawiał z nią przez telefon, była to szybka i kłopotliwa rozmowa, która pozostawiła uczucie niezadowolenia. Coraz bardziej zdawał sobie sprawę, z tego, że mu jej brakuje. Jedyne wysiłki, na jaki zdobył się, żeby pocieszyć się gdzie indziej, okazał się błędem. W połowie miłosnych manewrów stracił na nie ochotę, odwiózł młodą damę na łono rodziny o niesłychanie wprost wczesnej jedenastej godzinie sobotniego wieczoru.

Tylko nieustające obowiązki związane z jego nową pracą nie pozwalały mu dokonać ryzykownego wypadu do Johannesburga.

„Wiesz co, Ironsides, lepiej wzięłybyś się w garść, nie trać głowy z powodu tej kobiety. Pamiętaj o naszej przysiędze: »Nigdy więcej!«”.

Uderzył w poduszkę, nadając jej odpowiedni kształt, i ułożył się wygodniej.

* * *

Terry leżała cicho, czekała na to. Było już po pierwszej nad ranem, a była to jedna z tych nocy. Niedługo przyjdzie. Jak nigdy przedtem wypełniało ją uczucie wstrętu. Gdzieś poniżej brzucha czuła zimne obrzydzenie. Mimo wszystko miała szczęście. Nie zbliżył się do niej od powrotu z Paryża. Ponad dwa tygodnie. Nie mogło to jednak tak trwać dłużej. Dziś w nocy.

Usłyszała podjeżdżający samochód i poczuła się fizycznie chora. „Nie mogę tego zrobić”, zdecydowała. „Już nie mogę więcej. Nie myślałam, że to tak będzie, ale teraz już wiem. To nie jest brudne, zawstydzające i potworne, to jest jak... jak... To jest właśnie takie, jak to robi Rod”.

Usłyszała, że jest już przy drzwiach sypialni i nagle usiadła na łóżku. Była zdesperowana, osaczona.

Drzwi sypialni otworzyły się cicho.

– Manfred? – spytała ostro.

– Tak, to ja. Uspokój się. – Podeszedł szybko do łóżka. Ciemna, bezosobowa sylwetka. Rozwiązał sznur szlafroka.

– Manfredzie – wyrzuciła z siebie Terry. – Przykro mi, ale w tym miesiącu mam wcześniej.

Zatrzymał się. Dostrzegła, że opadają mu ręce. Stał w milczeniu.

– Och! – rzekł wreszcie i usłyszała jak szura stopami po grubym dywanie.

– Przyszedłem ci tylko powiedzieć – zawahał się szukając usprawiedliwienia swojej wizyty – że... że wyjeżdżam na pięć dni. Wyjeżdżam w piątek. Do Durbanu i Cape Town.

– Spakuję cię – powiedziała.

– Co?... Ach, tak... dziękuję. – Stopy znów zaszurały. – No, więc... –
zawahał się, pochylił się szybko i musnął wargami jej policzek. –
Dobranoc, Tereso.

– Dobranoc, Manfredzie.

„Pięć dni”. Leżała sama w ciemności i rozkoszowała się. „Pięć pełnych
dni razem z Rodem”.

ROZDZIAŁ 50

Detektyw, inspektor Hannes Grobbelaar z Południowoafrykańskiego Kryminalnego Wydziału Śledczego, siedział na brzegu biurowego krzesła, z kapeluszem odsuniętym na tył głowy i rozmawiał przez telefon, którego słuchawkę owinął chusteczką do nosa. Był to wysoki mężczyzna o smutnej podłużnej twarzy i z ponurymi siwiejącymi wąsami.

– Kupował złoto – rzekł do słuchawki, a potem wyraźnie w odpowiedzi na jakieś pytanie: – Wszędzie widać ślady rozsypanego złotego proszku, jest tu waga jubilerska, zabezpieczony pistolet kaliber 45 z pełnym magazynkiem, a na nim odciski palców zmarłego – słuchał. – Ja. Ja. W porządku, ja. Wygląda na to, że złamano mu kark. – Inspektor Grobbelaar obrócił się z obrotowym krzesłem i spojrzał na ciało leżące na podłodze obok niego. – Trochę krwi przy ustach, ale nic poza tym.

Jeden ze specjalistów od daktyloskopii podszedł do biurka i Grobbelaar trzymając nadal słuchawkę przy uchu wstał, aby umożliwić mu pracę.

– Odciski? – zapytał z niezadowoleniem. – Odciski palców są wszędzie. Wyodrębniliśmy przynajmniej czterdzieści różnych rodzajów. – Słuchał przez kilka sekund. – Nie, na pewno go złapiemy. To musi być górnik Bantu. Mamy odciski palców wszystkich ludzi, którzy przybyli do Republiki. To tylko kwestia sprawdzenia ich i przesłuchania. Ja, dostaniemy go w ciągu miesiąca, to pewne! Będę z powrotem na John Vorster Square o piątej, jak tylko tutaj skończymy. – Odłożył słuchawkę i stał patrząc na zamordowanego.

– Obrzydliwy skurwysyn – rzekł stojący obok niego sierżant Hugo. – Prosił się o to, skupując złoto. Jest tak samo złe jak diamenty. – Spojrzał na

trzymaną w ręku kopertę. – Mam tu dużo kawałków szkła. Zdaje się, że w tej butelce był złoty proszek. Morderca próbował usunąć to, ale nie był zbyt dokładny. Te leżały pod biurkiem.

– Odciski?

– Tylko jeden jest dość duży. Choć to tylko takie maźnięcie. Może się jednak przyda.

– Dobra – Grobbelaar skinął głową. – No więc zabieraj ze sobą te swoje skorupy.

Gdzieś z wnętrza budynku ozwały się głośnie kobiece szlochy i Hugo skrzywił się.

– Znowu zaczyna. Do diabła, myślałem, że ma już dość. Te cholerne portugalskie baby! To koniec!

– Powinieneś słyszeć, jak wrzeszczą, kiedy rodzą – mruknął Grobbelaar.

– Kiedy ty to słyszałeś?

– Była taka jedna w sąsiednim pokoju, gdy moja stara leżała na porodówce. Wydawało się, że zwali się na nas ten cały cholerny dach.

Wąsy Grobbelara przybrały jeszcze bardziej melancholijny wyraz, gdy pomyślał, ile go teraz czeka roboty. Godziny, dni, tygodnie wypytywań, sprawdzań, i tak w kółko, z mętными i podejrzanymi typkami.

Westchnął i wskazał palcem trupa.

– W porządku, skończyliśmy z nim. Powiedz chłopcom od rzeźnika, żeby go zabrali.

ROZDZIAŁ 51

Przez prawie dwa dni Rod szkicował plan umieszczenia materiałów wybuchowych mających blokować tunel. Kąt i głębokość otworów strzałowych były tak dobrane, aby dokładnie rozbić wiszącą ścianę. Postanowił wywiercić dodatkowe otwory w bocznych ścianach przebicia, z ładunkami, które eksplodowałyby po rozbiciu wiszącej ściany. Wypełniłoby to powstały gruz i uszczelniło skalny korek.

Rod uświadamiał sobie, że ciśnienie wody wyniesie 2000 funtów na cal kwadratowy, a może i więcej, i zdecydował, że należy zablokować odcinek tunelu o długości minimum trzystu stóp. I tak właśnie zaprojektował plan wybuchów. Ale wiedział, że to niezupełnie zatrzyma wodę. Niemniej powstrzyma ją na tyle, że pozwoli na uszczelnienie przebicia betonem. Bracia Delange nie podzielali entuzjazmu Roda.

– Człowieku, ależ wiercenie i ładowanie tych dziur zabierze trzy albo cztery dni – zaprotestował Johnny, gdy Rod pokazał mu plan siatki otworów.

– Pewnie, że zabierze, do cholery – warknął Rod. – Chcę, żeby to zostało wykonane w ciągu tygodnia.

– Pan powiedział ultraszybkie. Ale nie mówił pan, że mamy wiercić w wiszącej ścianie więcej dziur niż w serze!

– Ale teraz to mówię – rzekł ponuro Rod. – Mówię też, że to ty będziesz wiercił, ale nie załadujesz otworów, dopóki nie zejdziesz na dół i nie przekonam się, że wywierciłeś tak głęboko jak chciałem.

Nie wierzył, że Johnny oraz Davy wywiercą otwory na głębokość sześciu stóp. Zrobią tyle, ile będą uważali za stosowne, wepchną ładunki i

nikt nie zauważył różnicy. To znaczy nie zauważył do chwili, gdy już będzie za późno. Po raz pierwszy odezwał się Davy Delange.

– Da nam pan dodatkową premię za tę całą zabawę? – zapytał.

– Cztery sążnie kwadratowe na szychtę – Rod zgodził się zapłacić tak, jakby usunęli jakąś fikcyjną skałę.

– Osiem? – spytał Davy.

– Do diabła, nie! – wykrzyknął Rod. To był rozbój.

– No, nie wiem – mruknął Davy, patrząc na Roda chytrymi małymi oczkami. – Może powinienem porozmawiać z Bratem Duivenhage, no wie pan... i poprosić go o radę.

Duivenhage był przedstawicielem Związku Górników w szybie numer 1. Doprowadzał Franka Lemmera do skrajnego załamania nerwowego i teraz próbował zaczynać z Rodneyem Ironsidesem. Rod błagał w dyrekcji, żeby dać mu jakąś tłustą posadkę w zarządzie i usunąć z drogi. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałby Rod byłoby wtrącanie się Brata Duivenhage w przebijanie się przez Big Dipper.

– Sześć – powiedział.

– No... – Davy zawahał się.

– Sześć wystarczy – przerwał Johnny i Davy zerknął na niego ze złością. Johnny pozbawił go zupełnego zwycięstwa.

– Dobrze, a więc załatwione – Rod zakończył krótko negocjacje. – Zaczynacie wiercić natychmiast.

* * *

Plan Roda wymagał wykonania blisko tysiąca dwustu otworów strzelniczych i wypełnienia ich dwoma i pół tonami materiału

wybuchowego. Siatka otworów zaczynała się około tysiąc stóp od głównego chodnika komunikacyjnego na 66. poziomie.

Teraz tunel przebijający był szeroki, dobrze oświetlony i wentylowany, z przewodami wentylacyjnymi, z rurami sprężonego powietrza i kablami elektrycznymi umocowanymi na wiszącej ścianie i leżącymi wzdłuż szyn kolejki transportowej.

Kiedy bracia Delange zaczęli wiercić siatkę otworów, prace na przodku ustały. Była to lekka praca, nie wymagająca od ludzi wysiłku. Gdy wywiercano kolejne otwory, Davy wtykał w nie pręt do ubijania ładunków, sprawdzał głębokość, a potem zapychał wlot zgniecionym kawałkiem papieru. Było dużo czasu na popijanie kawy z termosu i na rozmyślanie.

Gdy siedział czekając na wyznaczenie następnych otworów, myśli Davy'ego bez przerwy zajmowały trzy sprawy. Czasami przez pół godziny Davy widział oczami wyobraźni pięćdziesiąt tysięcy randów. Były jego, po potrąceniu podatku, zebrane w ciągu wielu lat pracy i ułożone w miejscowej filii Johannesburg Building Society. Wyobrażał je sobie jako równo ułożone zielone pliki w skarbcu Society. Każdy plik miał banderolę z napisem David Delange.

Potem jego wyobraźnia automatycznie kierowała się w stronę farmy, którą kupiłby za te pieniądze. Już widział jak wieczorami zasiada na obszernej werandzie. Zachodzące w dolinie słońce maluje szczyty Swart Berg, bydło wraca z pastwisk do zagrody. Zawsze obok niego na werandzie siedziała kobieta. Miała rude włosy.

* * *

Piątego dnia nie zmęczony Davy wracał o świcie do domu. Nocne szychty były lekkie i łatwe.

Drzwi sypialni Johnny'ego i Hettie były zamknięte. Davy przeczytał gazety jak zwykle przy śniadaniu, a przede wszystkim zagłębił się bez reszty w komiksy o przygodach Modesty Blaise i Willie Garvina. Tego ranka Modesty miała na sobie bikini i Davy wpatrywał się w nią porównując ją z obfitym zdrowym ciałem żony swego brata. Myślał o niej, gdy położył się do łóżka i nie śpiąc leżał, marząc o przygodach, w których Modesty Blaise stała się Hettie, a Willie Garvin był Davym.

Minęła godzina, a on wciąż jeszcze nie spał. Usiadł i sięgnął po leżący w nogach ręcznik. Okręcił go wokół bioder i poszedł do łazienki. Kiedy chwycił klamkę, drzwi łazienki otworzyły się i stanął twarzą w twarz z Hettie Delange.

Miała na sobie biały koronkowy szlafroczek, a na nogach pantofelki przyozdobione strusimi piórami. Nie była umalowana, wyszczotkowane włosy miała związane wstążką.

– Och! – westchnęła zaskoczona. – Przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam. Hej! – Davy uśmiechnął się, przytrzymując ręką ręcznik. Hettie opuściła oczy, szybko obrzucając wzrokiem jego nagie ciało.

Davy był silnie umięśniony jak czempion bokserski. Jego piersi były pokryte szorstkimi kręconymi włosami. Ręce miał wytatuowane w sposób, który uwypuklał grubość i siłę mięśni.

– O, ty to jesteś zbudowany – mruknęła z podziwem Hettie i Davy jeszcze bardziej wciągnął brzuch.

– Tak myślisz? – uśmiechnął się zakłopotany.

– Tak – Hettie pochyliła się do przodu i sprawdzała muskuły. – Ale twarde!

Tym ruchem rozchyliła przód szlafrocza. Davy zaczerwienił się, patrząc na to. Zaczął coś mówić, ale zaschło mu w gardle. Hettie przesunęła

po skórze palcami w dół ramienia i zauważyła jego wzrok. Powoli przybliżyła się do niego.

– Lubisz mnie, Davy? – zapytała, jej głos był niski, gardłowy. Davy rzucił się na nią z rykiem dzikiego zwierzęcia. Rozrywał szlafroczek, przyciskając ją do ściany łazienki, ustami szaleńczo szukając jej ust. Przytulał się do niej silnie, oczy miał dzikie, dyszał spazmatycznie.

Hettie śmiała się przerywanym, krztuszącym się śmiechem. To było właśnie to, co lubiła, kiedy tracili głowy i wariowali z jej powodu.

– Davy – powiedziała, zdzierając z niego ręcznik. – Davy.

Kręciła się, unikając napierających na nią bioder, wiedząc, że to jeszcze bardziej go podnieci. Szarpał rękoma jej ciało, oczy miały błędny wyraz.

– Tak! – wyszeptała w jego usta.

Przechylił ją do tyłu i zsunęła się po ścianie na podłogę.

– Czekaj – jęknęła. – Nie tu... w sypialni.

Ale było już za późno.

* * *

Davy spędził popołudnie zamknięty w sypialni; leżał na łóżku ogarnięty czarnym, wszystko przenikającym żalem i wszechogarniającym poczuciem winy.

– Mój brat – powtarzał. – Johnny jest moim bratem. Płakał, a każdy szloch rozrywał mu coś w piersiach. Łzy spływały spod rozpalonych powiek powodując kompletne wyczerpanie.

– Mój własny brat – potrząsał wolno głową z przerażającym niedowierzaniem. – Nie mogę tu zostać – zdecydował żałośnie. – Muszę odejść.

Podszedł do umywalki i obmył oczy. Nachylając nad umywalką ociekającą wodą twarz powziął decyzję.

– Będę musiał mu to powiedzieć. – Za bardzo mu ciążyło poczucie winy.
– Napiszę do Johnny’ego. Opiszę mu to wszystko, a potem odejdę.

Szaleńczo szukał pióra i papieru, miał wrażenie, że uwolni się od winy pisząc o tym, co zrobił. Usiadł przy stole pod oknem i zaczął wolno i pracowicie pisać. Skończył o trzeciej. Poczł się lepiej.

Cztery gęsto zapisane kartki wsadził do koperty, zakleił ją i wsunął do kieszeni marynarki. Ubrał się szybko i wyszedł z domu, bojąc się spotkać Hettie, ale nigdzie jej nie widział. W garażu nie było jej dużego białego monaco. Z ulgą wyjechał na szosę i ruszył w kierunku Sonder Ditch. Chciał dotrzeć do kopalni, zanim Johnny zejdzie z szychty.

Davy słyszał w szatni głos brata, gdy żartował i śmiał się z innymi górnikami opuszczającymi kopalnię. Zamknął się w ustępie przy umywalni i siedział tam nieszczęśliwy. Głos Johnny’ego znów wzbudził w nim gwałtowne poczucie winy. List z wyznaniem tkwił w kieszeni, wyjął go, otworzył kopertę i jeszcze raz przeczytał.

– A zatem do zobaczenia – dobiegł z szatni wesoły głos Johnny’ego. – Jutro się znów zobaczymy, skurczybyki.

Potem usłyszał chór odpowiedzi i trzasnęły drzwi.

Davy ciągle jeszcze siedział w smrodzie spoconych brudnych ciał, moczu, brudnych skarpetek i obrzydliwym zapachu środków dezynfekcyjnych. Wreszcie wetknął z powrotem list do kieszeni i otworzył drzwi ustępu.

* * *

Zespół Davy'ego czekał na swoim miejscu przy wejściu do tunelu przebijającego. Siedzieli szeregiem na ławce, śmiejąc się i gawędząc. Panował wśród nich jakiś odświętny nastrój, ponieważ wiedzieli, że znowu mają przed sobą łatwą szychtę.

Wesoło powitali wchodzącego do chodnika Davy'ego. Obaj bracia Delange byli bardzo popularni w swoich zespołach i dziwny był brak odpowiedzi Davy'ego na to chóralne powitanie. Nawet się nie uśmiechnął.

Szef wiertników, Suazi, wręczył mu lampę bezpieczeństwa i zamiast podziękowania Davy wydał tylko jakiś pomruk. Poszedł ciężko wzdłuż tunelu, nieświadom, gdzie się znajduje, jego myśli były zajęte winą i żalem nad sobą.

Po przebyciu tysiąca stóp doszedł do miejsca, w którym mieli dzisiaj pracować. Szychta Johnny'ego pozostawiła na miejscu świdry skalne, podłączone do przewodów sprężonego powietrza i gotowe do użycia. Davy zatrzymał się pośrodku miejsca ich pracy i podświadomie rozpoczął rutynowe czynności zapalania lampy bezpieczeństwa.

Mały niebieski płomyk zajaśniał za siatką bezpieczeństwa i Davy podniósł lampę do oczu i ruszył powoli wzdłuż chodnika. Patrzył na płomień nie widząc go.

Powietrze w tunelu było chłodne, czyste i świeże, nie czuło się żadnego zapachu ani smaku. Davy szedł jak lunatyk. Pławił się w żalu nad sobą. Widział siebie w na pół heroicznej roli jednego z kochanków historii, pochwyconego w szpony tragicznych okoliczności. Jego umysł był całkowicie zaprzątnięty tym problemem. Patrzył nic nie widząc. Na oślep wykonywał czynności powtarzane tysiące razy przed rozpoczęciem szycht dziennych.

Powoli niebieski płomień za siatką zmieniał kształt. Jakby spłaszczyła się jego górna część i utworzyła się nad nim upiorna blada linia. Oczy

Davy'ego patrzyły na to, ale mózg nie rejestrował tej informacji. Szedł otepiałą winą i samoudręką.

Tę linię nad płomieniem nazywano „czapką”; sygnalizowała ona, że powietrze zawierało minimum pięć procent metanu. Ostatni otwór, jaki wywiercił zespół Johnny'ego Delange przed zejściem z szachty, przebił szczelinę wypełnioną metanem. Przez trzy godziny gaz wydobywał się z otworu. System wentylacyjny nie był w stanie oczyścić powietrza wystarczająco szybko i teraz gaz powoli rozprzestrzeniał się wzdłuż tunelu. Otaczające Davy'ego powietrze było ciężkie od gazu, a on wdychał go w płuca. Potrzebna była tylko jedna iskra, aby zapalić gaz.

Davy doszedł do końca tunelu i zgasił lampę.

– Bezpiecznie – mruknął nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi i wrócił do czekających ludzi.

– Bezpiecznie – powtórzył i szef wiertników wprowadził czterdziestu rozbawionych ludzi zespołu Davy'ego Delange do tunelu.

Davy włókł się za nimi ponuro. Idąc sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę lexingtonów. Wetknął papierosa w usta, schował paczkę do kieszeni i zaczął szukać zapalniczki.

Przechodził od jednej grupy wiertników do drugiej, ustawiając ich i pokazując, gdzie mają wiercić. Jego nie zapalony papieros balansował przylepiony do wargi. Gestykulował ręką, w której trzymał zapalniczkę.

W ciągu dwudziestu minut ustalił wszystkie punkty wiercenia. Potem stanął i spojrzął w tunel. Każdy wiertnik wraz ze swoim asystentem tworzył wyodrębniony, zespolony posąg. Byli rozebrani do pasa, ich napierające na świdry ciała wyglądały, jakby zostały wyrzeźbione z hebanu i wygładzone oliwą.

Davy podniósł zwiniętą dłoń, trzymając zapalniczkę blisko twarzy i nacisnął kółeczko.

Powietrze w tunelu zamieniło się w płomień. W błysku eksplozji ogień osiągnął temperaturę palnika spawalniczego. Natychmiast zwęglił skórę na ciałach i twarzach wszystkich wiertników, spalił im włosy na głowach. Uszy zamienił w szerniałe ogarki. Ugotował oczy w oczodołach. Zwęglił ubrania tak, że gdy padali, płonęły na nich.

W momencie, gdy skóra została zdarta z twarzy i rąk, Davy Delange otworzył usta w ogromnym agonialnym zachłyśnięciu. Płomień wpadł mu do gardła i wypełnionych gazem płuc. W zbiorniku, jaki utworzyło jego ciało, gaz eksplodował i klatka piersiowa strzeliła jak papierowa torebka, a żebra rozłożyły się wachlarzem wokół olbrzymiej rany, niczym płatki słonecznika.

Czterdziestu jeden ludzi zginęło w jednej chwili. W ciszy, jaka nastąpiła po tej świszczącej i wciągającej eksplozji, leżeli na posadzce tunelu podobni do zwęglonych insektów. Jeden lub dwóch jeszcze się trochę ruszało, wygięte plecy opadły, noga się wyprostowała, rozwarły spalone palce, ale po minucie zapanował martwy spokój.

Pół godziny później doktor Dan Stander i Rodney Ironsides pierwsi weszli do tunelu. Smród spalonego mięsa był odurzający. Wchodząc do środka musieli opanować uczucie potwornych mdłości.

ROZDZIAŁ 52

Dan Stander siedział przy biurku i patrzył na samochód zaparkowany przed kopalnianym szpitalem. Wydawało się, że od wczorajszego wieczoru postarzał się o dziesięć lat. Zazdrościł kolegom, którzy potrafili wyłączyć się w czasie pracy. Nigdy nie mógł się na to zdobyć. Właśnie ukończył badania, które umożliwiły wydanie czterdziestu jeden świadectw śmierci.

Pracował już od piętnastu lat jako lekarz górniczy i przywykł do stykania się ze śmiercią w jej najpotworniejszych postaciach. Jednak ta była najgorsza, z jaką kiedykolwiek się spotkał.

Czterdziestu jeden mężczyzn, wszyscy byli ofiarami straszliwych oparzeń i urazów powstałych w czasie wybuchu gazu. Widząc tę makabrę czuł się tak, jakby był ze wszystkiego wyprany i kompletnie wyczerpany. Masując skronie przyglądał się zawartości tacy stojącej przed nim na biurku. Leżało na niej to, co znaleziono w kieszeniach ubrania Delange'a. Już samo wyjmowanie tych przedmiotów ze spalonego ubrania było makabrycznym zajęciem. Ubranie zwęglałając się przylgnęło do ciała, a ponieważ mężczyzna miał na sobie pod kombinezonem nylonową koszulę, wtopiła się ona w skórę.

Był tam pęk kluczy na mosiężnym kółku, składany nóż Josepha Rogersa z kościaną rączką, zapalniczka Ronsona, którą znaleźli w zaciśniętych palcach z wbitymi w dłoń paznokciami spalonej prawej ręki, portfel ze skóry gazeli południowoafrykańskiej i koperta z nadpalonym rogiem.

Dan przekazał już wszystkie rzeczy należące do Bantu Afrykańskiemu Towarzystwu Rekrutacyjnemu, które odeśle je rodzinom ofiar. Teraz westchnął z obrzydzeniem i wziął portfel. Otworzył go.

W jednej przegródce znajdowało się sześć znaczków pocztowych i pięć banknotów jednorandowych. Drugą wypychał jakiś papier. Dan przerzucił kwity z pralni, wycinki z gazet z ogłoszeniami o farmach na sprzedaż, złożoną stronę z „Farmers Weekly” z artykułem opisującym, w jaki sposób zaplanować hodowlę mlecznego stada i książeczkę oszczędnościową J.B.S.

Otworzył książeczkę i zagwizdał ze zdumienia, widząc wpisaną kwotę. Przerzucił strony.

Za twardą okładką książeczki oszczędnościowej wetknięta była nie zaklejona wymięta koperta. Dan otworzył ją i uniósł brwi ze zdziwienia. Zawierała zbiór fotografii tego, co oferowano na sprzedaż na terenie doków portu Laurencu Marques w Mozambiku. I to było właśnie to, czego Dan szukał.

Kiedy przedmioty wróca do oplakujących ofiarę krewnych, Dan chciał oszczędzić im dowodów ludzkiej słabości. Spalił fotografie wraz z kopertą w popielniczce, a następnie zdusił resztki, roztał je na proszek i wyrzucił do kosza.

Podszedł do okna i otworzył je aby przewietrzyć pokój. Stał przy oknie szukając wzrokiem alfa romeo Joy. Jeszcze nie przyjechała i Dan wrócił do biurka.

Jego wzrok padł na drugą kopertę i podniósł ją. Widniała na niej plama krwi i jeden narożnik był nadpalony. Dan wyjął z koperty cztery kartki papieru i ułożył na biurku.

Drogi Johnny.

Kiedy Tatuś umarł, byłeś jeszcze małym chłopcem... i ja zawsze uważałem ciebie bardziej za mojego syna, no wiesz, niż za brata.

No więc, Johnny, uważam, że teraz coś powinienem ci powiedzieć...

Dan czytał wolno i nie słyszał, jak Joy weszła do pokoju. Zatrzymała się przy drzwiach i patrzyła na niego. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech, wyrażający całą głębię uczucia, jasne błyszczące włosy opadały swobodnie na ramiona. Potem cicho podeszła, stanęła za jego krzesłem i pocałowała w ucho. Dan poderwał się i odwrócił ku niej.

– Kochanie – powiedziała Joy i pocałowała go w usta.

– Co cię tak zainteresowało, że nie zauważyłeś mojego wejścia?

Dan przez chwilę wahał się, zanim odpowiedział.

– Wczoraj w nocy w tym upiornym wypadku zginął pewien człowiek. I to właśnie znajdowało się w jego kieszeni.

Podał jej list i zaczęła powoli czytać.

– Chciał go wysłać bratu? – zapytała i Dan skinął głową.

– Dziwka – wyszeptwała Joy, a Dan spojrzał zaskoczony.

– Kto?

– Ta dziewczyna... Chyba wiesz, że to była jej wina.

– Joy otworzyła torebkę i wyjęła chusteczkę, aby wytrzeć oczy.

– Cholera, teraz rozmażę sobie cały makijaż – pociągnęła nosem i mówiła dalej: – Doprawdy dobrze by jej to zrobiło, gdyby mąż otrzymał ten list.

– Uważasz, że powinienem przekazać go jemu? – spytał Dan. – Nie powinniśmy zabawiać się w Pana Boga.

– Kto mówi, że mamy się w Niego bawić? – zapytała Joy. I Dan patrzył spokojnie, jak darła list na małe kawałeczki, zmięła je w kulkę i wrzuciła do kosza.

– Jesteś wspaniała – powiedział. – Wyjdiesz za mnie?

– Ja już tobie odpowiedziałam na to pytanie, doktorze Stander – i znowu go pocałowała.

ROZDZIAŁ 53

Hettie Delange była roztrzęsiona. Zaczęło się od telefonu, który zerwał Johnny'ego z łóżka. Bąknął coś o kłopotcie w szybie, naciągnął na siebie ubranie, ale ona obudziła się tylko na chwilę, a potem, gdy Johnny wybiegł z domu, zaraz usnęła.

W godzinę później wrócił i usiadł na brzegu łóżka z pochyloną głową i rękoma wciśniętymi między kolana.

– Co się stało? – wymamrotała. – Wracaj do łóżka. Nie siedź tak.

– Davy nie żyje. – Jego głos był matowy.

Zamarła w szoku, czując konwulsyjne drgawki mięśni brzucha i natychmiast zupełnie się rozbudziła. A potem niespodzianie poczuła nagłą ulgę.

Nie żył. Tak normalnie, tak zwyczajnie! Przez cały dzień niepokoiła się. Jaka była głupia, że pozwoliła na to, co się stało. Jedna chwila słabości, poślizgnięcia się, dla zaspokojenia siebie, i przez cały dzień bała się konsekwencji. Wyobrażała sobie, Davy będzie łaził wybałuszając na nią oczy jak szczeniak próbując ją tak podmacywać, że Johnny może to zauważyć. Owszem, sprawiało jej to przyjemność, ale ten raz wystarczył. Nie lubiła powtórek, a przede wszystkim nie chciała żadnych komplikacji, które mogłyby nastąpić po tym jej oryginalnym wyczynie.

Teraz wszystko samo się załatwiło. Nie żył.

– Jesteś pewny? – zapytała z niepokojem i Johnny zauważył w jej głosie zaciekawienie.

– Widziałem go! – Johnny zadrżał i otarł wierzchem dłoni usta.

– O Boże, to okropne! – Hettie pamiętała o swojej roli i usiadła, aby objąć ramionami Johnny’ego. – To dla ciebie straszne.

Nie mogła już tej nocy zasnąć. Jakoś myśl o Davym, idącym od niej wprost w objęcia gwałtownej śmierci, była podniecająca. To tak jak w filmie albo w książce, czy coś takiego. Jakby na przykład był zestrzelonym lotnikiem, a ona była jego dziewczyną. Może była w ciąży i teraz została sama na świecie... Potem pójdzie do Pałacu Buckingham i odbierze za niego medal, a królowa powie...

Aż do rana snuła fantastyczne wizje, a obok niej Johnny rzucał się i mruczał coś przez sen.

Obudziła go z pierwszymi promieniami słońca.

– Jaki on był? – zapytała łagodnie. – Jak wyglądał, Johnny?

Johnny znów wzdrygnął się, a potem zaczął opowiadać. Jego głos był ochrypły, zdania rwały się, mówił chaotycznie. Gdy umilkł, Hettie zorientowała się, że drży z podniecenia.

– Jakie to przerażające – powtarzała. – Och, jakie to straszne! – I przytuliła się do niego. Potem Johnny zaczął się z nią kochać i tym razem Hettie było tak dobrze, jak jeszcze nigdy przedtem.

Przez cały ranek odbywały się rozmowy przez telefon, a potem przyszły na kawę cztery przyjaciółki. Zatelefonowali reporter i fotograf z „Johannesburg Star” i zadawali pytania. Hettie znalazła się w centrum uwagi i raz po raz opowiadała o wszystkim z najmniejszymi detalami.

Po lunchu Johnny przyszedł do domu z ciemnowłosym mężczyzną w czarnym garniturze, czarnych włoskich butach i z pasującą do całości czarną teczką.

– Hettie, to jest Mr Boart. Adwokat Davy’ego. Ma coś dla ciebie.

– Mrs Delange, chciałbym przekazać pani moje serdeczne kondolencje z powodu tej tragicznej dla pani i pani męża straty.

– Tak, to straszne, prawda? – powiedziała niepewnie Hettie. Czy przypadkiem Davy nie powiedział o wszystkim swojemu adwokatowi? Może on przyszedł tu narobić jakichś kłopotów?

– Pani szwagier sporządził testament i ja jestem jego wykonawcą. Pani szwagier był bogaty. Miał więcej niż pięćdziesiąt tysięcy randów – Boart przerwał z namaszczeniem.

– A pani i pani mąż jesteście jego jedynymi beneficjentami.

Hettie przenosiła niepewnie wzrok z Boarta na Johnny'ego.

– Ja nie wiem... co to znaczy? Beneficjentami?

– To znaczy, że pani i mąż będziecie dzielić jego majątek pomiędzy siebie.

– Otrzymam połowę z pięćdziesięciu tysięcy randów? – zapytała Hettie z niedowierzającym zachwytem.

– Zgadza się.

– Boże – wykrzyknęła. – To fantastyczne! – Nie mogła się doczekać, kiedy Johnny i adwokat wyjdą, a ona będzie mogła znowu zatelefonować do swoich przyjaciółek. Wszystkie cztery wróciły, żeby jeszcze napić się kawy i żeby znów rozczulać się, zazdrościć Hettie i podniecać się tym.

– Dwadzieścia pięć tysięcy – powtarzała z nabożeństwem.

– Do diabła, dziewczyno, on naprawdę musiał cię lubić, Hettie – zauważyła jedna z dziewcząt z emfazą i Hettie spuściła oczy, próbując sprawiać wrażenie tajemniczej i zrozpaczonej.

Johnny wrócił do domu po szóstej, chwiał się na nogach i zionął alkoholem. Przyjaciółki Hettie wyszły niechętnie, aby wrócić do czekających na nie rodzin. Prawie natychmiast potem podjechał pod drzwi duży biały sportowy samochód i wtedy dopełnił się dzień triumfu Hettie. Żadna z jej przyjaciółek nigdy nie miała zaszczytu goszczenia w swoim domu dyrektora generalnego Sonder Ditch Gold Mining Company.

Otworzyła drzwi frontowe natychmiast, kiedy zadzwonił dzwonek. Jej powitanie było bezczelnym plagiatem z filmu granego właśnie w miejscowym kinie.

– Mr Ironsides, jak to uprzejmie z pana strony, że pan przyszedł.

Kiedy wprowadziła Roda do ich przeładowanego meblami salonu, Johnny podniósł wzrok, ale siedział nadal.

– Halo, Johnny – rzekł Rod. – Przyszedłem ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu tego, że Davy...

– Nie pieprz mi tu, frajerze – przerwał mu Johnny Delange.

– Johnny – wykrztusiła Hettie – nie możesz tak mówić do Mr Ironsidesa. – I zwróciła się do Roda, kładąc mu rękę na ramieniu: – On nie chciał tego powiedzieć, Mr Ironsides. Jest pijany.

– Wynoś się stąd – rzucił Johnny. – Idź do tej swojej pieprzonej kuchni, tam jest twoje miejsce.

– Johnny!

– Wynocho! – wrzasnął Johnny unosząc się z krzesła i Hettie uciekła z pokoju. Johnny podskoczył do stojącej w rogu pokoju chromowanej oszklonej szafki z alkoholem. Chlusnął whisky w dwie szklanki i jedną podał Rodowi.

– Niech Bóg prowadzi mego brata – powiedział.

– Za Davy’ego Delange’a, za jednego z najlepszych łowców skał na terenach Kitchenerville – rzekł Rod i jednym łykiem wychylił szklankę.

– Za najlepszego! – poprawił go Johnny i wypróżnił szklankę. Zakrztusił się i pochylił do przodu, mówiąc wprost w twarz Rodowi:

– Przyszedłeś przekonać się, czy będę w stanie skończyć to twoje cholerne przebicie, czy też rąbnę to wszystko. Davy dla ciebie nic nie znaczył i ja też dla ciebie nic nie znaczę. Tylko jedno ma dla ciebie znaczenie – to cholerne przebicie. – Johnny napełnił szklanki. – No więc

posłuchaj mnie, przyjacielu, a słuchaj dobrze. Johnny Delange nigdy nie przerywa raz rozpoczętej roboty. To przebicie pożarło mojego brata, ale bądź spokojny, ja je zgnoję. Idź do domu i dobrze się wyśpij, Johnny Delange będzie na szychcie jutro rano i rozwali te skały.

ROZDZIAŁ 54

W mglisty poranek rolls–royce Srebrna Chmura zaparkował między drzewami. Leżał przed nim skręcający ku obsadzonej wierzbami rzece tor treningowy, ogrodzony biało pomalowanymi barierami. Przy rzece mgła była gęstsza i tam na jej tle trawa wydawała się bardziej zielona.

Szofer w uniformie stał z dala od rollsa, pozostawiając samych dwóch pasażerów wewnątrz samochodu. Siedzieli na tylnym siedzeniu z angorowym kocem na kolanach. Na rozkładanym stoliczku przed nimi stał srebrny termos z kawą, cieniutkie jak muszle porcelanowe filiżanki i talerz kanapek z szynką. Grubas jadł bezustannie, popijając każdy kęs kawą. Mały łysy mężczyzna nic nie jadł, tylko nerwowo palił papierosa i patrzył przez okno na konie. Stajenni prowadzili konie w kółko, ich nozdrza buchały parą w porannym chłodzie, a na grzbietach trzepotały pledy. Dżokeje stali patrząc w górę na trenera. Ubrani byli w dżersejowe koszulki polo, a na głowach mieli czapki. Wszyscy trzymali w rękach baty. Trener z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza mówił coś do nich z naciskiem.

– To była bardzo dobra robota – powiedział mały. – Najbardziej podobało mi się w Rio. Byłem tam po raz pierwszy.

Grubas chrząknął. Był zdenerwowany. Nie powinni byli wysłać tego agenta. Wydawało się, jakby coś podejrzewali, nie wierzyli i mogło to poważnie popsuć giełdowe operacje.

Narada trenera z dżokejami dobiegła końca. Mali jeźdźcy rozeszli się do swoich wierzchowców, a trener podszedł do rollsa.

– Dzień dobry, sir – powiedział i grubas znów chrząknął.

– Dam mu przebiec całą trasę – mówił dalej trener. – Do pół mili tempo nadawać będzie Emerald Isle, a potem zmieni go Pater Noster i pociągniemy do mili, później dam mu Tiger Shark.

– Dobrze.

– Może zechciałby pan mierzyć czas, sir. – Trener podał mu stoper i wydawało się, że odzyskał równowagę.

– Dziękuję, Henry – uśmiechnął się. – Muszę stwierdzić, że dobrze się prezentuje.

Trener był zadowolony z pochwały.

– O, to koń gorącej krwi! Do soboty będzie ostry jak brzytwa. – Odsunął się od okna samochodu. – Wydam polecenie, aby zaczęli bieg. – Odszedł.

– Masz coś dla mnie? – zapytał grubas.

– Oczywiście – mały poruszył króliczymi wąsami. Miał bowiem taki denerwujący zwyczaj. – Nie leciałem tutaj tylko po to, aby patrzeć na parę szkap biegających po torze.

– Możesz powiedzieć, co masz dla mnie? – Grubas udał, że nie usłyszał tego obraźliwego epitetu. Zwierzę, które agent nazwał szkapą, było jednym z najlepszych koni w Afryce.

– Oni chcą wiedzieć wszystko o tej eksplozji gazu.

– To było bez znaczenia – tłuścioch machnął ręką.

– Nagły wybuch. Zginęło kilku ludzi. Robót nie przerwano. Zaniedbanie w pracy górnika, który przygotowywał ładunki.

– Czy to ma jakiś wpływ na nasze plany?

– Ani na jotę.

Dwa konie skoczyły na starcie, łeb w łeb, a za nimi wirował tuman mgły. Błyszczący gniady koń przy barierze biegł tak, jakby płynął, ten drugi, szary, sprawiał wrażenie jedynie tła.

– Moi szefowie są bardzo zaniepokojeni.

– Zupełnie niepotrzebnie – warknął grubas. – Mówiłem, że to nic nie zmieni.

– Czy eksplozja była błędem, który wyniknął z działania tego człowieka, Ironsidesa?

– Nie – grubas potrząsnął głową. – To było zaniedbanie obowiązków przez górnika. Powinien był wykryć obecność gazu.

– Szkoda – łysy potrząsnął głową ze smutkiem. – Mieliśmy nadzieję, że ten błąd będzie można przypisać Ironsidesowi.

Szary koń był już zmęczony, podczas gdy gniady biegł gładko, oddalając się od niego. Od bariery pojawił się trzeci koń, aby zastąpić szarego i biegł teraz łeb w łeb z gniadym.

– Dlaczego chciałbyś, żeby ten błąd popełnił Ironsides?

– Doszły do nas różne niepokojące wieści. To nie jest pionek, który można dowolnie przestawiać. Posadę dyrektora generalnego traktuje bardzo poważnie. Nasze źródła informacji podają, że zmniejszył koszty własne kopalni Sonder Ditch o dwa procent, w co można z trudem uwierzyć. Wydaje się być niezniszczalny, pełen inwencji – krótko mówiąc to człowiek, z którym trzeba się liczyć.

– No i dobrze – zgodził się grubas. – Jednak nadal nie wiem, dlaczego twoi... hm, szefowie... są niezadowoleni. Czy przypuszczają, że ten człowiek powstrzyma wodę siłą swojej osobowości?

Następny stymulator zaczął słabnąć i gniadosz biegł teraz sam. Daleka figura we mgle, mijająca znak jednej mili, gdzie dołączył do niej trzeci stymulator.

– Nie znam się na koniach – oświadczył łysy, patrząc na dwie końskie figury we mgle. – Ale właśnie widzę, że ten jeden... – wskazał papierosem gniadosza. – Właśnie widziałem, jak ten jeden wykończył tamte dwa konie. Jednego po drugim. Wsiadły i zostały za nim kulejąc. Moglibyśmy

powiedzieć, że jest nieuchwytny, to znaczy, jest tak nieprzeciętny, iż nie można go mierzyć normalną miarą. – Wydmuchał dym i mówił dalej: – To dotyczy też ludzi, niektórzy wydają się nieuchwytni. Mam wrażenie, że nasz Ironsides należy do takich, a my właśnie takich nie lubimy. Nie lubimy takich ludzi w roli przeciwników. Możliwe, że on mógłby nam wszystko popsuć, nie – jak to powiedziałaś – siłą swojej osobowości, ale nagle zrobiłby coś niespodzianego, zachowując się tak, jak nam to nie odpowiada.

Obaj mężczyźni patrzyli na galopujące konie, które przebiegły ostatni zakręt i wyszły na prostą.

– Popatrz – rzekł łagodnie grubas i jakby w odpowiedzi gniadosz wydłużył krok, skoczył do przodu zostawiając za sobą trzeciego konia. Głowa gniadosza podobna była do młota, z nozdrzy buchała para, ziemia i kępki trawy wylatywały spod kopyt. Przebiegł linię mety wyprzedzając tamtego o pięć długości, grubas nacisnął stoper.

Spojrzał z niepokojem na tarczę zegarka, a potem zachichotał jak zdrowe dzieciątko.

– I do tego nie jest jeszcze dobrze rozbiegany!

Stuknął w szybę, szofer w uniformie natychmiast otworzył drzwi i wśliznął się za kierownicę.

– Do mojego biura – polecił grubas i zasunął szybę. Kiedy zasunęła się dźwiękoszczelna szyba, dzieląca pasażerów od kierowcy, grubas zwrócił się do swego gościa:

– Zatem, przyjacielu, uważasz, że Ironsides jest nieuchwytny. Co więc chcesz, żebym z tym zrobił?

– Pozbądź się go.

– Czy ty myślisz o tym samym, co i ja? – grubas uniósł brwi.

– Nie. Nic tak drastycznego. – Łysa głowa podskoczyła w podnieceniu.

– Za dużo przygód Jamesa Bonda czytujesz. Po prostu zorganizujemy to

tak, żeby Ironsides w czasie przewiercania się przez Big Dipper był daleko i bardzo zajęty. Inaczej istnieje duże prawdopodobieństwo, że zrobi coś takiego, co popsuje nasze dobre zamiary.

– Sądzę, że będę mógł to zorganizować – rzekł grubas i sięgnął po następną kanapkę.

ROZDZIAŁ 55

Zgodnie z tym co zapowiedział, Manfred złapał w piątkowy wieczór lot do Cape Town. W sobotnią noc Rod i Terry mieli wspaniałą szaloną okazję nie rozpoznani spędzić wieczór w hotelu Kyalami Ranch. Tańczyli i jedli obiad w Sali Afrykańskiej, ale do apartamentu wrócili przed północą. O świcie wesołe klepnięcie zwiniętą sobotnią gazetą w gołe pośladki śpiącej Terry spowodowało małą wesołą awanturkę, w czasie której spadł ze ściany obraz strącony poduszką, przewrócił się stolik do kawy, a krzyki i piski spowodowały burzliwe tupanie w apartamencie o piętro wyżej.

Terry machnęła kpiąco w stronę sufitu, ale oboje przycichli leżąc na łóżku i ledwo dysząc ze śmiechu. Potem przystąpili do wykonywania czynności tak samo lub nawet bardziej wyczerpujących, ale za to nie tak hałaśliwych.

Później, o wiele później, pojechali po Melanię i znowu spędzili niedzielę na końskiej farmie w Vaal. Melania naprawdę jechała na koniu i wydawało się, że to dramatyczne doświadczenie może zaważyć na jej egzystencji. Po lunchu wyciągnęli z szopy na brzegu rzeki szybką motorówkę i ślizgali się na nartach wodnych aż do zapory. Terry i Rod prowadzili motorówkę na zmianę. Rod stwierdził, że Terry Steyner świetnie prezentuje się w białym bikini. Było już ciemno, gdy Rod odwiózł śpiącą córkę do matki.

– Kim jest ta Terry, o której bez przerwy mówi Melania? – dopytywała się Patti, która ciągle nie mogła przetrwać awansu Roda. Miała pamięć podatkowego egzekutora.

– Terry? – Rod udał zaskoczenie. – Myślałem, że wiesz.

– I zbiegł po schodach zostawiając Patti z wytrzeszczonymi oczami.

Terry siedziała skurczona w skórzanym kubelkowym fotelu maserati i tylko czubek nosa wystawał spod obszernego futra, które miała na sobie.

– Kocham twoją córkę, Mr Ironsides – zamruczała.

– Wydaje się, że z wzajemnością.

Rod jechał powoli w stronę grzbietu wzgórza, ręka Terry wysunęła się z rękawa futra i spoczęła na jego kolanie.

– Czy nie byłoby pięknie, gdybyśmy pewnego dnia mieli naszą własną córkę?

– Byłoby – zgodził się posłusznie Rod i później stwierdził ku swemu ogromnemu zdumieniu, że i on naprawdę o tym myślał.

Ciągle jeszcze zastanawiał się nad tym fenomenem, gdy parkował maserati w podziemnym garażu pod swoim apartamentem i podszedł otworzyć drzwi Terry.

Manfred Steyner obserwował Terry wysiadającą z maserati i unoszącą twarz do Rodneya Ironsidesa, który pochylił się pocałował ją, a potem zatrzasnął i zamknął na klucz drzwi samochodu. Idąc obok siebie podeszli do windy.

– Biuro Śledcze Petersona zawsze dostarcza towar – powiedział mężczyzna za kierownicą czarnego forda zaparkowanego w ciemnym kącie garażu. – Damy im pół godziny, żeby się rozgościli, a potem zapukamy do drzwi jego apartamentu.

Manfred Steyner siedział obok prywatnego detektywa zupełnie spokojnie, nawet nie mrugając oczami. Wrócił przed trzema godzinami do Johannesburga w odpowiedzi na informacje z biura śledczego.

– Proszę mnie tutaj zostawić. Zabierzcie forda i zaparkujcie przy rogu Clarendon Circle. Zaczekajcie tam na mnie – polecił Manfred.

– Halo? Przecież nie pójdzie pan chyba do?... – detektyw był zdumiony.

– Zróbcie tak, jak powiedziałem – głos Manfreda zapiekł, jakby ktoś wylał witriol, ale detektyw upierał się.

– Będzie pan potrzebował dowodu w sądzie, jestem panu potrzebny jako świadek...

– Wynoś się – rzucił Manfred, otworzył drzwi auta, wysiadł i zatrzasnął je za sobą. Detektyw wahał się przez dłuższą chwilę, potem zapuścił motor i wyjechał z garażu, zostawiając Manfreda samego.

Manfred podszedł wolno do drzwi błyszczącej sportowej maszyny. Wyjął z kieszeni połączany nóż składany i otworzył długie ostrze.

Wiedział, że ten samochód miał specjalne znaczenie dla Ironsidesa. W tym momencie to była jedyna forma zemsty, jakiej mógł dokonać. Aż do chwili kiedy Rodney Ironsides ukończy przebicie Big Dipper, nie mógł doprowadzić do konfrontacji ani z nim, ani z Teresą. Nie mógł nawet dać im poznać, że cokolwiek podejrzewa.

Takie ludzkie uczucia, jak miłość, nienawiść lub zazdrość, czasem tylko nieznacznie przejawiane, nie istniały dla Steynera. Nigdy nie kochał Teresy Hirschfeld, tak jak nigdy nie kochał żadnej innej kobiety. Ożenił się z nią dla pieniędzy i jej pozycji. Uczucie, jakiego teraz doznał, nie było ani nienawiścią ani zazdrością. To był afront. Obrażało go to, że te dwie nic nie znaczące osoby odważyły się konspirować i oszukiwać go.

Nie rzuci się teraz na nich ze ślepymi oskarżeniami i groźbami użycia siły lub rozvodu. Nie, on będzie stosował kary, które głęboko zabolą tego człowieka. To będzie część zapłaty. Potem, kiedy wykona to, co do niego należy, Manfred zgniecie go z zimną krwią jak mrówkę.

Jeżeli idzie o kobietę, to doznał pewnej ulgi. Jej nieodpowiedzialne zachowanie oddaje ją całkowicie w jego ręce, jest na jego łasce w sensie oficjalnym i moralnym. Kiedy tylko przebicie się przez Big Dipper

wzmocni go finansowo i stanie się niezależny, usunie ją na bok. Do tej chwili będzie doskonale służyła jego celom.

Podróż, przerwana pospiesznym powrotem do Johannesburga, połączona była z zakupem akcji Sonder Ditch. Objeżdżał główne centrale rozmaitych firm maklerskich i ustalał, że w określonym dniu zaczną oni skupować każdą możliwą ilość akcji Sonder Ditch.

Kiedy skończy tę operację powie prywatnemu detektywowi, aby zawiózł go na lotnisko Jana Smutsa. Miał rezerwację na lot do Durbanu, a tam będzie kontynuował swoją działalność.

Wszystko szło bardzo dobrze, pomyślał, wsuwając ostrze noża przez gumową uszczelkę trójkątnej szybki w maserati. Szybkim ruchem podniósł rygiel i uchylił szybkę. Sięgnął ręką i otworzył zamek drzwi. Manfred otworzył je i wśliznął się na siedzenie kierowcy.

Nóż był ostry jak brzytwa. Zaczął od fotela pasażera, potem przeniósł się na fotel kierowcy, krojąc skórę na drobne kawałki, a następnie przesiadł się na tylne siedzenie i powtórzył całą operację. Potem otworzył skrzynkę z narzędziami i wyjął łyżkę do opon.

Za jej pomocą rozwalił całą deskę rozdzielczą. Rozbite szkło posypało się z brzękiem na pokrytą dywanikiem podłogę. Czubek łyżki wbił w deskę z różanego drewna i wyrwał ją, rozbijając na drobne kawałki.

Wysiadł z samochodu i uderzył łyżką w przednią szybę. Szkło pękło gwiazdziście. Walił w nie z wściekłością, nie mógł go jednak niestety rozbić całkowicie, powstała z niego sflaczała nieprzejrzysta płaszczyna.

Odrzucił łyżkę i zaczął szukać swojego noża. Klęcząc usiłował przebić opony. Jednak guma była twardsza, niż się spodziewał. Walił ze złością, nóż obracał się w dłoni, ostrze zgięło się i przecięło opuszek kciuka, powodując bolesną ranę. Manfred zerwał się z krzykiem, chwytając zraniony palec. Z rany trysnęła krew.

– Mein Gott! Mein Gott! – dyszał ciężko, przerażony widokiem własnej krwi. Wychodząc na chwiejnych nogach z podziemnego garażu, owijał kciuk chusteczką.

Doszedł do czekającego forda, otworzył drzwi i padł na przednie siedzenie obok detektywa.

– Lekarza! Na miłość boską, zawieź mnie do lekarza. Jestem paskudnie ranny. Szybko! Jedź szybko!

ROZDZIAŁ 56

„Mąż Terry ma dziś wrócić do miasta”, pomyślał Rod, siedząc przy biurku. Ta myśl nie dodawała mu sił do pracy w dniu, który, wiedział, że będzie szalenie aktywny.

Jutro rano miały być gotowe raporty z trzech miesięcy, przeznaczone dla Głównego Biura. W konsekwencji cała administracja uległa zwykłej panice ostatnich minut. W poczekalni jego biura kłębił się tłum i Lily Jordan będzie chyba musiała używać bata, aby zapanować nad nim. O trzeciej miał spotkanie konsultacyjne z szefem biura, ale przedtem jeszcze chciał zjechać do kopalni, aby sprawdzić sieć otworów strzałowych, którą Johnny Delange skończył wiercić i wypełnił ładunkami.

W chwili, gdy Lily wprowadzała pierwszego gościa, zadzwonił telefon. Wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o smutnym wyrazie twarzy, z opadającymi wąsami.

– Mr Ironsides? – zapytał głos w słuchawce.

– Tak.

– Tu Porters Motors. Mam kalkulację za naprawę maserati.

– Ile? – Rod skrzyżował palce.

– Tysiąc dwieście randów.

– Och! – westchnął Rod.

– Mam zaczynać?

– Nie, muszę się wpierw skontaktować z moim towarzystwem ubezpieczeniowym. Zadzwonię do was. – Odłożył słuchawkę. Ten akt nieobliczalnego wandalizmu nadal go bardzo denerwował. Uświadomił

sobie, że przez długi czas będzie musiał ograniczać się do służbowego volkswagena.

Zwrócił teraz uwagę na gościa.

– Detektyw inspektor Grobbelaar – przedstawił się wysoki mężczyzna. – Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Jose Almeidy, właściciela koncesjonowanego sklepu tej kopalni.

Podali sobie ręce.

– Ma pan jakieś przypuszczenia, kto to mógł zrobić? – zapytał Rod.

– Zawsze mamy jakieś przypuszczenia – odparł inspektor smutnym tonem i Rod przez chwilę miał wrażenie, że jego nazwisko również znajduje się na liście podejrzanych. – Przypuszczamy, że morderca pracuje w jednej z tutejszych kopalń, prawdopodobnie w Sonder Ditch. Przyszedłem prosić pana o współpracę podczas śledztwa.

– Oczywiście.

– Będę musiał przepytąć wielu zatrudnionych tu Bantu. Mam nadzieję, że znajdzie mi pan jakieś odpowiednie pomieszczenie.

Rod podniósł słuchawkę i nakręcając numer powiedział do Grobbelara:

– Telefonuję do naszego kierownika administracyjnego. – I zaczął mówić: – Tu Ironsides. Posyłam do pana inspektora Grobbelara. Proszę mu dać do dyspozycji jakieś pomieszczenie i zapewnić pełną współpracę.

Grobbelaar wstał i wyciągnął rękę.

– Nie będę panu dłużej zabierał czasu. Dziękuję, Mr Ironsides.

Następnym gościem był Van der Bergh, jego kierownik personalny, wymachujący swoimi sprawozdaniami, jakby to były losy wygrane na loterii.

– Skończyłem – oznajmił z triumfem. – Potrzebny tylko pański podpis.

Gdy Rod sięgał po pióro, znów zadzwonił telefon.

– Mój Boże – mruknął z piórem w jednej ręce i słuchawką w drugiej. – Czy to jest warte tego wszystkiego?

Dobrze po pierwszej Rod wymknął się z biura, zostawiając Lily Jordan, aby powstrzymywała nawał klientów. Poszedł prosto do szybu numer 1, gdzie Dimitri i szef liniowy powitali go jak syna marnotrawnego. Chcieli wiedzieć, kto zastąpi go w roli dyrektora kopalni. Rod przyrzekł, że dowie się w czasie popołudniowego spotkania w Głównym Biurze, przebrał się w kombinezon i założył hełm.

W miejscu, gdzie zginął Davy Delange, znalazł ludzi naprawiających sieć przewodów na wiszącej ścianie i zabezpieczających ładunki przed wypadnięciem z otworów. Kabel elektryczny, który zamykał obwód powodujący wybuch zabezpieczał intensywnie zielony płaszcz z plastyku, zamocowany bezpiecznie do stropu przebicia.

W betonowym pomieszczeniu bezpieczeństwa przy szybie elektryk zmontował już odrębną sterownię, przeznaczoną dla tego obwodu. Będzie przez cały czas gotowa do użycia. Można w potrzebie wywołać eksplozję w ciągu kilku minut. Rod poczuł, jakby jakiś wielki ciężar spadł mu z ramion. Przeszedł przez uchylne drzwi wentylacyjne i poczłapał wzdłuż chodnika, aby pomówić z Johnnym Delange.

W połowie drogi do przodka natknął się na gigantyczną postać Big Kinga, idącego mu naprzeciw z niewielką grupą ładowaczy kamienia. Rod przywitał go, Big King stanął i posłał chłopców poza zasięg słyszalności.

– Chcę pomówić.

– Więc mów – Rod nagle zauważył, że twarz Big Kinga była ściągnięta, oczy zapadnięte, a skóra matowoszara, jaką zwykle mają chorzy Bantu.

– Chcę wrócić do moich żon w portugalskim Mozambiku – mówił Big King.

– Dlaczego? – Rod z rozczarowaniem pomyślał o perspektywie utraty tak cennego szefa wiertników.

– Moja krew jest rzadka. – Była to tak niejasna odpowiedź, że mógł ją dać każdy. W istocie oznaczała: „Mam własne powody i nie mam ochoty o nich mówić”.

– Kiedy twoja krew znów zgęstnieje, to wrócisz do pracy? – zapytał Rod.

– To zależy od bogów – ta odpowiedź była równie niejasna jak poprzednia.

– Nie mogę cię zatrzymać, jeżeli chcesz odejść. Big King, ty wiesz o tym – powiedział Rod. – Zgłoś się do dyrektora administracyjnego, żeby to odnotował.

– Już rozmawiałem z dyrektorem administracyjnym. Chce, żebym pracował jeszcze trzydzieści trzy dni.

– Rzeczywiście – zgodził się Rod. – Wiesz, że taki masz kontrakt. Musisz to odpracować.

– Ja chcę odejść natychmiast – powtórzył Big King z uporem.

– Musisz więc podać powód. Nie wolno mi zezwolić, abyś zerwał kontrakt bez istotnego powodu. – Rod wiedział, że nie wolno mu stwarzać tak niebezpiecznego precedensu.

– Nie ma powodu – przyznał ulegle Big King. – Nie zerwę kontraktu.

Zostawił Roda i odszedł ze swoim zespołem. Od tamtej nocy, kiedy zabił Portugalczyka, Big King spał mało i mało jadł. Niepokój powodował sensacje żołądkowe, nie mógł tańczyć i nie mógł śpiewać. Nic, co powiedzieliby Kuternoga lub induna Shangaanów, nie było w stanie go pocieszyć. Przez cały czas czekał, aż przyjdzie po niego policja. Dni mijały, mięśnie flaczały, wiedział, że przyjdą po niego, zanim miną trzydzieści trzy dni do zakończenia kontraktu.

Zwrócenie się do Roda było ostatnim aktem desperacji, teraz był już zrezygnowany. Wiedział, że nie wymknie się policji. Wkrótce, pewnego dnia, przyjdą po niego. Założą mu srebrne kajdanki na przeguby rąk i poprowadzą do zamkniętej furgonetki. Widział wielu ludzi prowadzonych w ten sposób i słyszał, co się z nimi potem stało. Prawo białego człowieka było takie samo jak prawo plemienne Shangaanów. Za zabranie życia trzeba płacić życiem.

Złamią mu kark sznurem. Jego przodkowie strzaskaliby mu czaszkę maczugami, ale koniec byłby ten sam.

Rod zastał Johnny'ego Delange'a pijącego z menażki zimną herbatę, podczas gdy jego zespół wiercił ścianę.

– Jak leci? – zapytał.

– Już skończyliśmy z tym burdelem i jedziemy dalej.

– Johnny wytarł z ust herbatę i zamknął menażkę. – Pokonaliśmy prawie tysiąc pięćset stóp od miejsca, w którym zginął Davy.

– Dobre tempo – pochwalił Rod, ignorując uwagę o eksplozji metanu przy siatce otworów wybuchowych, przeznaczonych do zablokowania chodnika.

– Lepiej byłoby, gdyby Davy żył. – Johnny nie lubił Campbella, górnika który zastąpił Davy'ego na nocnej szychcie.

– Nie robią tego, co do nich należy.

– Pogonię ich – obiecał Rod.

– Tak, niech pan to zrobi. – Johnny odwrócił się wykrzykując jakieś polecenie dla swoich ludzi.

Rod stał patrząc na koniec przebiccia. Mniej niż tysiąc stóp dalej leżała przed nimi czarna twarda skala Big Dipper... a za nią? Rod poczuł, że cierpnie mu skóra na wspomnienie nocnego koszmaru. Ta zimna, zielona, przezroczysta rzecz, czekająca na nich za tą zaporą.

– Dobra, Johnny, już się zbliżasz – Rod otrząsnął się z tego przerażającego zielonego honoru. – Jak tylko uderzysz w tę skałę serpentynu, masz natychmiast przerwać i dać mi znać. Zrozumiałeś?

– Lepiej niech pan to samo powie Campbellowi – odparł Johnny. – Nocna szychta może wbić się w Big Dipper.

– Powiem mu – zgodził się Rod. – Ale przede wszystkim ty o tym pamiętaj. Chcę tutaj być, kiedy ta dziura trafi w zaporę.

Rod zerknął na zegarek. Dochodziła druga. Za godzinę miał być w Głównym Biurze.

* * *

– Spóźnił się pan, Mr Ironsides. – Doktor Manfred Steyner spojrzął ze szczytu stołu w gabinecie dyrektora.

– Przepraszam panów. – Rod usiadł przy długim dębowym stole. – Mam po prostu jeden z tych dni...

Mężczyźni przy stole zamruczeli z sympatycznym zrozumieniem, a doktor Steyner patrzył na niego przez chwilę bez wyrazu i wreszcie zauważył:

– Byłbym wdzięczny gdyby poświęcił mi pan po zebraniu parę minut, Mr Ironsides.

– Oczywiście, doktorze Steyner.

– Dobrze – Manfred skinął głową – Teraz, kiedy już Mr Ironsides łaskawie zaszczycił ten stół swoją obecnością, możemy zaczynać zebranie.

Była to najdłuższa kwestia, jaką kiedykolwiek usłyszano z ust doktora Steynera i zapewne miał to być dowcip.

Zapadła ciemność, gdy zebranie dobiegło końca. Uczestnicy narzucili płaszcze, pożegnali się i zostawili Manfreda z Rodem przy stole, na którym

stały przepelnione popielniczki, leżały porozrzucane ołówki i notesy.

Manfred Steyner czekał pełne trzy minuty, zanim drzwi zamknęły się za ostatnim wychodzącym. Chociaż Rod był przyzwyczajony do jego długiego wymownego milczenia, jednak teraz czuł się niepewnie. Odczuwał nową wrogość w zachowaniu tego człowieka. Pokrył skrępowanie zapalając następnego papierosa i wydmuchując serię kółek z dymu na portret Normana Hradsky'ego, pierwszego dyrektora Kompanii. Po obu bokach portretu Hradsky'ego wisały dwa inne. Jeden, szczupłego przystojnego blondyna o śmiejących się niebieskich oczach. Przeczytał podpis pod portretem: Dufford Charleywood, dyrektor CRC od 1867 do 1872. Drugi portret w ciężkiej złoconej ramie przedstawiał imponująco zbudowanego mężczyznę z obwisłymi wąsami, o ostrych rysach Irlandczyka. Sean Courtney, widniało pod portretem, a daty były takie same jak u Charleywooda.

Tych trzech stworzyło tę Kompanię i Rod wiedział cośkolwiek o nich. Stanowili piękną bandę łobuzów, jakich tylko można znaleźć w osiedlu przestępców. Hradsky zrujnował dwóch pozostałych wspaniałym wypadem na giełdę – grając na zniżkę, a tak naprawdę to po prostu okradł ich z akcji Kompanii.

„Od tamtego czasu staliśmy się bardziej wyrafinowani”, pomyślał Rod. Instynktownie skierował wzrok ku szczytowi stołu i spotkał oczy doktora Steynera, który wpatrywał się w niego bez mrugnięcia. „Czy istotnie staliśmy się tacy?”, zastanawiał się. „Co też teraz nasz przyjaciel wymyślił szatańskiego?”.

Manfred Steyner badał Roda z obojętnym zaciekawieniem. Był tak daleki od jakichkolwiek wpływów emocjonalnych, że chciał wykorzystać stosunek, jaki zaistniał między tym mężczyzną a jego żoną i zrealizować polecenie, jakie otrzymał dziś rano.

- Jak daleko znajdujecie się od zapory? – zapytał nagle.
- Mniej niż tysiąc stóp.
- Kiedy do niej dotrzecie?
- Za dziesięć dni. Nie więcej, a może nawet mniej.
- Kiedy tylko dotrzecie do zapory, natychmiast przerwiecie pracę.

Określenie dokładnego czasu jest bardzo ważne, rozumie pan?

– Już poleciłem górnikom, aby nie wiercili dalej bez mojego specjalnego rozkazu.

– Dobrze. – Manfred znów milczał przez pełną minutę. Dzisiaj rano był u niego Andrew z instrukcjami od tego człowieka. W momencie, kiedy będą przebijali zaporę, Ironsides miał zostać wysłany daleko od Sonder Ditch. Manfred był za to odpowiedzialny.

– Muszę pana poinformować, Mr Ironsides, że rozkaz przebicia dam co najmniej po upływie trzech tygodni. Kiedy dotrze pan do zapory, będę musiał wyjechać do Europy w celu załatwienia pewnych spraw. Nie będzie mnie tutaj minimum dziesięć dni i w tym czasie nie wolno podejmować żadnych prac przy przebijaniu się przez Big Dipper.

– Nie będzie pana na Święta Bożego Narodzenia? – spytał zaskoczony Rod.

– Tak – Manfred skinął głową i mógł czytać w myślach Roda.

„Terry będzie sama”, pomyślał szybko Rod. „Ona będzie na Gwiazdkę sama. Sonder Ditch przez siedem dni świąt przejdzie tylko na »niezbędny dyżur«. W kopalni pozostanie tylko załoga szkieletowa, aby utrzymać ją w ruchu. Gdybym mógł wyjechać na ten tydzień, na cały tydzień...”.

Manfred czekał do chwili, gdy zorientował się, że Rod podjął taką decyzję, na jaką liczył, i zapytał:

– Rozumie pan? Zaczeka pan na polecenie dalszego wiercenia. Niech się pan nie spodziewa takiego rozkazu aż do połowy stycznia.

- Rozumiem.
- Może pan odejść – zwolnił go Manfred.
- Dziękuję – odparł sucho Rod.

* * *

Na parterze, w centrum handlowym Reef Building, znajdował się bar kawowy. Rod przegonił brodatego hippisa, wszedł do budki telefonicznej i nakręcił numer Sandown. Było dość bezpiecznie, ponieważ Manfreda zostawił na górze.

- Teresa Steyner – usłyszał w słuchawce.
- Mamy cały tydzień dla siebie – powiedział. – Cały cudowny tydzień.
- Kiedy? – zapytała z radością. Powiedział jej.
- Dokąd pojedziemy? – spytała.
- Pomyślimy o jakimś miejscu.

ROZDZIAŁ 57

Szesnastego grudnia o 11:26 przed południem Johnny Delange rozsadził ścianę i poszedł do przodu w dymie i pyłe.

W świetle jego lampy odsłonięta skała wyglądała zupełnie inaczej niż niebieskie ventersdorpskie kwarcyty. Była szklista, czarnozielona, żyłkowana, z cienkimi białymi liniami i bardziej przypominała marmur niż zwykłą tutejszą skałę.

– Dotarliśmy do zapory – powiedział do Big Kinga i pochylił się, żeby podnieść kawałek serpentynu. Zważył go w ręku.

– Zrobiliśmy to, załatwiliśmy tego skurwysyna!

Big King stał obok niego w milczeniu. Nie dzielił podniecenia Johnny’ego.

– Dobra! – Johnny odrzucił kawałek skały na kupę. – Ogrodzić i zabezpieczyć. Potem wyciągnij wszystkich z chodnika. Skończyliśmy do następnych poleceń.

* * *

– Dobra robota, Johnny – powiedział z zadowoleniem Rod. – Oczyszczyć to wszystko i zabierz stąd. Nie wiem, kiedy dostaniemy polecenie przebicia się przez zapórę. Tymczasem weź urlop. W czasie tego czekania zapłacę ci za cztery sążnie kwadratowe na szychtę. – Przerwał połączenie, nadal trzymając słuchawkę przy uchu. Wykręcił numer i powiedział do telefonistki w centrali Głównego Biura: – Proszę z doktorem Steynerem. Mówi Rodney Ironsides. – Po kilku sekundach Manfred odezwał się.

– Doszliśmy do Big Dipper – oznajmił Rod.

– Lecę do Europy jutro rano boeingiem – rzekł Manfred. – Niech pan nic nie robi do mojego powrotu. – Manfred odłożył słuchawkę i nacisnął przycisk interkomu.

– Odwołać wszystkie moje spotkania – powiedział sekretarce. – Jestem nieosiągalny.

– Dobrze, doktorze Steyner.

Manfred podniósł słuchawkę linii bezpośredniej. Nakręcił numer.

– Halo, Andrew. Możesz mu oznajmić, że jestem gotów załatwić ostatecznie moje zobowiązania. Dotarliśmy do Big Dipper. – Przez kilka sekund słuchał, a potem odezwał się znowu: – W porządku, będę czekał na twoją odpowiedź.

Andrew odłożył słuchawkę i wyszedł na taras przez szklane rozsuwane drzwi. Był rozleniwiający letni dzień, panowała gorąca cisza, słońce błyszczało na powierzchni kryształowo czystej wody w basenie. Owady sennie bzyczały w kwiatkach otaczających taras.

Grubas stał przy sztalugach. Miał na sobie niebieski beret i biały kitel, wiszący na nim jak suknia ciężowa na wystającym brzuchu.

Jego model leżał na skraju basenu twarzą w dół na dmuchanym materacu. Była to delikatna, czarnowłosa dziewczyna z ciałem lalki i o twarzy wróżki. Jej odrzucone bikini leżało na płytkach tarasu, stanowiąc mokrą plamę w słońcu. Krople wody, niczym drobne klejnociki, pokrywały jej kremowe pośladki. Przedstawiała obraz niewinności i zarazem wschodniego erotyzmu.

– To był Steyner – rzekł Andrew. – Doniósł, że dotarli do Big Dipper.

Grubas nie spojrzał na niego. Z ogromną uwagą kontynuował nakładanie farby na płótno.

– Proszę cię, moja droga, podnieś prawe ramię, zakrywasz zupełnie swoje piękne piersi – polecił i dziewczyna natychmiast posłuchała.

Wreszcie odstał kilka kroków do tyłu i krytycznie przyglądał się swojej pracy.

– Możesz teraz odpocząć. – Wytarł pędzle, naga dziewczyna wstała. Przeciągnęła się jak kotka i wskoczyła do basenu. Wypłynęła na powierzchnię z mokrymi włosami, gładko przylegającymi do głowy, przypominającymi teraz futro wydry, i popłynęła wolno na drugi koniec basenu.

– Telegrafuj do Nowego Jorku, Paryża, Londynu, Tokio i Berlina... i podaj nasze szyfrowane słowo „Ghotic” – polecił Andrew. Było to słowo, które spuści ze smyczy działanie powodujące zniżkę akcji na finansowych rynkach całego świata. Po otrzymaniu depechy agencji w głównych miastach rozpoczną wyprzedaż akcji kompanii kopalni położonych na polach Kitchenerville i będą je sprzedawać milionami.

– Potem poleć Steynerowi, żeby usunął Ironsidesa i przewiercił się przez zaporę.

* * *

Manfred odebrał telefon od Andrew na bezpośredniej linii. Wysłuchał polecenia i siedział spokojnie jak czająca się do ataku jaszczurka. Śledząc możliwe błędy roztrząsał metodę ataku w najdrobniejszych szczegółach. Nie było żadnych słabych punktów.

Nadchodził czas skupowania akcji Sonder Ditch. Wezwał przez interkom sekretarkę i polecił jej telefonować pod pewne numery do Cape Town, Durbanu i do samego Johannesburga. Chciał załatwić skup akcji za pośrednictwem wielu maklerów, aby nie wyglądało na to, że jedna osoba

skupuje wszystkie akcje. W grę wchodził również problem kredytu; na zakup akcji nie miał gwarancji bankowej. Maklerzy skupowali dla niego akcje biorąc pod uwagę jego znane nazwisko, reputację i pozycję w CRC. Manfred nie mógł zlecić skupu akcji jednej tylko firmie, w takim bowiem wypadku musiałby dać jej jakieś zabezpieczenie. A doktor Manfred Steyner nie miał do zaoferowania żadnego zabezpieczenia.

Złożył więc średniej wielkości zamówienia w różnych firmach. O trzeciej po południu Manfred zlecił zakup akcji o wartości trzech czwartych miliona randów. W żaden sposób nie mógłby zapłacić za nie, ale wiedział, że nigdy nie będzie musiał tego robić. Kiedy sprzeda je za kilka tygodni, będą miały podwójną wartość.

W kilka minut po ostatniej rozmowie z firmą Swerling i Wright w Cape Town jego sekretarka zgłosiła się w intercomie.

– S.A.A. potwierdziła pańską rezerwację na boeinga do Salisbury. Lot numer 126, jutro o dziewiątej rano. Zarezerwowali też powrotny do Johannesburga, na Rhodesian Airways Viking, jutro o szóstej wieczorem.

– Dziękuję – Manfred żałował straconego dnia, ale było to konieczne, żeby Teresa uwierzyła, iż odleciał do Europy. Ona musi być świadkiem jego odlotu samolotem S.A.A. – Proszę połączyć mnie z żoną.

– Tereso – powiedział, gdy się zgłosiła – wydarzyło się coś ważnego. Jutro rano muszę lecieć do Londynu. Obawiam się, że nie będzie mnie na święta.

Jej zdziwienie i żal nie były zbyt przekonujące. Razem z Ironsidesem zaaranżowała już wszystko na czas jego nieobecności. Manfred był o tym przekonany.

„Wszystko układa się bardzo dobrze”, pomyślał odkładając słuchawkę. „Tak, istotnie, bardzo dobrze”.

ROZDZIAŁ 58

Daimler podjechał pod portyk portu lotniczego i szofer otworzył drzwi wypuszczając Terry, a potem Manfreda.

Kiedy bagażowy wziął walizki z bagażnika daimlera, Manfred rzucił szybkie spojrzenie na parking. O tej wczesnej porze zapełniony był zaledwie do połowy. Na dalekim krańcu parkował kremowy volkswagen z numerami Kitchenerville. Wszyscy dyrektorzy Sonder Ditch zawsze mieli służbowe kremowe volkswageny.

„Pszczółki zlatują się do miodu”, pomyślał Manfred i uśmiechnął się posepnie. Ujął Terry pod ramię i poprzedzani przez bagażowego dźwigającego walizkę z krokodylej skóry, skierowali się do głównej hali portu lotniczego.

Terry czekała, aż Manfred przejdzie formalności biletowe i paszportowe. Zewnętrznie przybrała wygląd smutnej posłusznej żony, ale ona również widziała na parkingu volkswagena i wewnątrz gotowała się z radości. Rzucając dyskretne spojrzenia ponad okularami słonecznymi wypatrywała w tłumie szerokiej w ramionach postaci.

Zdawało się, że minęły wieki, zanim wreszcie została sama na tarasie obserwacyjnym, z trzepocącym na wietrze płaszczem z cielej skóry i rozwianymi włosami. Długi, podobny do rekina, boeing przyczał się na odległym krańcu pasa startowego i kiedy zaczął kołować, Terry odwróciła się od bariery i ruszyła w kierunku wejścia do hali dworcowej.

Rod czekał na nią tuż za drzwiami i chwytając w objęcia uniósł w górę.

– Mam cię!

Machając w powietrzu nogami objęła go za szyję i pocałowała. Ludzie przechodzący obok nich zatrzymywali się z uśmiechem i na szczycie schodów zrobił się mały korek.

– Chodźmy – poprosiła – nie możemy stracić nawet minuty.

Postawił ją na nogi i pobiegli schodami w dół, trzymając się za ręce. Terry zatrzymała się tylko po to, aby odesłać szofera i potem pobiegli przez parking, jak dzieci wypuszczone ze szkoły, i wskoczyli do volkswagena. Bagaż leżał na tylnym siedzeniu.

– Jedź – powiedziała – jedź tak szybko, jak tylko możesz.

Dwadzieścia minut później Rod zahamował z piskiem opon przed hangarem znajdującym się na prywatnym lotnisku.

Dwusilnikowa cessna stała na nawierzchni ze smołowanego żuźla. Oba silniki pracowały na jałowych obrotach i mechanik rozpoznając Terry zeskoczył z kokpitu.

– Halo, Terry, przyjechałaś w sam raz – powitał ją.

– Halo, Hank. Widzę, że już ją rozgrzałeś. Jesteś cudowny!

– Wyznaczyłem też plan lotu. Wszystko dla mojej najmilszej klientki. – Mechanik, tęgi siwiejący niski mężczyzna, z ciekawością przyglądał się Rodowi.

– Pomogę wnieść bagaż – rzekł.

W czasie ładowania bagażu Terry usadowiła się w kokpicie i rozmawiała z wieżą kontrolną.

Rod wspiął się obok niej na siedzenie pasażera.

Terry wyłączyła radio i pochylając się nad kolanami Roda powiedziała do Hanka:

– Dziękuję, Hank. – Przerwała i po chwili dodała szybko: – Hank, jeżeli ktoś cię spyta, byłam tu sama, okay?

– Okay. – Hank uśmiechnął się do niej. – Szczęśliwego lądowania. –
Zatrzasnął drzwiczki kokpitu i Terry zaczęła kołować na pas startowy.

– Twój? – spytał Rod. Ten samolot wart był sto tysięcy randów.

– Pops dał mi go na urodziny – odparła Terry. – Podoba ci się?

– Niebrzydki – przyznał Rod.

Terry odwróciła samolot pod wiatr, nacisnęła hamulce, dała silnikom pełne obroty, sprawdzając, jak grają.

Nagle Rod uzmysłowił sobie, że znajduje się w rękach kobiety pilota. Siedział spokojnie z napiętymi nerwami.

– Start – rzekła Terry i puściła hamulce. Cessna wystrzeliła do przodu, Rod chwycił mocno poręcze fotela i zamarł z wzrokiem wbitym przed siebie.

– Odpręż się, Ironsides – poradziła mu Terry, nie odwracając oczu od pasa startowego. – Latałam już, kiedy miałam szesnaście lat.

Na trzech tysiącach stóp wyrównała i łagodnie wzięła kurs na wschód.

– I co, nie bolało, prawda? – uśmiechnęła się bokiem ku niemu.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną – stwierdził. – Potrafisz robić różne sztuczki.

– Poczekaj jeszcze – ostrzegła go. – Jeszcze nic nie widziałeś!

Lecieli w milczeniu, aż Highveld pozostał za nimi, i znaleźli się nad gęstym zielonym materacem Bushveldu.

– Rozwiódę się z nim – przerwała milczenie i Rod nie był zaskoczony, że ich właściwie nastrojone umysły przekazują sobie myśli telepatycznie. Właśnie w tej chwili też myślał o jej mężu.

– Dobrze – odpowiedział.

– Uważasz, że miałabym z tobą szansę, gdybym to zrobiła?

– Jeżeli zagrasz odpowiednio swoimi kartami, to może będziesz miała szczęście.

– Zrozumiała świnia – stwierdziła. – Nie mam pojęcia, za co cię kocham.

– A kochasz? – spytał.

– Tak.

– Ja ciebie też.

I znowu zapadło pełne zadowolenia milczenie. Potem Terry pochyliła cęśną w płytkie schodzenie w dół.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Rod.

– Obniżam się, żeby popatrzeć na zwierzęta.

Lecieli nisko nad oliwkowozielonym buszem, poprzecinanym płaszczyznami złotobrazowej trawy.

– Tam – rzekł Rod, wskazując przed siebie. Przez pustą przestrzeń przesuwała się linia czarnych tłustych robaczków. – Bawoły!

– I tam – Terry wskazała na lewo.

– Zebry i gnu – rozpoznał Rod. – A tam żyrafa. – Jej długa jak łodyga szyja przypominała peryskop. Kiedy samolot przelatywał nad nią z hałasem, zaczęła biec niezgrabnie na sztywnych nogach.

– Przylecieliśmy – Terry wskazała parę okrągłych granitowych kopców, rysujących się przed nimi na horyzoncie. Były tak symetryczne jak piersi młodej dziewczyny i gdy zbliżyli się, Rod dostrzegł w przerwie między kopcami budynek kryty strzechą. Za nim widać było wycięty wśród drzew długi prosty pas lądowiska i dostrzegli powiewający na słupie gruby biały rękaw wskazujący kierunek wiatru.

Terry cofnęła drążek i okrążyła zabudowania. Na łące pół tuzina małych figurek machało rękoma w stronę cęśny i kiedy na nie patrzyli zauważyli, że dwie z nich wskoczyły do przypominającego zabawkę landrovera i ciągnąc za sobą wstęgę białego kurzu podjechały do pasa lądowiska.

– To Hans – wyjaśniła Terry. – Teraz możemy lądować. Wyrównała cressnę do lądowania i pozwoliła jej powoli opadać z silnikami na wolnych obrotach. Ziemia wydawała się podchodzić pod samolot, podwozie zadrżało i zaczęli kołować na spotkanie zbliżającego się szybko landrovera.

Mężczyzna, który wysiadł z niego miał siwe włosy i był brązowy jak stara skóra.

– Mrs Steyner! – nie próbował ukryć radości. – Już tyle czasu. Gdzie się pani podziewała?

– Byłam zajęta, Hans.

– Nowy Jork? A po co, do diabła? – zapytał Hans ze zdumieniem.

– To jest Mr Ironsides – przedstawiła Terry. – Rod, to Hans Kruger.

– Van Breda? – pytał Hans potrząsając ich ręce. – Jest pan spokrewniony z van Bredą z Kaledonii?

– Nie sądzę – mruknął cicho Rod i spojrzał błagalnie na Terry.

– Jest głuchy jak pień – wyjaśniła. – W 1930 roku pękły mu bębenki uszu od spóźnionego wystrzału zacinającej się broni. Nie chce się do tego przyznać.

– Cieszę się, że to słyszę – pokiwał głową uszczęśliwiony Hans. – Zawsze byłaś zdrową dziewczynką. Pamiętam, kiedy byłaś małym dzieciątkiem.

– Niemniej jest bardzo kochany, tak jak i jego żona. Opiekują się domem myśliwskim Popsa – powiedziała Terry do Roda.

– Wspaniały pomysł! – zgodził się serdecznie. – Zabierzemy wasze bagaże do landrovera i pojedziemy do domu. Założę się, że Mr van Breda z przyjemnością napije się czegoś – i mrugnął do Roda.

Dom myśliwski miał dach pokryty strzechą, zbudowany był z nie obrobionych bali drewnianych, kamienną posadzkę pokrywały skóry zwierząt i kilimy. Olbrzymi kominek otaczały stojaki na strzelby, na

których umieszczono pięćdziesiąt wspaniałych okazów sztuki rusznikarskiej. Meble były masywne, typowo męskie, niskie i obite skórą. Ściany, pokryte hiszpańskim tynkiem, obwieszane były trofeami, rogatymi łbami i tubylczą bronią.

Szerokie drewniane schody prowadziły na górę, gdzie mieściły się sypialnie, do których wchodziło się z galerii usytuowanej ponad głównym pokojem. Sypialnie miały klimatyzacje i kiedy pozbyli się Hansa razem z jego grubą żoną, Rod i Terry sprawdzili, czy łóżko jest odpowiednie.

W półtoorej godziny później łóżko zostało ocenione jako nadzwyczaj zadowolające i kiedy zeszli na dół, aby wydać następną opinię o gigantycznym lunchu, który przygotowała dla nich gruba Mrs Kruger, Terry zauważyła:

– Czy przyszło panu kiedyś do głowy, Mr Ironsides, że pańskie niektóre części ciała – poza bokami – przypominają żelazo? – Zachichotała i dodała cicho: – I dzięki Bogu!

Lunch był ciężkim doświadczeniem i Terry stwierdziła, że nie ma większego sensu wychodzić przed czwartą, ponieważ zwierzyna będzie jeszcze ukryta przed upałem, wrócili więc na górę.

Po czwartej Rod wybrał ze stojaka strzelbę magnum 375 Holland and Holland, naładował pas nabojami wyjętymi z szuflady i poszli do landrovera.

– Jak duży jest ten obszar? – spytał Rod i skierował landrovera w stronę dziewiczego buszu.

– Możesz jechać dwadzieścia mil w jakimkolwiek kierunku i to wszystko jest nasze. Granica naszego terenu styka się z Parkiem Narodowym Krugera – odparła Terry.

Jechali brzegiem rzeki, omijając piaszczyste łąchy, na których rosły trzciny o puszystych czubkach. Woda płynęła wartko między błyszczącymi

czarnymi skałami, potem rozlewała się w powolne, leniwe stawy.

Zauważyli tuzin rozmaitych dużych zwierząt i zatrzymywali się co kilkaset jardów, aby przyjrzeć się jakiemuś pięknemu okazowi.

– Pops wyraźnie nie pozwala tutaj polować – zauważył Rod, kiedy byk kudu z długimi kręconymi rogami i uszami jak trąbki przyglądał im się z odległości trzydziestu stóp wielkimi wilgotnymi oczami. – Tutejsza zwierzyna jest tak oswojona jak bydło domowe.

– Tu wolno strzelać tylko członkom rodziny – przyznała Terry. – A ty zaliczasz się do rodziny.

Rod potrząsnął przecząco głową.

– To byłoby morderstwo – i wskazał kudu. – Ten stary przyjaciel mógłby mi jeść z ręki.

– Cieszę się, że tak to odczuwasz – powiedziała Terry i wolno pojechali dalej.

Wieczór nie był dość chłodny, aby zapalać kłody na olbrzymim jak jaskinia palenisku kominka. Jednak zapalili je, bo Rod zdecydował, że będzie przyjemnie siedzieć przed dużym buchającym ogniem, pić whisky i tulić dziewczynę, którą się kocha.

ROZDZIAŁ 59

Kiedy inspektor Grobbelaar opuścił kubek z herbatą, na wążach pozostał ślad śmietanki, zlizął ją ostrożnie i spojrzał na sierżanta Hugo.

– Kto następny? – zapytał. Hugo zerknął do notesu.

– Philemon N’gabai – odczytał i Grobbelaar westchnął.

– Numer czterdzieści osiem. Jeszcze tylko szesnastu.

– Pojedynczy rozmazany odcisk palca na kawałku szkła z rozbitej butelki ze złotem został zbadany przez wydział daktyloskopijny. Dali mu listę, na której były sześćdziesiąt cztery nazwiska ludzi, mogących pozostawić ten odcisk. Każdy z nich musiał być przepytany, ale jak do tej pory była to daremna praca.

– Co wiemy o naszym przyjacielu Philemonie? – spytał Grobbelaar.

– Ma mniej więcej czterdzieści lat. Jest Shangaanem z Mozambiku. Wzrost pięć stóp siedem i pół cala, waga 146 funtów. Kuleje na prawą nogę. Dwa wyroki: w 1956 roku – 60 dni za kradzież roweru, w 1962 roku – 90 dni za kradzież aparatu fotograficznego z zaparkowanego samochodu – czytał Hugo z dokumentów.

– Ma sto czterdzieści sześć funtów, jakoś nie mogę wyobrazić go sobie, jak łamie karki. Ale poślij po niego, pogadamy sobie – zasugerował Grobbelaar i znów umoczył wąż w kubku z herbatą. Hugo dał znak głową sierżantowi Afrykaninowi, a on otworzył drzwi, aby wpuścić Kuternogę i eskortującego go afrykańskiego policjanta.

Zbliżyli się do biurka, przy którym siedzieli detektywi w samych tylko koszulach. Wszyscy milczeli. Detektywi poddawali go milczącym

ogłędzinom, chcieli ustawić go w najmniej korzystnym położeniu, jak to tylko było możliwe.

Grobbelaar chlubił się tym, że był zdolny wywąchać nieczyste sumienie na pięćdziesiąt kroków, a Philemon N'gabai już z daleka śmierdział winą. Nie mógł ustać spokojnie, pocił się obficie, jego oczy biegały od podłogi do sufitu. Był winny jak cholera, ale niekoniecznie morderstwa. Grobbelaar nie miał pewności, potrząsnął głową i zapytał:

– Dlaczego to zrobiłeś. Philemonie? Znaleźliśmy odcisk twojego palca na butelce ze złotem.

Kuternoga zareagował natychmiast i to dramatycznie. Otworzył usta, zaczął się trząść, ślina kapała mu na brodę. Po raz pierwszy skierował na twarz Grobbelaraa wytrzeszczone oczy.

„Halo! Halo!”, pomyślał Grobbelaar, prostując się na krześle w najwyższym napięciu, wyczuł, że siedzący obok Hugo również sprężył się.

– Wiesz, co się robi z ludźmi, którzy zabijają, Philemonie? Zabiera się ich daleko, do... – Grobbelaar nie miał nawet szansy dokończyć.

Kuternoga z wyciem runął do drzwi. To, że kulał nie miało znaczenia, był szybki jak łasica. Otworzył drzwi, zanim zdołał go złapać sierżant Bantu i wciągnąć charczącego i bulgocącego z powrotem do pokoju.

– Złoto tak, ale nie człowiek! Nie zabiłem Portugalczyka – wykrztusił, a Grobbelaar i Hugo wymienili spojrzenia.

– Opłaciło się! – wykrzyknął Hugo z głęboką satysfakcją.

– Strzał w środek tarczy! – zgodził się Grobbelaar i uśmiechnął, co było u niego rzadkim i szybko mijającym zjawiskiem.

ROZDZIAŁ 60

– Widzi pani, tutaj jest małe światełko, które zapala się kiedy pani chce zobaczyć, gdzie jest dziurka do kluczyka – powiedział sprzedawca, pokazując stacyjkę w tablicy rozdzielczej.

– Och, Johnny, zobacz! – zachwyciła się Hettie, ale Johnny Delange schował głowę pod maskę dużego błyszczącego forda mustanga.

– Dlaczego pani nie wsiądzie do niego? – podsunął sprzedawca. „On jest naprawdę bardzo miły”, stwierdziła Hettie. „Ma takie rozmarzone oczy i piękne bokobrody”.

– O, tak! Z przyjemnością – wkręciła pupkę na pokryte skórą kubelkowe siedzenie sportowego samochodu. Spódniczka podjechała w górę i marzący wzrok sprzedawcy przesunął się wzdłuż jej brzegu.

– Może pan odpowiednio ustawić fotel? – zapytała Hettie, patrząc na niego niewinnie.

– Tutaj... pokażę pani – pochylił się do wewnątrz mustanga i sięgnął poprzez kolana Hettie. Musnął ręką udo, a Hettie udała, że tego nie dostrzega. Pachniał wodą po goleniu Old Spice.

– Teraz lepiej! – zamruczała Hettie, ułożyła się wygodniej i udało jej się to zrobić bardzo prowokacyjnie i obnażająco.

Sprzedawca poczuł się sprowokowany i ociągał się z zabraniami ręki, która właśnie dotykała nagiego uda.

– Jaki stopień sprężania ma ten model? – zapytał Johnny Delange, wychylając się spod maski, sprzedawca szybko wyprostował się i podszedł do niego.

W godzinę później Johnny podpisał umowę kupna i oboje z Hettie potrząsnęli rękę sprzedawcy.

– Pozwólcie państwo, że dam wam moją wizytówkę – nalegał sprzedawca, ale Johnny już wrócił do swojej nowej zabawki i wizytówkę wzięła Hettie.

– Proszę do nas zatelefonować, jeżeli będzie pani czegoś... potrzebować ode mnie – powiedział z naciskiem sprzedawca.

– „Dennis Langley. Kierownik Działu Sprzedaży” – przeczytała głośno Hettie. – O, rany! Jest pan bardzo młody jak na kierownika.

– Nie taki znów młody!

– Założymy się – zamruczała Hettie i jej oczy stały się nagle wyzywające. Oblizwała czubkiem języka wargi. – Nie zgubię jej – przyrzekła i schowała wizytówkę do torebki, podeszła do mustanga, zostawiając sprzedawcę ze złudną nadzieją, wizją kołyszących się bioder i stukających o posadzkę szpilek.

* * *

Pędzili nowym mustangiem aż do Potchefstroom; Hettie zachęcała Johnny’ego, aby prześcigał wszystkie wolniejsze pojazdy o cal przed nadjeżdżającymi z przeciwka. Z głośnym trąbieniem wyprzedzał na wzniesieniach, wystawiając upierścienione palce w stronę kierowców, protestujących gwałtownymi sygnałami klaksonów. W powrotnej drodze mieli na liczniku 125 mil na godzinę. Gdy dojeżdżali, było już ciemno i Johnny musiał ostro zahamować, aby nie uderzyć w tył wielkiego czarnego daimlera, który stał przed frontowymi drzwiami ich domu.

– Jezus – wykrztusił Johnny. – To karetka doktora Steynera.

– Kto to jest doktor Steyner? – dopytywała się Hettie.

- Do diabła, przecież to jedna z grubych ryb w Głównym Biurze.
- Nie wygłupiaj się! – zganiła go Hettie.
- Naprawdę! – potwierdził Johnny. – Jest jedną z najgrubszych ryb.
- Większą niż Mr Ironsides? – dyrektor generalny Sonder Ditch stał w jej pojęciu na najwyższym szczeblu drabiny służbowej.
- To płotka, pestka w porównaniu z tym facetem. Spójrz tylko na tę jego karetkę, jest pięć razy lepsza od rozklekotanego starego maserati.
- O rany! – Do Hettie przemawiał tego rodzaju argument. – Czego on od nas chce?
- Nie wiem – przyznał Johnny z ukłuciem niepewności.
- Chodźmy i zobaczymy.

* * *

Salon w mieszkaniu Delange'ów nie był dobrym tłem dla ukazania we właściwym splendorze doktora Steynera.

Siedział na brzegu fotela pokrytego złoto-szkarłatnym plastykiem, sztywny i niepewny jak sfera chińskich psów stojących na każdym stole i półce etażerki, albo jak porcelanowe dzikie kaczki, które odlatywały w niknącą perspektywę bladuróżowej ściany. Kontrastując ze zwisającą u sufitu świąteczną dekoracją i wesołymi kartkami z życzeniami, które Hettie przypięła do zielonej wstążki, czarny homburg Manfreda i płaszcz z astrachańskim kołnierzem, wydawały się niepotrzebnie surowe.

- Proszę wybaczyć to moje najście – powitał ich nie wstając. – Nie było was w domu i wpuściła mnie wasza służąca.
- Ależ naturalnie, witamy – uśmiechnęła się z afektacją Hettie.
- Oczywiście, doktorze Steyner – poparł ją Johnny.

– Ach! Zatem wiecie, kim jestem? – zapytał z satysfakcją Manfred. To mu ułatwia zadanie.

– Naturalnie, że wiemy – Hettie podeszła wyciągając rękę.

– Jestem Hettie Delange, jak się pan miewa?

Manfred ze zgrozą zauważył, że jej nie ogoloną pachę porastają wilgotne od potu kręcone rude włoski. Hettie nie kąpała się od wczorajszego wieczoru. Poruszał nozdrzami walcząc z napływającą falą mdłości.

– Delange, chciałem z panem porozmawiać na osobności.

– Odsunął się od przytłaczającej obecności Hettie.

– Jasne – odezwał się Johnny pełen chęci przypodobania się. – Może zrobisz kawę, kochanie – poprosił Hettie.

* * *

Dziesięć minut później Manfred padł z ulgą na wygodne tylne siedzenie daimlera. Zignorował Delange'ów, którzy machali mu rękami na pożegnanie i zamknął oczy. Załatwione. Jutro rano Johnny Delange zjedzie na szychę i zacznie przewiercać gładką zieloną skałę Big Dipper.

Do południa Manfred stanie się właścicielem ćwierci miliona akcji Sonder Ditch.

Za tydzień zostanie bogatym człowiekiem.

Za miesiąc rozwiedzie się z Teresą Steyner. Z wielkim rozgłosem oskarży ją o zdradę. Nie będzie jej już potrzebował.

Szofer wiózł go z powrotem do Johannesburga.

ROZDZIAŁ 61

Zaczęło się to na johannesburskiej giełdzie.

Przez kilka minionych miesięcy prawie cała jej aktywność skupiała się w kantorach przemysłowych, koncentrując się wokół grupy towarzystw Alexa Sagova i ich negocjacji dotyczących fuzji. Jedyłą iskrę życia w sprawach kopalń i kopalnianych finansów tliła Anglo–Amerykańska Korporacja i De Beers Deferrend, firma posiadająca prawa do emisji akcji. Ale teraz to wszystko nie było już aktualne i obecnie ceny ustaliły się na nowych poziomach. Dlatego nikt już nie spodziewał się żadnych fajerwerków, gdy zaczęto wywoływać w kantorach kopalnie złota. Maklerzy tłoczyli się i zachowywali spokojnie, kiedy wybuchła pierwsza bomba.

– Kupuję Sonder Ditch – z końca hallu.
– Kupuję Sonder Ditch – głośniej.
– Kupuję! – Tłum drgnął, głowy odwróciły się.
– Kupuję. – Maklerzy podnieceni zaczęli się kręcić i zbijać w małe grupki, rozdzielali się i znów łączyli, kiedy zakończono transakcje. Ceny podskoczyły o pięćdziesiąt centów i jeden z maklerów pobiegł na konsultacje z szefem.

Gdzie indziej makler klepnął drugiego w plecy, aby odwrócić jego uwagę. Pośpiech stał się zaraźliwy.

– Kupuję! Kupuję!
– Co tu się, u diabła, dzieje?
– Skąd ten nagły run?
– To tylko miejscowe...

Ceny skoczyły do dziesięciu randów za akcję i wtedy zaczęła się prawdziwa panika.

– To kupują ci z za morza.

– Jedenaście randów!

Maklerzy ruszyli do telefonów z ostrzeżeniem dla wybranych klientów, że zaczyna się hossa.

– Dwanaście pięćdziesiąt. Nie, to tylko miejscowe kupowanie.

– Kupuj w najlepszym momencie. Kup pięć tysięcy. Urzędnicy wracali do sali z otrzymanymi przez telefon instrukcjami i rzucili się w wir histerycznego skupowania akcji.

– Jezu Chryste! Trzydzieście randów! Teraz sprzedawaj! Bierz zysk! Nie pójdą wyżej.

– Trzydzieście siedemdziesiąt pięć... To zakup zagraniczny. Kupuj w najlepszym momencie.

W pięćdziesięciu biurach maklerskich wokół kantorów, zawodowcy, którzy spędzali życie wisząc na taśmach telegrafów, wreszcie odzyskali równowagę i przeklinali siebie, że zostali nieświadomie oszukani wplątując się w tę spiralę hossy. Inni, bardziej przezorni, przeczuli taką zwykłą operację i wyprzedali zarówno akcje przemysłowe, jak i kopalniane. Ceny ogarnęła amokowa zwyżka.

O dziesiątej piętnaście odbyła się priorytetowa rozmowa biura ministra finansów z biurem prezydenta giełdy w Johannesburgu.

– Co zamierzacie zrobić?

– Jeszcze nie podjęliśmy decyzji. Nie zamierzamy zamykać operacji, jeśli to tylko będzie możliwe.

– Nie pozwólcie, żeby to zaszło zbyt daleko. Proszę o informacje.

Szesnaście randów i dalsza spirala wzrostu, a o jedenastej czasu południowoafrykańskiego włączyła się londyńska giełda. W ciągu

pierwszych piętnastu zwariowanych minut ceny podskoczyły w górę jak rakieta, analogicznie jak na rynku w Johannesburgu.

Potem nagle akcje Sonder Ditch zaczęły podlegać silnemu naciskowi sprzedaży. Nie tylko Sonder Ditch, ale wszystkie kopalnie złota Kompanii na terenach Kitchenerville zaczęły trząść się w posadach wraz ze wzrostem tego nacisku. Ceny skakały, spadały o kilka szylingów, szły w górę, znowu spadały, aby wreszcie zlecieć na łeb na szyję, obniżając się do wartości niższej niż w momencie otwarcia.

– Sprzedaję! – krzyczano. – Sprzedaję za najwyższą!

– W ciągu paru minut świeżo powstałe papierowe fortuny rozpadły się.

Kiedy cena akcji kopalni złota Sonder Ditch spadła do pięciu randów siedemdziesięciu pięciu centów, Komitet Giełdy Johannesburgskiej zamknął operacje w interesie dobra państwa, zapobiegając dalszej sprzedaży i zakupom.

Ale w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie kontynuowano transakcje, aby uśmiercić akcje południowoafrykańskich kopalni złota.

* * *

W klimatyzowanym biurze wieżowca mały łysy mężczyzna walił pięścią w blat biurka starszego od niego rangą oficera.

– Mówiłem, żeby mu nie ufać – prawie płakał ze złości.

– To tłusta zachłanna glista. Nie wystarczy mu milion dolarów! Nie, on musiał nam zepsuć cały interes!

– Pułkowniku, proszę – mitygował go szef. – Opanuj się. Oceńmy tę operację finansową uczciwie i obiektywnie.

Łysy opadł na krzesło i trzęsącymi się rękoma próbował zapalić papierosa, ale zanim zdążył przytknąć do niego płomień, zapalniczka

zgasła.

– To widać na milę. – Ponowił wysiłek i szybko zapalił papierosa. – Pierwsze ożywienie na giełdzie w Johannesburgu spowodowane było przebiegłością doktora Steynera. Kupował akcje na podstawie naszego symulowanego sprawozdania. Było to zupełnie oczywiste i spodziewaliśmy się tego, prawdę mówiąc, nawet chcieliśmy, aby tak się stało. To odsuwa od nas wszelkie podejrzenia. – Jego papieros zgasł, czubek był mokry od splanowania. Odrzucił go i zapalił drugiego.

– Pięknie! Wszystko szło wspaniale, aż do tej pory. Doktor Steyner popełnił finansowe samobójstwo, a my zachowaliśmy się jak małe dzieci. – Ssał nerwowo papierosa. – A potem! A potem nasz tłusty przyjaciel nabiera nas podwójnie i zaczyna sprzedawać akcje Kitchenerville poniżej ich wartości. On chyba ich musiał puścić na rynek miliony!

– Czy możemy tak późno przerwać operację? – zapytał szef.

– Nie ma szans – łysy potrząsnął energicznie głową. – Posłałem naszemu grubasowi telegram z poleceniem zamrożenia prac w tunelu, ale wyobrażasz sobie, że on posłucha takiego rozkazu? Zaangażował w to miliony dolarów i na wszystkie sposoby, jakimi dysponuje, będzie próbował kontynuować tę inwestycję.

– Nie możemy ostrzec zarządu Kompanii Sonder Ditch?

– To wskazałoby dokładnie, że jesteśmy w to zamieszani, prawda?

– Hm! – szef kiwnął głową. – Możemy wysłać ostrzeżenie anonimowe.

– Kto by uwierzył?

– Masz rację – westchnął szef. – Musimy uszczelnić wszystkie luki i jakoś przetrwać ten sztorm. Siedzieć cicho i wszystkiemu zaprzeczać.

– To wszystko, co możemy zrobić.

Papieros znowu zgasł i na wąsach osiadły okruchy wilgotnego tytoniu. Łysy ponownie pstryknął zapalniczką.

– Tłusty zachłanny skurwiel! – mruknął.

ROZDZIAŁ 62

Johnny i Big King ramię w ramię wyjeżdżali na powierzchnię klatką szybu. To była dobra szychta. Mimo twardości serpentynu, co o pięćdziesiąt procent wydłużało czas wiercenia, mogli jednak tego dnia wykonać pięć odstrzałów. Johnny stwierdził, że przebili się już chyba więcej niż przez połowę Big Dipper. Teraz nie było szycht nocnych. Campbell wrócił na swój przodek i cała zasługa przebiccia się przypadnie wyłącznie Johnny'emu. Taka perspektywa podniecała go. Jutro przebije się w nieznane.

– Do jutra. Big King – powiedział, gdy wyjechali na powierzchnię i wyszli z klatki.

Rozdzielili się, Big King poszedł do domu noclegowego Bantu, Johnny na parking, do swego nowego błyszczącego mustanga.

Big King, nie przebierając się poszedł prosto do domu induny Shangaanów. Stał w drzwiach, a induna spojrzał na niego znad listu, który właśnie pisał.

– Jakie nowiny, ojczy? – zapytał Big King.

– Bardzo złe – odrzekł cicho induna. – Policja zabrała Kuternogę.

– Kuternoga mnie nie wyda – stwierdził bez przekonania Big King.

– Myślisz, że on umrze za ciebie? – spytał induna. – On musi dbać o siebie.

– Ja nie chciałem go zabić – usprawiedliwiał się żałośnie Big King. – Nie chciałem zabić Portugalczyka, on miał broń.

– Wiem, mój synu. – Głos induny był ochryply z żalu, że nie może mu pomóc.

Big King odwrócił się od drzwi i poszedł przez trawnik do umywalni. Nie szedł już lekko i sprężysto, kołysząc się jak zwykle z nogi na nogę. Szedł niepewnie, pochylony, wlokąc za sobą nogi.

ROZDZIAŁ 63

Manfred Steyner siedział przy swoim biurku. Położył ręce na leżącym przed nim bibularzu, na kciuku miał turban z białego bandażu. Jedynym zauważalnym ruchem było równomierne pulsowanie tętnicy na szyi i nerwowe drganie powieki jednego oka. Był śmiertelnie blady i delikatny połysk potu sprawiał, że wyglądał jak wyrzeźbiony z wymytego marmuru.

Radio nastawione było tak głośno, że głos spikera huczał i odbijał się od pokrytych boazerią ścian.

„Punkt kulminacyjny nastąpił o jedenastej czterdzieści pięć czasu południowoafrykańskiego, kiedy prezydent giełdy johannesburskiej oznajmił, że zamyka giełdę i zawiesza wszystkie dalsze operacje. Ostatnie doniesienia z tokijskiej giełdy informowały, że akcje kopalni złota w Sonder Ditch były sprzedawane w cenie odpowiadającej czterem random i czterdziestu centom. Należało to porównać z ceną otwarcia – rano na giełdzie w Johannesburgu – która wynosiła dziewięć randów i czterdzieści pięć centów. Rzecznik Rządu Południowoafrykańskiego stwierdził, że chociaż nie istnieją żadne przyczyny tych dziwnych fluktuacji cen, okazało się, że minister kopalń, doktor Carel De Wet, zażądał zwołania komisji, aby przeprowadziła pełne dochodzenia”.

Manfred Steyner wstał od biurka i poszedł do łazienki. Ze swoimi zdolnościami do cyfr nie potrzebował ani pióra ani papieru, aby podliczyć, że akcje, które nabył dzisiaj rano, wieczorem straciły na wartości więcej niż milion randów.

Ukląkł przed ustępem na kafelkowej posadzce i zaczął wymiotować.

ROZDZIAŁ 64

Niebo gwałtownie pociemniało, słońce dawno już zapadło za płonący horyzont.

Rod usłyszał szum skrzydeł i wyteżył wzrok, wpatrując się w ciemność. Nadleciały szybko, w szyku litery „V”, obniżając lot nad rozlewiskiem rzeki. Podniósł się z ukrycia i nastawił w ich kierunku strzelbę, biorąc cel poniżej linii ich lotu.

Wypalił z obu luf. Bach! Bach! Kaczka wyskoczyła w górę, złamała szyk i zaczęła kręcić się szumiąc skrzydłami.

– Do diabła! – rzekł Rod.

– Co się stało, ślepoto, nie trafiłeś? – zapytała Terry.

– Marne światło.

– Wymówki! Wymówki! – Terry stała obok niego i Rod zamachnął się udając, że chce ją uderzyć pięścią w policzek.

– Dość już krytykowania, kobieto. Idziemy do domu. Niosąc strzelbę i pęk zabitych kaczek szli w ciemności wzdłuż brzegu, do czekającego landrovera.

Kiedy wrócili do domu zapadły już zupełne ciemności.

– Ale to był wspaniały dzień! – mruknęła sennie Terry. – Zawsze będę ci wdzięczna... chociażby za to, że nauczyłeś mnie cieszyć się życiem.

Wykapali się i przebrali. Na obiad jedli dziką kaczkę i ananasy z sałata z ogródka grubej żony Hansa. Potem wyciągnęli się przed kominkiem na lamparciej skórce i zrelaksowani patrzyli w milczeniu w ogień na kominku, szczęśliwi i zmęczeni.

– Mój Boże, już prawie dziewiąta – Terry spojrzała na zegarek. – Chętnie położyłabym się do łóżka, a pan, Mr Ironsides?

– Pozwól, że wpierw wysłucham dziennika o dziewiątej.

– Och, Rod! Tu nikt nie słucha dziennika. To kraina baśni! Rod włączył radio i na pierwsze słowa, jakie usłyszeli, skamienieli. Usłyszeli bowiem: Sonder Ditch.

W milczeniu ze zgrozą słuchali pełnego sprawozdania. Rysy twarzy Roda stwardniały jak granit, usta zacisnęły się w cienką ponurą linię. Kiedy sprawozdanie skończyło się, Rod zgasił radio i zapalił papierosa.

– Stało się coś złego – rzekł. – Coś bardzo złego. Przykro mi, Terry, ale musimy wracać. Tak szybko, jak tylko to możliwe. Muszę wrócić do kopalni.

– Wiem – natychmiast zgodziła się Terry. – Ale, Rod, ja nie mogę startować w ciemności. Nie mamy oświetlonego pasa.

– W takim razie wylecimy o brzasku.

Tej nocy mało spali. Terry budząc się czuła, że Rod nie śpi, że leży bezsennie pełen niepokoju. Dwa razy słyszała, jak wstawał i szedł do łazienki.

Obudziła się przed świtem z męczącego snu i zobaczyła jego sylwetkę na tle okna. Palił papierosa za papierosem i patrzył w ciemność. Była to pierwsza noc, którą spędzili razem i nie kochali się. O świcie Rod był zmęczony i miał zapuchnięte oczy.

Wylecieli o ósmej i wylądowali w Johannesburgu krótko po dziesiątej.

Rod poszedł prosto do telefonu w biurze Hanka i odebrała go Lily Jordan.

– Miss Jordan, co się stało, u diabła? Czy wszystko w porządku?

– To pan, Mr Ironsides. Och! Dzięki Bogu! Dzięki Bogu, że pan wrócił. Stało się coś przerażającego!

ROZDZIAŁ 65

Przed dziewiątą Johnny Delange dwa razy rozsadził płaszczyznę ściany na przodku przebicia, wrzynając się o dalsze trzynaście stóp w szklistą zieleń zapory.

Doszedł do wniosku, że wierząc otwory strzałowe głębsze o dodatkowe trzy stopy mógłby osiągnąć lepszy efekt, co zaoszczędziłoby czas wiercenia w twardym serpentynie. Następny odstrzał miał nastąpić nie według zwykłych zasad, lecz eksperymentalnie, z podwójnym ładunkiem. Będzie mu potrzebna dodatkowa ilość materiału wybuchowego.

– Big King! – wrzasnął, przekrzykując łoskot pracujących świdrów. – Zabieraj swoich ludzi do stacji przy szybie. Przynies sześć skrzynek dynagelu.

Obserwował Big Kinga i jego chłopców, jak wycofywali się wzdłuż chodnika, potem zapalił papierosa i odwrócił się do swoich wiertników, którzy ustawili się przed płaszczyzną skały, pocąc się przy świdrach. Ciemna skała zapory pochłaniała światła ich elektrycznych lamp na hełmach. To czyniło przodek przebicia jakimś ponurym miejscem, wzbudzało jakieś złe przeczucie.

Johnny zaczął myśleć o Davym. Nagle poczuł, że ogarnia go niepokój i poruszył się niespokojnie. Widział, jak powoli unoszą mu się włoski na rękach i pojawia się gęsia skórka. Davy jest tutaj. Nagle uświadomił to sobie, był tego pewny. Skurczył się i zaczął trząść ze strachu. Obejrzał się szybko przez ramię. Tunel był pusty i Johnny zaśmiał się chorobliwie.

– Shaya, madoda – krzyknął niepotrzebnie głośno do wiertników. Nie mogli go słyszeć przez jazgot wiertel, ale dźwięk własnego głosu pomógł

mu opanować się.

Jednak wrażenie napierającego podniecenia ciągle w nim tkwiło. Czuł, że Davy jeszcze tu jest i próbuje mu coś powiedzieć.

Johnny walczył z tym wrażeniem. Ruszył szybko do przodu i stanął blisko wiertników, jakby szukał uspokojenia w ich fizycznej obecności. Ale to nie pomogło. Jego nerwy napięte były do ostatnich granic i czuł, że zaczyna się pocić.

Nagle wiertnik, który pracował w środku, zatoczył się do tyłu.

– Hej! – Johnny krzyknął do niego i wtedy zobaczył, że wokół stalowego wiertła zaczęła wypływać woda cienkim strumieniem. Coś przebijało się otworem wiertniczym, coś, co przypominało wyciskaną z tubki pastę do zębów. I to właśnie odepchnęło chłopca do tyłu.

– Hej! – Johnny podszedł bliżej i w tym momencie wielki metalowy świder wystrzelił z otworu jak pocisk armatni. Odciął głowę wiertnika z taką siłą, że jego ciało zostało odrzucone daleko w chodnik, a krew oblała ciemną skalną ścianę.

Z otworu wytrysnął strumień wody. Wypływał pod takim ciśnieniem, że kiedy dosięgnął piersi asystenta wiertnika, zgniótł mu żebra tak, jakby uderzył go pędzący samochód.

– Uciekać! – wrzasnął Johnny. – Uciekać! – I wówczas płaszczyzna skały eksplodowała. Runęła w głąb tunelu z większą siłą, niż gdyby została wysadzona za pomocą dynagelu. Johnny Delange zginął na miejscu. Lecące z wodą skalne odłamki zmiażdżyły go na krwawą miazgę. Razem z nim zginęli wszyscy jego ludzie i natychmiast potem przebił się monstrualny wytrysk wody, porywając ze sobą zmiażdżone ciała i rzucając je w głąb tunelu.

* * *

Big King usłyszał nadchodzącą wodę w czasie, kiedy znajdował się w stacji przy szybie. Brzmiało to tak, jak pędzący w tunelu ekspres; stłumiony ryk nieokiełznanej siły. Woda pchała przed sobą powietrze tak, że od strony chodnika nadszedł huraganowy wichur, wzbijający chmury pyłu i różnych skalnych śmieci.

Big King i jego ludzie stali w oniemiałym przerażeniu do momentu, gdy czoło spienionej wody wystrzeliło z głębi tunelu niosąc ze sobą resztki ciał i pokruszone skały.

Wpadając w rozgałęzienie w kształcie litery „T” głównego chodnika transportowego na poziomie 66 spadła jej siła, ale mimo to ciągle jeszcze pędziła ku stacji szybu ścianą o wysokości dochodzącej do bioder.

– Tędy! – Big King ruszył pierwszy. Wskoczył na prowadzącą na wyższy poziom stalową drabinkę awaryjną.

Jego ludzie nie byli tak szybcy, woda uniosła ich i zgmiotła rzucając na stalową siatkę osłaniającą szyb. Szczyt fali wybuchł u stóp Big Kinga, próbował go wessać, ale Big King wyrwał się z tego uścisku i wywindował w bezpieczne miejsce.

Poniżej woda wlewała się do szybu jak do odpływu w wannie, tworząc wirujący lej, i z rykiem spadała poniżej poziomu 66.

ROZDZIAŁ 66

Zostawiając Terry na lotnisku, skąd miał ją odwieźć do domu mechanik Hank, Rod pojechał bezpośrednio do szybu numer 1 Sonder Ditch. Wyskoczył z volkswagena prosto w zebrany tam hałaśliwy tłum.

Był tam Dimitri z oczami szeroko otwartymi z przerażenia, a obok niego wznosił się jak czarna wieża Big King.

– Co się stało? – rzucił niecierpliwie Rod.

– Mów – rozkazał Dimitri Big Kingowi.

– Byłem przy szybie razem z moimi chłopcami. Z tunelu runęła rzeka wody, wielka rzeka wody, pędząca szybciej niż Zambezi w czasie przyboru; ryczała jak lew i zjadła wszystkich naszych ludzi. Tylko ja wdrapałem się wyżej.

– Uderzyliśmy w to wielkie coś, Rod – przerwał Dimitri. – Woda szybko się wlewa. Obliczamy, że za cztery godziny zaleje wszystkie wyrobiska do 66 poziomu.

– Kopalnia pusta? – zapytał Rod.

– Wszyscy na górze, z wyjątkiem Delange’a i jego chłopców. Oni byli tam w chodniku. Obawiam się, że zostali posiekani na kawałki – odparł Dimitri.

– Ostrzegłeś inne kopalnie, że może nastąpić jakaś eksplozja w kierunku ich obszaru robót?

– Tak, odwołują wszystkie szychty.

– Dobrze. – Rod z Dimitrim następującym mu na pięty poszedł do pokoju sterowania wybuchami. – Daj klucze i poszukaj głównego elektryka.

Za kilka minut trzech mężczyzn tłoczyło się w ciasnym betonowym pomieszczeniu kontrolnym.

– Sprawdź obwód specjalny – polecił Rod. – Chcę odpalić sieć ładunków blokujących tunel.

Elektryk szybko pracował przy tablicy kontrolnej. Po chwili spojrzał na Roda.

– Gotowe! – oznajmił.

– Włącz – Rod kiwnął głową.

Elektryk przekręcił włącznik. Wszyscy jednocześnie wciągnęli powietrze.

Dimitri powiedział za wszystkich:

– Czerwone!

Na tablicy kontrolnej czerwona lampka specjalnego obwodu płonęła jak wytrzeszczone cyklopie oko boga rozpaczy.

– Chryste! – wykrzyknął elektryk. – Obwód przerwany. Woda zerwała przewody.

– Może to błąd w tablicy.

– Nie – elektryk potrząsnął z przekonaniem głową.

– No więc stało się – szepnął Dimitri. – Żegnaj Sonder Ditch!

Rod wybiegł z pomieszczenia kontrolnego do zebranego tłumu.

– Johnson! – wskazał jednego ze starszych górników. – Leć do Jacht Klubu i przynieś ratowniczą dinghy. Spiesz się jak tylko możesz, człowieku.

Górnik pobiegł. Rod odwrócił się do elektryka, który wychodził właśnie z pomieszczenia kontrolnego.

– Daj mi ręczny zapalnik bateryjny, przewód, kombinerki, rękawice i dwa zwoje nylonowej liny. Szybko!

Elektryk zniknął.

- Rod – Dimitri chwycił go za ramię. – Co chcesz zrobić?
- Idę tam. Muszę znaleźć przerwane miejsce i spowodować wybuch za pomocą ręcznego zapalnika.
- Jezus! – jęknął Dimitri. – Ty oszalałeś, Rod. Z pewnością zginiesz!
- Rod zignorował te słowa.
- Chcę, żeby poszedł ze mną tylko jeden człowiek. Musi być silny. Najsilniejszy jakiego tylko mamy. Będziemy musieli płynąć pod prąd. – Rod rozejrzał się wokoło. Big King stał przy biurze nadzorcy powierzchniowej części kopalni. Obaj mężczyźni byli równego wzrostu i mogli sobie patrzeć prosto w oczy ponad głowami zebranego tłumu.
- Pójdiesz ze mną, Big King? – zapytał Rod.
- Tak – odrzekł Big King.

ROZDZIAŁ 67

Byli gotowi w ciągu niecałych dwudziestu minut. Rod i Big King rozebrali się do spodenek kąpielowych. Na nogi założyli tenisówki, aby ochronić stopy, a na głowy hełmy, co niezbyt pasowało do reszty stroju.

Dinghy należała kiedyś do marynarki wojennej. Był to dziewięciostopowy dmuchany materac tak lekki, że można go było podnieść jedną ręką. Wpakowali do niej ekwipunek niezbędny do wykonania zadania: worek z materiału wodoodpornego, zawierający zapalnik bateryjny i zwój izolowanego drutu, kombinerki, rękawice oraz zapasową latarkę. Przez oczka umieszczone po obu stronach dinghy przewleczone były dwa zwoje cienkiej nylonowej liny, przymocowali do niej lekki łom, toporek i ostrą jak brzytwa maczetę w skórzanej pochwie. Do dziobu dinghy przyczepiono dwa zwoje lin nylonowych do holowania.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, Rod? – spytał Dimitri. Rod potrząsnął głową w zamyśleniu.

– To wszystko, Dimitri. Powinno wystarczyć.

– W porządku! – Dimitri skinął ręką, wystąpiło czterech mężczyzn i zabrało dinghy do czekającej klatki.

– W drogę – rzekł Dimitri i wszedł za dinghy do klatki. Następny wszedł Big King, a Rod zatrzymał się sekundę, patrząc na niebo. Było bardzo jasne i niebieskie.

Zanim sygnalista zdążył zasunąć drzwi klatki, do krawężnika podjechał rolls-royce Srebrna Chmura. Z tylnych drzwi wysiadł wpierw Hurry Hirschfeld, a za nim Terry Steyner.

– Ironsides! – ryknął Hurry. – Co się tu, u diabła, dzieje?

– Natrafiliśmy na wodę – odrzekł Rod z głębi klatki.
– Na wodę? Skąd ona się tu wzięła?
– Zza Big Dipper.
– Przebijales się przez Big Dipper?
– Tak.
– Ty gnojku, zatopiłeś Sonder Ditch! – ryknął Hurry, podchodząc do klatki.
– Jeszcze nie – odparł Rod.
– Rod – zawołała blada twarz Terry stojącej obok dziadka. – Nie możesz tam zjechać. – Wysunęła się do przodu.
Rod odsunął na bok sygnalistę i opuścił w dół drzwi klatki. Terry rzuciła się na siatkę bariery ochronnej, ale klatka zniknęła już w szybie, zapadając się pod ziemię.
– Rod – wyszeptała, Hurry Hirschfeld otoczył ręką jej ramiona i zaprowadził do rolls-royce'a.

* * *

Z tylnego siedzenia rollsa Hurry Hirschfeld prowadził nieoficjalny sąd nad Ironsidesem. Wzywał jednego po drugim szefów liniowych Sonder Ditch i wypytywał ich. Nawet ci, którzy byli lojalni wobec Roda nie mogli wiele powiedzieć w jego obronie, a byli też tacy, którzy skorzystali z okazji, aby wyrównać stare porachunki z Rodneyem Ironsidesem.

Siedząca obok dziadka Terry, słysząc oskarżenia rzucone na człowieka, którego kochała, czuła, że przenika ją do głębi duszy mroząca krew groza. Nie było wątpliwości, że Rodney Ironsides bez zezwolenia Głównego Biura rozpoczął nowe roboty, które były tak ryzykowne i sprzeczne z polityką

Kompanii, że już w samym zamierzeniu stanowiły przestępstwo kryminalne.

– Dlaczego on to zrobił? – mruknął Hurry Hirschfeld. Wydawało się, że jest tym oszołomiony. – Co chciał osiągnąć przebijając Big Dipper. Wygląda to na rozmyślną próbę sabotażu w Sonder Ditch. – Hurry zaczął gotować się z wściekłości. – Skurwysyn! Zatopił Sonder Ditch i zabił tuziny ludzi. – Walił pięścią w dłoń drugiej ręki. – On mi za to zapłaci. Zniszczę go, tak mi dopomóż Bóg, ja go zmiążdżę! Oskarżę go o popełnienie zbrodni. O niszczenie z premedytacją. O morderstwo. O morderstwo z premedytacją! O Jezu, wypruję z niego flaki!

Słuchając tych pogroźek Terry nie mogła już dłużej usiedzieć w milczeniu.

– To nie była jego wina, Pops. Na pewno nie on tu zawinił. Zmuszono go do tego.

– Ha! – zachnął się Hurry. – Słyszałem, co mówiłaś przy szybie. Co ten człowiek dla ciebie znaczy, panienko, że go tak gorliwie bronisz?

– Pops, proszę, uwierz mi. – Oczy na jej bladej twarzy stały się olbrzymie.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? Wy dwoje najwyraźniej coś tam mętne razem kręcicie. Naturalnie, że będziesz próbowała go bronić.

– Wysłuchaj mnie wreszcie – prosiła. Hurry zatrzymał swój ruchliwy język i ciężko dysząc zwrócił się do niej:

– Lepiej, żebyś mówiła prawdę, moja młoda damo – ostrzegł ją.

W podnieceniu nie przedstawiła tego, jak należy, i w połowie drogi uświadomiła sobie, że nie mówi przekonująco nawet dla samej siebie, wyraz twarzy Hurry'ego stawał się coraz bardziej odpychający, aż wreszcie przerwał jej niecierpliwie:

– Wielki Boże, Tereso, to niepodobne do ciebie. Próbujesz zwalić za to wszystko winę na swego męża! To obrzydliwe! Próbować zrzucić całą winę za to...

– Ale to prawda! Bóg mi świadkiem – Terry była bliska łez i ciągnęła z podnieceniem Hurry’ego za rękaw. – Rod został do tego zmuszony. Nie miał wyjścia.

– Masz na to dowód? – spytał sucho Hurry i Terry zamilkła, patrząc na niego oszołomiona. Jaki mogła mieć dowód?

ROZDZIAŁ 68

Klatka zwolniła zbliżając się do 65. poziomu. Światła jeszcze ciągle paliły się, ale roboty zostały zaniechane. Na stacji wyciągnęli dinghy. Na poziomie poniżej nich mogli słyszeć daleki ryk spadającej wody. Przemieszczanie się olbrzymiej masy wody spowodowało taki ruch powietrza, że z szybu wiała silna chłodna bryza.

– Big King zejdzie ze mną po drabinie awaryjnej. Potem opuście nam dinghy – powiedział Rod do Dimitriego. – Upewnij się, czy cały ekwipunek jest do niej dobrze przymocowany.

– Dobrze – skinął głową Dimitri.

Wszystko było przygotowane. Mężczyźni, którzy zjechali razem z nimi, czekali w pogotowiu. Rod nie widział żadnego powodu, aby opóźnić akcję. Czuł, jak w brzuchu gromadzi mu się coś ciężkiego i zimnego.

– Chodź, Big King. – I podszedł do stalowej drabiny.

– Powodzenia, Rod – popłynął za nim głos Dimitriego, ale Rod oszczędzał oddech schodząc w zimną ciemną czeluść.

Krótkie spięcie wyłączyło całe oświetlenie na 66. poziomie i tylko światła ich lamp oświetlały pod nimi czarną wzburzoną wodę. Wlewała się do szybu przez przechyloną do środka siatkową barierę. Spełniała ona rolę wielkiego sita, odsiewającego wszystko, co ze sobą niosła powódź. Wśród kawałków drewna i innych nierozpoznawalnych obiektów Rod dostrzegł przyciśnięte do drutów napęczniałe wodą ciała zabitych.

Zszedł niżej i bardzo ostrożnie zsunął się do wody. Natychmiast poczuł, że prąd ciągnie go z nadspodziewaną siłą.

Było głęboko do pasa, ale widział, że bez drabiny nie mógłby utrzymać się na nogach.

Big King zanurzył się obok niego i Rod musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć syczący huk wody.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Niech opuszczą łódkę.

Rod posłał promień w górę szybu i w ciągu paru minut dinghy spłynęła ku nim z góry. Sięgnęli po nią i sprowadzili na powierzchnię wody obok siebie, a potem odwiązali linę.

Dinghy natychmiast została przyssana do siatki. Rod sprawdził jej zawartość. Wszystko było zabezpieczone.

– W porządku. – Rod obwiązał się w pasie nylonową liną i zaczął wspinać się po siatce aż dosięgnął stropu tunelu. Stojący za nim Big King naddawał linę.

Rod wychylił się, aby sięgnąć ręką do rur sprężonego powietrza, które biegły wzdłuż stropu tunelu. Rury, grubości przegubu męskiej ręki dobrze zamocowane do wiszącej ściany chodnika, mogły z łatwością utrzymać ciężar człowieka. Rod chwycił mocno rurę i odepchnął się nogami od bariery. Zawisł nad rwącą wodą, stopami lekko muskając jej powierzchnię.

Przekładając ręce i posuwając się w ten sposób do przodu ze stopami wiszącymi nad wodą, zaczął przemieszczać się wzdłuż tunelu. Nylonowa lina wisiała za nim jak długi biały ogon. Dzielilo go trzysta stóp od miejsca, w którym z nowego chodnika wydobywała się woda i wpadała do głównego chodnika komunikacyjnego. Mięśnie ramion Roda zaczęły gwałtownie protestować zanim tam dotarł. Wydawało mu się, że ramiona są wyrwane ze stawów, ciężar liny nylonowej, która wlokła się za nim w wodzie, stał się wprost nie do zniesienia.

W miejscu, gdzie nowo drażone przebicie łączyło się z głównym chodnikiem, wytworzył się wir. Rod powoli zbliżył się do niego. Woda miotła nim, lecz tutaj mógł przynajmniej przyłgnąć do ściany chodnika i utrzymać się na nogach. Szybko zaczął przywiązywać linę do wbitych w ścianę bolców spinających skałę. W ciągu kilku minut założył bezpieczną bazę operacyjną i kiedy rzucił światło lampy wzdłuż chodnika komunikacyjnego, ujrzał Big Kinga podążającego za nim w pozycji wiszącej na rurze sprężonego powietrza.

Big King opuścił się obok Roda w wodę po pas i obaj złapali się nylonowej liny pozwalając odpocząć obolałym mięśniom.

– Gotowy? – zapytał wreszcie Rod i Big King skinął głową.

Chwycili linę prowadzącą z powrotem do dinghy i zaczęli ciągnąć ją do siebie. Przez moment nic się nie działo, wydawało się, że na drugim końcu liny dinghy stała jakby zakotwiczona.

– Razem! – rzucił ochryple Rod i udało im się wybrać około stopy liny.

– Jeszcze raz! – I tak cal po calu ciągnęli dinghy pot prąd wzdłuż chodnika.

Ręce im krwawiły, kiedy wreszcie podciągnęli wyładowaną dinghy na wysokość pozycji, w której stali, i przycumowali ją do bolców w ścianie.

Podskakiwała i zataczała się bombardowana napierającą w jej boki wodą.

Ani Rod, ani Big King nie mogli mówić. Wyczerpani wisieli na owiniętych wokół pasa linach, a woda wirowała wokół, próbując zderzyć z nich skórę i zdławić oddech.

W końcu Rod spojrzał na Big Kinga i w jego oczach dostrzegł swoje własne wątpliwości. Sieć ładunków wybuchowych znajdowała się o tysiąc stóp stąd. Siła i szybkość wody w tunelu była dwa razy większa jak w

chodniku komunikacyjnym. Czy będą mogli przewyciężyć ten pierwotny nieokiełznany żywioł, który został spuszczonej z uwięzi?

– Teraz ja pójdę – rzekł Big King i Rod wyraził na to zgodę.

Potężny Bantu podciągnął się na linie i chwycił rurę sprężonego powietrza. Jego skóra błyszczała w świetle lampy jak skóra delfina. Przekładając rękę za ręką zniknął w rozwartej ciemności przebicia. Jego lampa rzucała na skalne ściany monstrualne i zdeformowane cienie.

Kiedy Big King dał znak błyskiem lampy, Rod chwycił rurę i podążył za nim. Po przebyciu trzystu stóp znalazł Big Kinga przygotowującego następną bazę. Jednak tutaj wystawieni byli na całą siłę wody i tak gwałtownie ciągnięci, że ostre liny nylonowe zrywały z nich skórę. Wspólnymi siłami przyciągnęli dinghy i przycumowali.

Rod z cichym szlochem przycisnął ręce do piersi i zastanawiał się, czy będzie mógł zrobić to jeszcze raz.

– Gotowy? – spytał stojący obok Big King i Rod skinął głową. Sięgnął w górę, położył poranione dłonie na rurze i czuł, jak łyzy bólu zalewają mu oczy. Zamrugał i podciągnął się do przodu.

Niejasno jednak wiedział, że jak spadnie, to czeka go śmierć. Woda zmiotłaby go i pociągnęła wzdłuż poszarpanych ścian chodnika, rozrywając ciało do kości, aby w końcu rzucić nim o siatkę przy szybie i wycisnąć resztki życia.

Posuwał się naprzód do chwili, gdy stwierdził, że już dalej nie może. Wybrał jakiś bolec na ścianie i zarzucił na niego linę. I znowu powtórzyli tę rozrywającą serce procedurę. Dwa razy, pokonując opór liny ciągnącej dinghy. Rod ujrzał przed oczami eksplodujące gwiazdy i wirujące ognie. Za każdym razem zmagął się całą siłą woli z omdleniem.

Przykład Big Kinga zachęcał Roda, aby nie poddawać się. Big King pracował z martwym wyrazem twarzy, lecz jego oczy były przekrwione z

wyczerpania. Tylko raz Rod usłyszał jak chrząknął niczym postrzelony lew, gdy pojawiło się jasnoczerwone pasemko krwi na linie, którą trzymał.

Rod wiedział, że nie może się poddać, gdy Big King ciągnie.

Rzeczywistość powoli rozpływała się w czarny ryczący koszmar bólu, mięśnie i kości były przeciążone ponad ludzką wytrzymałość, a jednak nadal pracowały. Wydawało się, że Rod wisi na ciężkich jak ołów i bezwładnych z wyczerpania ramionach. Posuwał się cal za cal wzdłuż rury sprężonego powietrza, dążąc do następnego punktu zaczepienia w chodniku. Pot zalewał mu oczy do tego stopnia, że z trudem uwierzył w to, co zobaczył w ciemności.

Potrząsnął głową strącając z powiek pot i zmrużył oczy wpatrując się w to, co oświetlił promień lampy. Ciężka drewniana konstrukcja zwisała jak pijana ze stropu chodnika. Przytrzymujące ją bolce opierały się jeszcze wrywającemu je prądowi wody.

Rod uświadomił sobie, że są to resztki ramy drzwi pomieszczenia wentylacyjnego. Zostały one wyrwane, ale sama rama tkwiła jeszcze na miejscu. Wiedział, że tuż za nią zaczyna się sieć ładunków wybuchowych. A więc dotarli do celu!

Poczuł nowy przypływ sił i ruszył dalej wzdłuż rury. Drewniana rama stanowiła znakomity punkt zaczepienia, Rod przywiązał linę i posłał sygnał do Big Kinga. Wisiał w pętli liny i przez chwilę odpoczywał, potem zmusił się do obejrzenia swego otoczenia. Przesuwał promieniem światła lampy po wykrzywionej ramie i nagle dostrzegł w jaki sposób został przerwany obwód.

W świetle lampy wyraźnie było widać zwieszający się ze stropu zielony, pokryty plastykiem przewód obwodu wybuchowego. Zaczepił się na drzwiach pomieszczenia wentylacyjnego i rozerwał wówczas, gdy drzwi zostały wyrwane. Luźny koniec przewodu sięgał aż do powierzchni rwącej

wody. Rod utkwiał w nim wzrok, zbierając siły i pocieszając się świadomością, że nie będą już musieli kontynuować tej morderczej drogi przez chodnik.

Kiedy z ciemności wyłonił się Big King, Rod wskazał wiszący przewód.

– Tutaj! – wychrypiał i Big King zmrużył oczy dając znać, że widzi, ale nie był w stanie wyrzec słowa.

Dopiero po upływie pięciu minut mogli rozpocząć przerażającą pracę holowania dinghy i mocowania jej do ramy.

Potem znowu odpoczywali. Ich ruchy były drastycznie spowolnione. Nie zostało im już wiele sił.

– Postaraj się złapać koniec tego przewodu – polecił Rod Big Kingowi, a sam podciągnął się na brzeg dinghy ułożył i na deskach podłogi.

Dinghy pod jego ciężarem zanurzyła się głębiej, stawiając większy opór rwącej wodzie i lina zaczepiona o ramę naciągnęła się. Rod niezdarnie rozpakował zapalnik bateryjny. Big King stał zanurzony do pasa w wodzie, trzymając się jedną ręką ramy, drugą sięgając ku końcowi zielonego przewodu, który tańczył tuż przed jego palcami. Big King, walcząc z napierającym prądem posunął się dalej, jeszcze bardziej napierając na wiszącą na stalowych bolcach drewnianą ramę.

Wreszcie zacisnął palce na końcu przewodu i z pomrukiem zadowolenia podał go do tyłu Rodowi.

Pracując wolno i dokładnie Rod połączył krokodylki drutu ze zwoju z oderwanym końcem zielonego przewodu. Plan Roda był taki: on i Big King wdrapią się na dinghy i popuszczając nylonową linę dadzą się ponieść wodzie z powrotem wzdłuż chodnika. Równocześnie będą popuszczać drut ze zwoju i w odpowiednio bezpiecznej odległości spowodują wybuch sieci ładunków, blokując w ten sposób chodnik.

Palce Roda były opuchnięte i bez czucia. Po wielu minutach ukończył przygotowania, podczas gdy drewniana rama przez cały czas była nadmiernie obciążona.

Rod oderwał wzrok od swojej roboty i podczołgał się na kolanach.

– W porządku, Big King – wycharczał, ukląkł i złapał drewnianą ramę, aby ustawić odpowiednio dinghy. – Właź. Jesteśmy gotowi.

Big King zaczął brodzić w kierunku dinghy i w tym momencie bolce podtrzymujące ciężką ramę wyrwały się. Z przerażającym trzaskiem rama runęła w tunel. Belki ramy skrzyżowały się jak ostrza gigantycznych nożyc. Oba ramiona Roda znalazły się w kleszczach tych nożyc. Kości przedramienia pękły z głośnym trzaskiem łamiących się patyków.

Z krzykiem bólu Rod padł na podłogę dinghy, jego ramiona były bezużyteczne, wygięte pod nieprawdopodobnym kątem, z wystającymi kośćmi. O trzy stopy od niego tkwił ciągle w wodzie Big King. Jego usta były szeroko otwarte, ale nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Stał bez ruchu, niczym czarny posąg, z szeroko otwartymi oczami. Rod, mimo własnego cierpienia, zaszokowany był wyrazem twarzy Big Kinga. Poniżej powierzchni wody dolne części ramy wykonały ten sam ruch nożyc, ale tym razem złapały dolną część ciała Big Kinga. Zamknęły się wokół miednicy i strzaskały ją. Teraz trzymały go jak w imadle, nie pozwalając na wykonanie jakiegokolwiek ruchu.

Biała twarz i czarna oddalone były od siebie tylko o kilka stóp. Dwaj towarzysze unieruchomieni katastrofą patrzyli sobie w oczy i wiedzieli, że nie ma stąd ucieczki. Zostali skazani.

– Moje ręce! – wyszeptał Rod ochryple. – Nie mogę ich użyć. – Wybałuszone oczy Big Kinga wytrzymały wzrok Roda.

– Możesz dosięgnąć zapalnika? – wyszeptał pospiesznie Rod. – Weź go i obróć rączkę. Wysadź to, Big King, wysadź to!

Powoli w szklistych od bólu oczach Big Kinga pojawił się wyraz zrozumienia.

– Koniec z nami. Big King. Odejdźmy jak mężczyźni. Wysadź to, zwał na dół tę skałę!

Ponad nimi skała nafaszerowana była ładunkami wybuchowymi. Sieć ładunków była już połączona. W odruchu podniecenia Rod próbował sięgnąć po zapalnik. Jednak ramiona wisały bezwładnie, a palce były rozwarłe jak płatki ściętego kwiatu i paraliżował je ból.

– Chwyć go. Big King – ponaglał Rod i Big King chwycił zapalnik, trzymając go jedną ręką przy piersi.

– Rączka! – dodawał mu odwagi Rod. – Obróć rączkę! Jednak zamiast tego Big King chwycił jeszcze raz dinghy i wyciągnął z pochwy maczetę.

– Co ty robisz? – wykrzyknął Rod i w odpowiedzi Big King podniósł ostrze i błyszczącym łukiem spuścił je na nylonową linę cumującą łódkę do drewnianej ramy. Trzask! Ostrze uderzyło w miejscu, gdzie była przywiązana lina.

Uwolniona tym uderzeniem dinghy odsunęła się szybko porwana prądem wody. Leżąc w tańczącej gumowej dinghy Rod usłyszał donośny głos ponad rwącym nurtem:

– Odejdź w pokoju, przyjacielu.

Potem Rod, kręcąc się wraz z dinghy, mknął wzdłuż tunelu. Była to piekielna droga, podczas której łódka wirowała jak bąk, a w promieniu światła lampy leżącego Roda strop i ściany zlewały się w jedną pędzącą rozmazaną plamę.

Kiedy bębunki jego uszu odebrały uderzenie fali powietrza i długi przetaczający się przez chodnik wstrząs, wiedział, że Big King uruchomił zapalnik i odpalił sieć ładunków blokujących. Rod Ironsides dotarł do

krańca świadomości i zapadł w miękką ciepłą ciszę spokoju, z której, jak sądził, nigdy nie powróci.

ROZDZIAŁ 69

Na 65. poziomie Dimitri siedział na podłodze chodnika w pobliżu szybu. Palił już dziesiątego papierosa. Reszta jego ludzi czekała tak samo niecierpliwie jak i on. Co kilka minut Dimitri podnosił się, podchodził do szybu i rzucał snop światła lampy w stustopowy otwór w kierunku 66. poziomu.

– Jak długo już tam są? – spytał i wszyscy spojrzeli na zegarki.

– Godzinę i dziesięć minut.

– Nie, godzinę i czternaście minut.

– Chryste, nie mów że łąę z powodu tych czterech minut!

I znowu zapadła cisza. Nagle rozległ się dzwonek telefonu, Dimitri podskoczył i podbiegł.

– Nie, Mr Hirschfeld, jeszcze nic!

Słuchał przez chwilę.

– W porządku, niech go pan spuści na dół.

Odłożył słuchawkę, a ludzie spojrzeli na niego pytająco.

– Posyłają na dół policjanta – wyjaśnił.

– A po cholere?

– Chcą Big Kinga.

– Dlaczego?

– Żeby aresztować go za morderstwo.

– Morderstwo?

– Oni przypuszczają, że zamordował właściciela sklepu, tego Portugalczyka.

– Jeezu!

– Big King, czy to możliwe?! – zachwyceni możliwością zmiany toku myśli, chcąc jakoś zabić czas, zaczęli rozmawiać w podnieceniu.

Inspektor policji, który zjawił się na 65. poziomie rozczarował ich. Wyglądał jak marny grabarz i odpowiadał na ich niecierpliwe pytania tak smutnym wzrokiem, że zaczęli się jękać.

Po raz piętnasty Dimitri podszedł do szybu i zerknął w dół. Nagle ziemią wokół nich wstrząsnął wybuch i przez wiele sekund przetaczał się długi dudniący łoskot.

– Zrobili to! – wrzasnął Dimitri i zaczął dziko podskakiwać. Mężczyźni zerwali się na nogi, klepali po plecach, krzyczeli i śmiali się. Tylko inspektor policji nie brał udziału w ogólnej radości.

– Cicho! – krzyknął w końcu Dimitri. – Zamknijcie się! Spokój, do cholery! Słuchajcie!

Zapadła cisza.

– Co to jest? – spytał ktoś. – Nic nie słyszę.

– To jest właśnie to! – wykrzyknął Dimitri. – Woda! Zatrzymała się!

Wówczas zdali sobie sprawę, z tego, że przytłumiony ryk wody, do którego przywykli już z rezygnacją, nagle ustał. Nad wyrobiskami zaległa katedralna cisza. Zaczęli się cieszyć, ich głosy brzmiały wątłe w tej ciszy. Dimitri podbiegł do stalowej drabiny i spuścił się po niej w dół jak mała.

Z wysokości trzydziestu stóp Dimitri zobaczył dinghy porzuconą wśród różnych śmieci i zgromadzonych przy szybie odpadów i resztek. Rozpoznał na niej bezwładną postać.

– Rod! – krzyknął dopadając stacji na 66. poziomie. – Rod, czy wszystko w porządku?

Posadzka chodnika była mokra. Tu i tam sączyła się woda ściekając do szybu. Dimitri podbiegł do dinghy i odwrócił Roda na plecy. W tym momencie ujrzał jego ręce.

– O, Chryste! – jęknął ze zgrozą i zaczął krzyczeć w stronę drabiny. – Dajcie na dół nosze!

Rod odzyskał przytomność leżąc przykryty i przymocowany do górniczych noszy. Ręce ujęte były w szyny i spowite bandażami. Rozpoznał szum powietrza i chrzęst klatki unoszącej go na powierzchnię.

Poznał też podniesiony głos Dimitriego, który argumentował:

– Do cholery. Ten człowiek jest nieprzytomny i ciężko ranny, nie może go pan zostawić w spokoju?

– Muszę wypełniać swoje obowiązki – odpowiedział obcy głos.

– Czego on chce, Dimitri? – wychrypiał Rod.

– Rod, jak się czujesz? – Na głos Roda Dimitri ukląkł zaniepokojony przy noszach.

– Cholernie źle – wyszeptał Rod. – Czego ten błazen chce?

– To oficer policji. Chce aresztować Big Kinga za morderstwo – wyjaśnił Dimitri.

– No to się cholernie spóźnił – szepnął Rod i nawet w bólu wydało mu się to piekielnie śmiesznie. Zaczął się śmiać. Szloch mieszał się ze śmiechem, a każda konwulsja wywoływała przenikliwy ból w rękach. Znajdując się w szoku wpadł w niekontrolowane drgawki, pot spływał mu po twarzy, śmiał się dziko.

– Cholernie się spóźnił – powtórzył w histerycznym śmiechu, kiedy doktor Dan Stander dawał mu w ramię podskórny zastrzyk morfiny.

ROZDZIAŁ 70

Hurry Hirschfeld stał w głównym chodniku komunikacyjnym na 66. poziomie. Wokół niego panowało zamieszanie. Właśnie członkowie zespołu betoniarskiego kompletowali wyposażenie i kierowali się do miejsca, w którym blokowano przebicie. Byli to specjaliści z towarzystwa pracującego na odrębnym kontrakcie. Oni właśnie mieli przepompować; tysiące ton betonu o płynnej konsystencji, aby dokładnie uszczelnić korek w tunelu. Przepompowanie masy betonowej odbędzie się pod ciśnieniem ponad trzech tysięcy funtów na cal kwadratowy i kiedy beton się zwiąże, wówczas na zawsze zapieczętuje przebicie. Będzie to również pewnego rodzaju grobowiec Big Kinga, pomyślał Hurry, prawdziwy pomnik człowieka, który uratował Sonder Ditch.

Zorganizuje umieszczenie na betonowej ścianie pamiątkowej tablicy z odpowiednim napisem informującym o tym człowieku i o jego czynie.

Trzeba też odpowiednio zadbać o jego rodzinę, może nawet zostanie tu sprowadzona na odsłonięcie tablicy. W każdym razie zleci to Służbie Informacyjnej i Wydziałowi Personalnemu.

Chodnik śmierdział wilgocią i błotem. Było przejmująco zimno i w powietrzu wisiała lepka wilgoć, co z pewnością nie pomoże wyleczyć jego lumbago. Hurry wiedział już dość i wrócił do szybu. Słabo uprzytamniał sobie przytłumione brzęczenie pracujących pomp, które za kilka dni uwolnią Sonder Ditch od wody, która zalała niższe poziomy.

W prowizorycznie uruchomionym oświetleniu elektrycznym przy ścianie tunelu stały nosze z przerażającym ciężarem przykrytym kocami. Twarz Hurry'ego ściągnęła się, gdy przechodził obok nich.

– Wypruję flaki temu, kto jest za to odpowiedzialny – przysiągł cicho, czekając na klatkę.

* * *

Terry Steyner jechała w ambulansie razem z Rodem. Ścierała błoto z jego twarzy.

– Czy z nim jest bardzo źle, Dan? – zapytała.

– Do licha, Terry, on będzie już za parę dni na nogach. Oczywiście ręce nie wyglądają ładnie, dlatego wieziemy go wprost do Johannesburga. Musi się nim zająć specjalista, chirurg ortopeda. Ponadto znajduje się w paskudnym szoku, a poza złamaniami ma też brzydko poranione dłonie. Ale wygrzebie się z tego.

Dan patrzył z zaciekawieniem jak Terry daremnie próbuje ułożyć wilgotne włosy Roda znajdujące się pod narkozą.

– Chcesz zapalić? – zapytał.

– Zapal mi jednego, proszę, Dan.

Podał jej papierosa.

– Nie wiedziałem, że ty i Rod tak bardzo się przyjaźnicie – zaryzykował. Terry rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Jaki ty jesteś subtelny, doktorze Stander – zakpiła.

– To oczywiście nie mój interes. – Dan szybko wycofał się.

– Nie bądź głupi, Dan. Jesteś bliskim przyjacielem Roda, a Joy jest moją przyjaciółką. Wy oboje macie prawo wiedzieć o tym. Jestem w tym olbrzymie idiotycznie zakochana. Chcę rozwieść się z Manfredem tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

– Rod chce się z tobą ożenić?

– Nic nie mówił o małżeństwie, ale jestem pewna jak cholera, że będę nad nim w tym zakresie pracowała – Terry uśmiechnęła się i Dan roześmiał się głośno.

– A zatem życzę wam obojgu szczęścia. Jestem pewien, że Rod będzie zdolny podjąć inną pracę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała z niepokojem Terry.

– Twój dziadek grozi, iż wykopie go tak wysoko, że będzie pierwszym człowiekiem na księżycu.

Terry zamilkła. Pops prosił ją o dowód, ale skąd go wziąć?

* * *

– Muszą poczekać na wywołanie i sprawozdanie dotyczące zdjęcia rentgenowskiego – stwierdziła Joy Albright. Od czasu zaręczyn z Danem, Joy stała się kimś w rodzaju eksperta medycznego. Po nagłym wezwaniu telefonicznym Dana pospiesznie przyjechała do Centralnego Szpitala w Johannesburgu. Dan chciał, aby dotrzymała towarzystwa Terry, podczas oczekiwania na wywiezienie Roda z sali nagłych wypadków. Teraz siedziały razem w poczekalni.

– Przypuszczalnie – zgodziła się Terry. Coś, co Joy właśnie powiedziała, poruszyło jej umysł, coś, o czym musi pamiętać.

– Wywołanie zdjęcia zabierze im około dwadzieścia minut. Potem przed przekazaniem sprawozdania chirurgowi radiolog musi je zbadać i opisać.

Teraz znowu Joy coś powiedziała. Terry wyprostowała się, próbując zebrać myśli i uświadomić sobie, co to takiego było. Jakie to słowo zwróciło jej uwagę?

Nagle znalazła.

– Sprawozdanie! – wykrzyknęła. – To jest to! Sprawozdanie jest dowodem.

Zerwała się z krzesła.

– Joy! Daj mi kluczyki od swojego samochodu – zażądała.

– Co się stało? – Joy spojrzała zdumiona.

– Teraz nie mogę ci powiedzieć. Muszę szybko dostać się do Sandown, daj mi kluczyki. Potem ci wyjaśnię.

Joy zaczęła grzebać w torebce i po chwili wydobyła z niej pochawkę z kluczami. Terry wyrwała ją z ręki przyjaciółki.

– Gdzie parkujesz? – zapytała szybko.

– Na parkingu przy głównej bramie.

– Dziękuję, Joy – Terry wypadła z poczekalni, stukając głośno wysokimi obcasami w korytarzu.

– Wariatka – Joy patrzyła za nią oszołomiona. Dziesięć minut później Dan zajrzał do poczekalni.

– Rod teraz dobrze się czuje. Gdzie jest Terry?

– Wybiegła jak szalona... – i Joy opisała nagle zniknięcie przyjaciółki.

Dan spojrzał poważnie.

– Myślę, że powinniśmy za nią pojechać, Joy.

– Tak, chyba masz rację, kochanie...

– Tylko wezmę płaszcz – rzekł Dan.

* * *

Manfred mógł trzymać swoje geologiczne sprawozdanie tylko w jednym miejscu. I tam właśnie musiało znajdować się sprawozdanie dotyczące Big Dipper, o którym mówił jej Rod. Był to sejf za boazerią w jego gabinecie.

Ponieważ w tym samym sejfie Terry przechowywała swoją biżuterię, miała więc klucz i знаła kombinację otwierającą zamek.

Nawet przy nieprzestrzeganiu przepisów drogowych i jadąc alfa romeo Joy droga do Sandown trwała trzydzieści pięć minut. Było już po piątej po południu, gdy Terry wjechała na długi podjazd i zaparkowała przed garażami.

Posiadłość była opuszczona, ponieważ ogrodnicy kończyli pracę o piątej, a w samym domu nie było żadnego śladu życia. Tak właśnie powinno być, wiedziała przecież, że Manfred ciągle jeszcze przebywa w Europie i ma wrócić dopiero za cztery dni.

Zostawiając kluczyki w stacyjce alfa, Terry pobiegła ścieżką do werandy. Poszukała w torebce kluczy do drzwi frontowych. Otworzyła je i pobiegła prosto do gabinetu Manfreda. Odsunęła płytę boazerii i zabrała się do dosyć pracochłonnej operacji otwierania sejfu. Wymagało to użycia dwóch kluczy i kombinacji cyfrowej. Terry nigdy sprawnie nie dawała sobie z tym rady.

Wreszcie jednak otworzyła drzwi i znalazła się przed pełnym wnętrzem sejfu. Zaczęła przewracać różne dokumenty i kartoteki, badając wszystkie po kolei i kładąc je obok siebie na podłogę.

Nie miała najmniejszego pojęcia o kształcie, wielkości czy kolorze sprawozdania. Upłynęło dziesięć minut, aż wreszcie znalazła nie opisaną teczkę i otworzyła ją. „Poufne sprawozdanie, dotyczące geologicznych formacji złotodajnych pól Kitchenerville, ze specjalnym uwzględnieniem terenów leżących na wschód od zapory Big Dipper”.

Czytając ten tytuł Terry poczuła cudowny przypływ ulgi, bowiem zwątpiła już, że znajdzie to sprawozdanie. Szybko zaczęła przebiegać palcem strony i czytała chaotycznie. Nie było żadnych wątpliwości.

– To jest to! – wykrzyknęła głośno.

– Ja to wezmę, dziękuję. – Przerazająco znajomy głos przerwał jej czytanie i Terry odwracając się jednym ruchem zerwała się na nogi, przyciskając rozpaczliwie papiery do piersi. Zaczęła się cofać od mężczyzny stojącego w drzwiach.

Z trudnością rozpoznała w nim swego męża. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Manfred nie miał na sobie marynarki, a jego koszula pozbawiona była kołnierzyka i spinek. Wyglądało na to, że spał nie zdejmując spodni, które były pogniecione i opadały. Na przodzie białej koszuli widziała jakąś żółtą plamę.

Rzadkie włosy były rozczochrane, wisiały kosmykami nad czołem. Był nie ogolony, skóra wokół oczu zmieniła kolor i była napuchnięta.

– Daj mi to – podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

– Manfredzie – cofała się przed nim. – Co tu robisz? Kiedy wróciłeś?

– Daj mi to, suko.

– Dlaczego tak do mnie mówisz? – zapytała próbując zyskać na czasie.

– Suka! – powtórzył i rzucił się ku niej. Terry zakręciła się i zrećźnie odskoczyła.

Podbiegła do drzwi gabinetu, które Manfred zamknął za sobą. Wypadła przed nim na korytarz i rzuciła się do drzwi frontowych. Zahaczyła wysokim obcasem o perski dywan, zatoczyła się i odbiła od ściany.

– Kurwa! – Dopadł ją, próbując wyrwać sprawozdanie, ale trzymała je z całych sił. Stali twarzą w twarz, byli prawie tego samego wzrostu. Zobaczyła w jego oczach szaleństwo.

Nagle Manfred puścił ją. Odsunął się do tyłu, i zaciśniętą pięścią uderzył ją w policzek. Głowa Terry odskoczyła do tyłu, a on uderzył znowu. Poczula, że z nosa spływa jej ciepła krew i wtoczyła się przez drzwi do jadalni. Oszołomiona uderzeniami upadła na ciężki drewniany stół.

Manfred był tuż za nią. Natarł z ogromną siłą, rozkładając na stole. Runął na nią i chwycił za szyję.

– Zabiję cię, ty kurwo – rzeził. Wciskał głęboko kciuki w jej gardło. Z dziką zdesperowaną siłą Terry palcami obu rąk starała się dosięgnąć jego oczu. Paznokciami przeorała mu twarz, ryjąc w niej długie czerwone smugi. Manfred puścił ją z krzykiem, cofnął się chwytając rękoma twarz i pozostawiając Terry leżącą na stole i chwytającą rozpaczliwie powietrze.

Stał tak przez chwilę, potem odsłonił twarz i zobaczył krew na rękach.

– Zabiję cię za to!

Lecz kiedy znowu zaczął się do niej zbliżać, Terry ześliznęła się ze stołu.

– Kurwa! Suka! Dziwka! – krzyczał, goniąc ją wokół stołu. Terry nie dopuściła, żeby ją złapał.

Na kredensie stała para pięknie dobranych masywnych kryształowych karafek w stylu Stuartów, w jednej było porto, a w drugiej sherry. Terry chwyciła jedną i odwróciła się do Manfreda. Rzuciła karafkę resztką sił, celując w głowę.

Manfred nie zdążył zrobić uniku. Karafka roztrzaskała się na jego czole i ogłuszony runął na podłogę. Terry chwyciła sprawozdanie, wybiegła z jadalni, przebiegła przez korytarz, i wypadła frontowymi drzwiami do ogrodu. Zataczając się biegła podjazdem w kierunku głównej drogi.

Nagle usłyszała za sobą startujący silnik samochodu. Ciężko dysząc zatrzymała się i spojrzała wstecz, przyciskając do siebie sprawozdanie. To był Manfred. Wybiegł za nią z domu i siedział teraz za kierownicą alfa romeo Joy. Usłyszała, jak włącza bieg i wypuszczając spod tylnych kół niebieski dym ostro rusza za nią. Widziała za przednią szybą jego bladą twarz poraną krwawymi bruzdami, wytrzeszczone szalone oczy i wiedziała, że chce ją przejechać.

Zrzuciła buty i zbiegła z podjazdu na trawnik.

* * *

Pochylony w fotelu kierowcy Manfred wpatrywał się w uciekającą sylwetkę.

Terry biegła, kołysząc biodrami ruchem dojrzałej kobiety. Długie brązowe nogi, rozwiane włosy.

Manfreda już nie obchodziło sprawozdanie geologiczne, jego dalszy los nie miał dla niego znaczenia. Pragnął tylko całkowicie zniszczyć tę kobietę. W swoim szaleństwie uważał ją za symbol i ucieleśnienie wszystkich swoich nieszczęść. Upokorzenie i upadek, wszystko to przypisywał teraz jej. Nadszedł czas zemsty, rozgniecie to obrzydliwie ciepłe i oplatające go jak bluszcz ciało, rozedrze je stalowym podwoziem alfa romeo.

Wrzucił drugi bieg i obrócił kierownicą. Alfa wypadł z drogi i kiedy tylne koła zjechały z nawierzchni zaczął tańczyć w gęstej trawie. Manfred zręcznie zapobiegł poślizgowi i wyrównał w stronę pleców biegnącej Terry.

Teraz znalazła się wśród krzewów protei na niższym tarasie. Alfa podskoczył na pochyłości i lecąc jak wolny ptak, upadł ciężko na zawieszenie. Koła zabuksowały, chwyciły i samochód ruszył do przodu.

Terry obejrzała się, była blada, miała rozszerzone przerażeniem oczy. Manfred zachichotał. Zdawał sobie sprawę ze swojej przewagi i możliwości przesądzenia o jej życiu lub śmierci. Kierował się w jej stronę, bez względu na konsekwencje pragnął ją tylko zniszczyć.

Na jego drodze rósł krzew protei wysoki na sześć stóp. Manfred przebił go, rozrzucając na boki liście i gałęzie. Znów zachichotał i zobaczył Terry tuż przed sobą. Obejrzała się i w tym momencie potknęła się padając na kolana. Była bezradna. Łzy na twarzy mieszały się z krwią, włosy opadały

w nieładzie, klęczała czekając na uderzenie kata. Manfred poczuł przyływ rozczarowania. Nie chciał tego skończyć tak szybko. Chciał cieszyć się sadystycznym podnieceniem, poczuciem własnej siły.

W ostatniej chwili skręcił kierownicę i samochód gwałtownie zboczył, przelatując obok Terry w odległości około sześciu cali, miotając w nią spod tylnych kół kępki trawy z ziemią. Z dzikimi oczami, śmiejąc się głośno, Manfred chwycił mocno kierownicę rzucając pojazd w ostry skręt, jednocześnie niszcząc po drodze następny krzew protei.

Terry zerwała się na nogi i pobiegła dalej. Zauważył, że kieruje się w stronę szatni przy basenie leżącym wśród drzew rosnących w dole trawnika. Była już daleko i miała szansę uciec, być może była już wystarczająco daleko!

– Dziwka! – warknął, gwałtownie włączył trzeci bieg i nacisnął gaz. Alfa zawył w pogoni za biegnącą dziewczyną.

Gdyby Terry odrzuciła grubą i nieporęczną teczkę ze sprawozdaniem, mogłaby dosięgnąć murowanych szatni wcześniej niż pędzący sportowy samochód, ale teczka, którą trzymała, zwalniała jej ruchy i przeszkadzała w biegu. Miała jeszcze do pokonania dwadzieścia jardów i biegnąc wzdłuż wyłożonego płytkami brzegu basenu czuła, że samochód jest tuż za nią.

Terry uskoczyła w bok, uderzając bokiem o powierzchnię wody, i samochód z rykiem przemknął obok niej. Manfred nacisnął ostro hamulec, opony zapiszczały na płytkach i w chwili, gdy samochód stanął, wyskoczył z fotela kierowcy. Podbiegł do brzegu basenu. Terry brodziła w kierunku odległych stopni. Była wyczerpana nadmiernym wysiłkiem i przerażeniem. Mokre włosy pasmami przyklejały się do jej twarzy i szeroko otwartymi ustami gwałtownie chwytła powietrze.

Manfred roześmiał się piskliwym, prawie dziewczęcym chichotem i rzucił się do wody tuż za plecami Terry. Uderzył ją w ramiona, zanurzyła

się zachłystując wodą i kiedy wydostała się na powierzchnię kaszłała i krztusiła się, oślepią wodą i opadającymi na twarz mokrymi włosami.

Prawie natychmiast poczuła, że chwycił ją i zmusił do zanurzenia pod wodę. Przez pół minuty walczyła rozpaczliwie, potem jej ruchy stały się powolniejsze i słabsze.

Manfred stał nad nią po piersi w przejrzystej wodzie, trzymając ją w pasie i za włosy, zanurzał jej twarz głęboko pod wodą. Zgubił gdzieś okulary i mrugał oczami jak sowa. Mokry jedwab koszuli przylgnął do ciała, a woda wygładziła opadające włosy.

Kiedy poczuł, że opuszcza ją życie, że już ledwo się rusza, zaczął się znowu śmiać przerywanym bezsensownym śmiechem szaleńca.

* * *

– Dan! – Joy wskazała między drzewa. – Tam stoi mój samochód. Tam, przy basenie!

– Co on tam, u diabła, robi?

– Dzieje się coś złego, Terry nie pojechałaby przez swój wypieszczony ogród!

Dan nagle zahamował i skierował jaguara na pobocze.

– Idę zobaczyć – wyskoczył z samochodu i pobiegł przez trawnik. Joy podążyła za nim.

Dan ujrzał w wodzie ubranego mężczyznę i dostrzegł, że jest czymś zajęty. Poznał Manfreda Steynera.

– Po co on, u diabła, tam wskoczył? – Dan przyspieszył. Dobiegł do brzegu basenu i nagle zrozumiał, co się działo.

– Chryste! On ją topi! – krzyknął i rzucił się do wody.

Nie tracił czasu na bójkę z Manfredem. Z rozmachem wymierzył cios otwartą dłonią, która jak pocisk z pistoletu wyrznęła w bok głowy Manfreda, zwalając go z nóg i uwalniając Terry.

Nie zwracając uwagi na Manfreda, Dan uniósł Terry nad powierzchnię wody jak topioną kocię i brodząc zaniósł ku stopniom. Położył ją na płytkach brzegu basenu, twarzą w dół, ukląkł i zaczął stosować sztuczne oddychanie. Poczuł, że pod jego rękami Terry zaczyna się ruszać, kaszleć i wymiotować.

Joy podbiegła i upadła obok na kolana.

– Mój Boże, Dan, co się stało?

– Ten mały skurwysyn próbował ją utopić.

Dan oderwał wzrok od Terry nie przerywając sztucznego oddychania. Wypluła wodę i znowu zaczęła wymiotować.

Na drugim końcu basenu Manfred Steyner wywindował się na brzeg. Siedział teraz ze stopami w wodzie i zwieszoną głową, dotykając palcami miejsca, w które Dan go uderzył. Na jego kolanach leżała masa zlepionego wodą papieru, która kiedyś była sprawozdaniem geologicznym.

– Joy, czy możesz się nią zająć? Terry nie jest już w takim złym stanie, a ja chcę teraz dostać w ręce tego małego Szwaba.

Dan wstał i Joy zastąpiła go.

– Co chcesz z nim zrobić? – zapytała.

– Posiekać go na kawałki.

– Powodzenia! – zachęciła go Joy. – I dodaj mu jeszcze ode mnie.

Manfred słyszał tę rozmowę i kiedy Dan pobiegł brzegiem basenu, wstał i zatoczył się w kierunku alfa romeo. Wśliznął się do środka, zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik. Dan był za daleko, aby go zatrzymać. Samochód wystrzelił do przodu przez trawnik, pozostawiając za sobą daremnie goniącego go Dana.

– Zajmij się nią, Joy! – rzucił za siebie Dan.

Zanim Dan dobiegł do jaguara i zawrócił w przeciwnym kierunku, alfa z melodyjnym dźwiękiem z rury wydechowej zniknął w białej bramie.

– Pospiesz się, chłopaczku – powiedział Dan do jaguara. – Musimy go złapać.

Tylne koła zabuksowały, kiedy ostro ruszał.

* * *

Bez okularów Manfred Steyner widział wszystko rozmazane i mleczone. Kontury wszystkich przedmiotów, na które patrzył, były zmiękczone i niewyraźne.

Instynktownie zatrzymał samochód przed stopem na końcu dojazdu do ulicy. Siedział niezdecydowany. Woda spływała strumyczkami z jego ubrania, gromadząc się w butach. Obok niego, na fotelu pasażera, leżało napęczniałe wodą sprawozdanie, którego stronice zaczęły się rozłazić od wody i dość brutalnego traktowania.

Musiał się go pozbyć! Był to inkryminujący go dowód. I to była jedyna jasna myśl, jaka pozostała w umyśle Manfreda. Po raz pierwszy w życiu została zniszczona kryształowa świeżość jego procesów myślowych. Był rozkojarzony, myśli rwały się, przeskakując z tematu na temat, zaborcze uczucie przyjemności zadawania bólu Terry mieszało się z bólem zadanych mu ran i krzywd. Nie mógł się skoncentrować na żadnym ważnym problemie, ponieważ nad wszystkim górowało uczucie strachu i niepewności. Był obolały, roztrzęsiony, czuł się jak zagonione zwierzę. Jego mózg jakby zapalał się i gasł, falował niczym komputer w rytm niestabilnego napięcia. Odpowiedzi, jakich sobie udzielał, nie miały sensu.

Spojrzał w lusterko i dostrzegł jaguara wynurzającego się z białej bramy i pędzącego w jego kierunku.

– Chryste! – wpadł w panikę. Nadusił pedał gazu i puścił sprzęgło. Samochód zapiszczał oponami i wyskoczył na główną drogę zataczając się tuż przed dużą ciężarówką, odbił od przeciwległego krawężnika i powrócił na drogę.

Dan obserwował, jak alfa romeo pędzi w kierunku Kyalami.

Pozwolił przejechać ciężarówce i włączył się za nią w ruch. Musiał poczekać, aż droga przed nim opustoszeje i będzie mógł wyprzedzić ciężarówkę. Kiedy to zrobił dostrzegł, że alfa jest już daleką kremową plamką.

Dan usadowił się wygodniej w kubełkowym fotelu i nacisnął ostro gaz. Był wściekły, oburzał go sposób, w jaki Manfred potraktował Terry. Zaszokowała go jej opuchnięta i poraniona twarz, i głęboko tkwił w postanowieniu pomszczenia jej. Zaciskał ręce na kierownicy, mruzczał do siebie gwałtowne pogroźki. Szybkościomierz przekroczył sto mil na godzinę. Nieubłagane zbliżał się do kremowego sportowego samochodu.

Powoli doganiał alfę, aż wreszcie niemal zetknął się z tylnymi zderzakami. Alfa romeo utkwiał za zielonym szkolnym autobusem. Dan nie mógł go wyprzedzić, ponieważ z przeciwka płynął strumień pojazdów.

Ciągle dysząc z wściekłością Dan wpatrywał się w tył głowy Manfreda. Zredukował bieg i przygotował się do wyprzedzenia alfy, jeśli tylko nadarzy się taka okazja. W tym momencie Manfred spojrzął w lusterko. Dan dostrzegł odbicie jego bladej twarzy ze zwisającymi na czoło wilgotnymi włosami i zauważył, że gdy Manfred go rozpoznał, jej wyraz natychmiast się zmienił. Alfa wyskoczył do przodu naprzeciw nadjeżdżającym pojazdom.

Rozległ się chór sygnałów, samochody gwałtownie zjechały na bok, ustępując miejsca dziko pędzącemu Manfredowi. Dan zauważył wystraszone twarze w mijających go samochodach, ale alfa jakoś precyzyjnie przycisnęła się obok zielonego autobusu i pognął do przodu.

Dan opadł do tyłu, a potem posłał jaguara jak oszczep w lukę między autobusem a krawężnikiem, mijając go z nieprawidłowej strony i ignorując krzyki protestu kierowcy.

Jaguar był szybszy i długa prosta szosa do Pretorii umożliwiła Danowi powoli zbliżyć się do kremowego alfa.

Widział, jak Manfred ciągle spogląda w lusterko i uśmiechnął się ponuro.

Szosa wznosiła się i opadała. Po obu jej stronach rósł rząd wysokich niebieskich gumowców.

W tym samym kierunku, co dwa szybkie sportowe samochody, jechał mały staroświecki samochód. Starszy wiekiem kierowca właśnie zamierzał wyprzedzić załadowaną jarzynami ciężarówkę. Z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę równolegle znaleźli się przed wzniesieniem, za którym nie było widać szosy.

Sygnał alfy zawył wysokim dźwięczącym ostrzeżeniem i Manfred wysunął się do przodu, aby wyprzedzić oba pojazdy naraz.

Już się z nimi zrównał, przekraczając ciągłą linię, kiedy zza wzniesienia wyskoczyła ciężarówka z cementem.

Dan nacisnął z całej siły pedał hamulca i obserwował, co się dzieje. Ciężarówka i alfa zbliżały się do siebie z łączną szybkością dobrze ponad sto mil na godzinę. W ostatniej chwili alfa zaczął skręcać, ale było już o całe sekundy za późno.

Poślizgiem przylepił się do ciężarówki i został odrzucony przez drogę w stronę dwóch mijanych pojazdów; jakimś cudem nie dotykając ich

odskoczył bokiem, zostawiając na drodze czarne dymiące ślady opon, i wpadł na pobocze. Uderzył w jeden z niebieskich gumowców, z siłą, która wstrząsając tym potężnym drzewem spowodowała deszcz opadających liści.

Dan zatrzymał jaguara na skraju szosy, wysiadł i wrócił na miejsce wypadku.

Wiedział, że nie ma po co się spieszyć. Kierowcy małego samochodziku i ciężarówki z jarzynami byli tam już przed nim. Próbowali przekrzyczeć się, obaj podnieceni faktem, że udało im się uniknąć zderzenia.

– Jestem lekarzem – zakomunikował Dan. Szybko odsunęli się z szacunkiem.

– On już nie potrzebuje lekarza – powiedział jeden z nich. – Jemu potrzebny jest grabarz.

Wystarczył jeden rzut oka. Doktor Steyner nie żył tak dokładnie, jak jeszcze nigdy Dan nie widział. Zmiażdżona głowa wystawała przez wybitą przednią szybę. Z fotela obok zgniecionego ciała Dan podniósł mokry plik papierów. Zdawał sobie sprawę z tego, że były to jakieś ważne dokumenty.

Gniew Dana całkowicie wyparował; patrząc na martwe ciało i rozbity samochód poczuł cień żalu. Ciało wydawało się teraz takie małe i słabe – tak mało ważne.

ROZDZIAŁ 71

Słońce jasno błyszczało, na falującej powierzchni zatoki tańczyły miliardy kłujących w oczy iskier.

Dmuchała wystarczająco silna bryza, aby jacht klasy Arrow mógł płynąć z wiatrem pod spinakerami. Żagle wybrzuszały się niebiesko, żółto i szkarłatnie na tle dostojnej zieleni wypiętrzających się nad Durban Bay stromizn o wielorybich kształtach.

Pod markizą na pokładzie rufowym było chłodno, ale grubas miał na sobie tylko luźne białe spodnie i stopy wsunięte w ciemnoniebieskie espadryle.

Rozciągnięty na leżaku wypinał nad paskiem spodni gładki twardy brzuch. Był opalony na kolor ciemnego mahoni, a od klatki piersiowej do pępka jego ciało porastały gęste kręcone włosy.

– Dziękuję, Andrew. – Wyciągnął pustą szklankę i młody mężczyzna zaniósł ją do baru na pokładzie. Grubas obserwował, jak mieszał następnego Pimmsa nr 1.

Biało ubrany członek załogi zszedł na dół z mostku. Podchodząc do grubasa zasalutował z respektem.

– Kapitan przesyła uszanowanie, sir, i komunikuje, że jesteśmy gotowi do odpłynięcia, jeśli tylko wyda pan rozkaz.

– Dziękuję. Proszę powiedzieć kapitanowi, że odpłyniemy, gdy tylko przybędzie na pokład Miss du Maine. – I członek załogi wspiał się z powrotem na mostek.

– Ach! – Grubas westchnął ze szczęścia, kiedy Andrew podał mu Pimmsa. – Naprawdę zasłużyłem na odpoczynek. Skromnie mówiąc, ostatnie kilka tygodni bardzo nadszarpnęły mi nerwy.

– Tak, sir – zgodził się usłużnie Andrew. – Ale jak zwykle wyciągnąłby pan wszystko nawet z popiołu.

– To było tuż, tuż – zgodził się grubas. – Ten młody Ironsides napędził nam wszystkim porządnego stracha tym blokującym wybuchem. Ledwo zdążyłem uregulować moje osobiste zobowiązania, zanim ceny znów skoczyły. Zysk nie był tak wysoki, jak się spodziewałem, ale nigdy nie zaglądam darowanemu koniowi w zęby.

– Szkoda, że nasi współpracownicy stracili wszystkie pieniądze – ośmielił się wtrącić Andrew.

– Tak, tak. Wielka szkoda. Jednak lepiej, że to oni, a nie my, Andrew.

– Rzeczywiście, sir.

– W pewnym sensie jestem zadowolony, że to tak wyszło. W duszy jestem patriotą. Toteż cieszę się, że aby trochę zarobić, nie trzeba było rozwalać ekonomii tego kraju.

Nagle wstał, zainteresowała go taksówka podjeżdżająca do nadbrzeża Yacht Clubu. Taksówkarz otworzył drzwi i wysiadła bardzo piękna młoda kobieta.

– Ach, Andrew! Przyjechał nasz gość! Możesz powiedzieć kapitanowi, że za kilka minut odpływamy i pošlij człowieka po jej bagaż.

Podszedł do trapu, aby powitać młodą kobietę.

ROZDZIAŁ 72

W połowie lata w dolinie Zambezi wisiał w powietrzu drżący upał. W południe wszystko tkwi tu bez ruchu pod bezwzględными promieniami słońca.

W środku tubylczej wioski rósł baobab. Monstrualny, napuchnięty pień ze zdeformowanymi gałęziami, przypominającymi porażone przez polio kończyny. Błyszczące sępy padlinożerne siedziały na nich jak karaluchy. Drzewo otaczało ze dwadzieścia trawą krytych chat, a poza nimi leżały uprawne pola. W słońcu rosło wysoko zielone proso.

Ledwo widocznym traktem wiodącym do wioski zbliżał się landrover. Jechał wolno, podskakując i przechylając na boki na nierównym twardym gruncie, hucząc silnikiem pracującym na niskim biegu. Na bokach widniały czarne litery A.R.C. – African Recruiting Corporation. Pierwsze usłyszały go dzieci i wybiegły z chat. Nagie ciała i piskliwe podekscytowane głosiki w palących promieniach słońca.

Pobiegły na spotkanie landrovera, zaczęły wokół niego tańczyć, piszcząc i śmiejąc się. Landrover stanął w rzadkim cieniu baobabu. Wsiadł starszy biały mężczyzna. Miał na sobie ubranie safari koloru khaki i kapelusz z szerokim rondem. Zapanowała cisza, jeden z najstarszych chłopców przyniósł rzeźbiony stołek i postawił go w cieniu.

Biały człowiek usiadł. Podeszła dziewczynka i podała mu banie wypełnioną piwem z prosa. Biały wypił. Nikt nie wypowiedział słowa, nikt nie przerywał szanownemu gościowi, dopóki nie odświeżył się. Wkrótce z trawiastych chat wyszli dorośli mieszkańcy wioski. Mrugając oczami w

rażącym świetle słonecznym owijali wokół bioder swoje opaski. Podeszli i przykucnęli półkolem przed białym człowiekiem siedzącym na stołku.

Opuścił banię i postawił ją obok siebie. Spojrzał na nich.

– Widzę was, przyjaciele – pozdrowił ich, odpowiedź była gorąca.

– Widzimy cię, stary człowieku – odezwał się chór głosów, ale wyraz twarzy gościa był poważny.

– Niech wyjdą naprzód żony Kinga Nkulu – zawołał. – Niech każda z nich przyprowadzi z sobą pierworodnego syna.

Z tłumu wyszły cztery kobiety i czterech dorastających chłopców. Weszli bojaźliwie na puste miejsce przed półkolem. Przez chwilę biały człowiek przyglądał się im ze współczuciem, następnie wstał i podszedł do nich. Kolejno położył rękę na ramieniu chłopców.

– Wasz ojciec odszedł do swoich ojców – powiedział. Nastąpiło poruszenie, westchnienia, a potem ozwał się krzyk. Później, jak przystało, najstarsza żona wydała pierwszy żałobny szloch.

Po kolei żony padały na wyschniętą, pokrytą kurzem ziemię i okrywały głowy szalami.

– On nie żyje – powtórzył biały człowiek wśród ich przejmującego lamentu. – Ale umarł tak honorowo, że jego imię będzie żyło zawsze. Umarł tak godnie, że wszystkim żonom co miesiąc będą przysyłane pieniądze, a każdy jego syn otrzyma miejsce na uniwersytecie, aby mógł być tak silny wiedzą, jak jego ojciec był silny ciałem. I zostanie wykuta w kamieniu postać Big Kinga. Żony Big Kinga i jego synowie polecą latającą maszyną do Goldi, aby ich oczy mogły także obejrzeć posąg człowieka, który był ich mężem i ojcem. – Biały człowiek przerwał, aby zaczerpnąć tchu, była to długa mowa w południowym upale tej doliny. Otarł chusteczką twarz.

– On był lwem!

– Ngwenyama! – wyszeptał stojący obok białego człowieka dobrze zbudowany dwunastoletni chłopiec. Z jego oczu popłynęły łzy i załśniły na policzkach. Odwrócił się i samotnie pobiegł na pole prosa.

ROZDZIAŁ 73

Dennis Langley, miejscowy przedstawiciel Forda i sprzedawca samochodów z Kitchenerville, wyciągnął ramiona nad głową i westchnął z głębokim zadowoleniem. Jak wspaniale można spędzić robocze przedpołudnie.

– Szczęśliwy? – zapytała leżąca obok niego w podwójnym łóżku Hettie Delange. W odpowiedzi Dennis uśmiechnął się i znów westchnął.

Hettie usiadła i pozwoliła, aby prześcieradło zsunęło się aż do bioder. Jej duże i białe piersi były lekko wilgotne od potu. Spojrzała z uznaniem na jego muskularną klatkę piersiową i ramiona.

– Boże, ależ ty jesteś dobrze zbudowany.

– Ty też – Dennis uśmiechnął się do niej.

– Jesteś inny od tych facetów, z którymi chodziłam – oświadczyła Hettie. – Tak ładnie mówisz... no wiesz, jak dżentelmen.

Zanim Dennis Langley zdecydował się na stosowną odpowiedź, rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Jego dźwięk odbił się echem w mieszkaniu. Dennis podskoczył i usiadł z przestraszeniem na twarzy.

– Kto to może być? – zaniepokoił się.

– Prawdopodobnie rzeźnik dostarczający mięso.

– To może być moja żona! – ostrzegł ją Dennis. – Nie otwieraj.

– Oczywiście, że muszę otworzyć, głuptasie. – Hettie odrzuciła prześcieradło i powstała w swej białej i złotej chwale, aby wziąć szlafrok. Ten widok na chwilę odsunął złe przeczucia Dennisa Langleya, ale kiedy okryła się i zawiązała pasek, ostrzegł ją znowu.

– Bądź ostrożna! Upewnij się, zanim otworzysz.

Hettie otworzyła drzwi frontowe i natychmiast jedną ręką mocniej zacisnęła pasek, a drugą przygładziła wzburzone włosy.

– Halo – westchnęła.

Stojący w drzwiach wysoki młody człowiek miał trochę niepewny wyraz twarzy. Był w ciemnym garniturze biznesmena i trzymał w ręku kosztowną skórzaną dyplomatkę.

– Mrs Delange? – zapytał. Miał niski miły głos.

– Tak. Nazywam się Delange – Hettie zamrugnęła rzęsami. – Zechce pan wejść?

Zaprowadziła go do salonu i z przyjemnością zauważyła, że zerka w wycięcie jej szlafroka.

– Czym mogę panu służyć? – spytała figlarnie.

– Jestem przedstawicielem tutejszego Towarzystwa Ubezpieczeniowego Sanlam, Mrs Delange. Przyszedłem złożyć pani w imieniu mojego Towarzystwa wyrazy ubolewania z powodu nieszczęścia, które panią spotkało. Miałem zamiar przyjść wcześniej, ale nie chciałem pani niepokoić w chwilach smutku.

– Och! – Hettie spuściła oczy i wcieliła się w zasmuconą wdowę.

– Niemniej mamy nadzieję, że możemy nieco rozjaśnić otaczające panią ciemności. Może pani wie, że pani mąż ubezpieczył się w naszym Towarzystwie?

Hettie potrząsnęła głową, ale z uwagą obserwowała, jak gość otwiera dyplomatkę.

– Tak, był ubezpieczony. Dwa miesiące temu wykupił polisę na życie z podwójnym odszkodowaniem. Polisa została spisana na panią. – Urzędnik wyjął kartkę papieru. – Tu jest czek od mojego Towarzystwa na kwotę, która została określona w polisie. Proszę tu podpisać.

– Ile? – Hettie wyszła z roli złamanej, nieszczęśliwej wdowy.

– Z podwójnym odszkodowaniem czek opiewa na kwotę czterdziestu ośmiu tysięcy randów.

Oczy Hettie rozszerzyły się w zachwycie.

– Boże! – wyszeptała. – To fantastyczne!

ROZDZIAŁ 74

Pierwotne zamiary Hurry'ego znacznie się poszerzyły. Zamiast tablicy pamiątkowej w betonie na 66. poziomie, pamięć Big Kinga uczczono posagiem z brązu. Został ustawiony na cokole z czarnego marmuru, umieszczonego na trawniku przed budynkiem administracyjnym Sonder Ditch. To było bardzo efektowne. Artysta uchwycił istotę emanującego z tej postaci napięcia i jej siłę. Napis był prosty, tylko imię „King Nkulu”, i data śmierci.

Hurry brał osobiście udział w odsłonięciu posągu, chociaż nienawidził tego rodzaju ceremonii i jeśli to było możliwe, unikał ich. W pierwszym rzędzie gości, obok doktora Standera i jego żony blondynki, zwrócona twarzą ku niemu siedziała jego wnuczka. Mrugnęła do niego i Hurry zmarszczył się z łagodną naganą.

Z krzesła obok Hurry'ego wstał młody Ironsides, aby przedstawić przewodniczącego. Hurry zauważył podniecenie na twarzy wnuczki, kiedy wpatrywała się z uwagą w wysokiego młodego człowieka, którego ręce ciągle jeszcze tkwiły w gipsie podtrzymywanym temblakiem. „Może jednak powinienem był go zwolnić”, pomyślał Hurry. „On ma zamiar sprzątnąć jedną sztukę z mojego stada”.

Hurry spojrzął bokiem na swojego dyrektora generalnego i zdecydował zrezygnowany: „Za późno”. A potem zaczął się pocieszać: „Niemniej wygląda na to, że jest dobrej krwi”. Znowu zmienił kierunek myśli.

„Lepiej zacznę organizować jego przeniesienie do Głównego Biura. Będzie musiał dużo się nauczyć i trzeba go doszlifować”.

Bezmyślnie wysupłał z kieszeni na piersi gigantyczne cygaro. Trzymał je już w pół drogi do ust, gdy pochwycił karcące spojrzenie Terry. Jej usta bezgłośnie wypowiedziały: „Twój lekarz!”.

Z poczuciem winy Hurry Hirschfeld wetknął cygaro z powrotem do kieszeni.

* * *